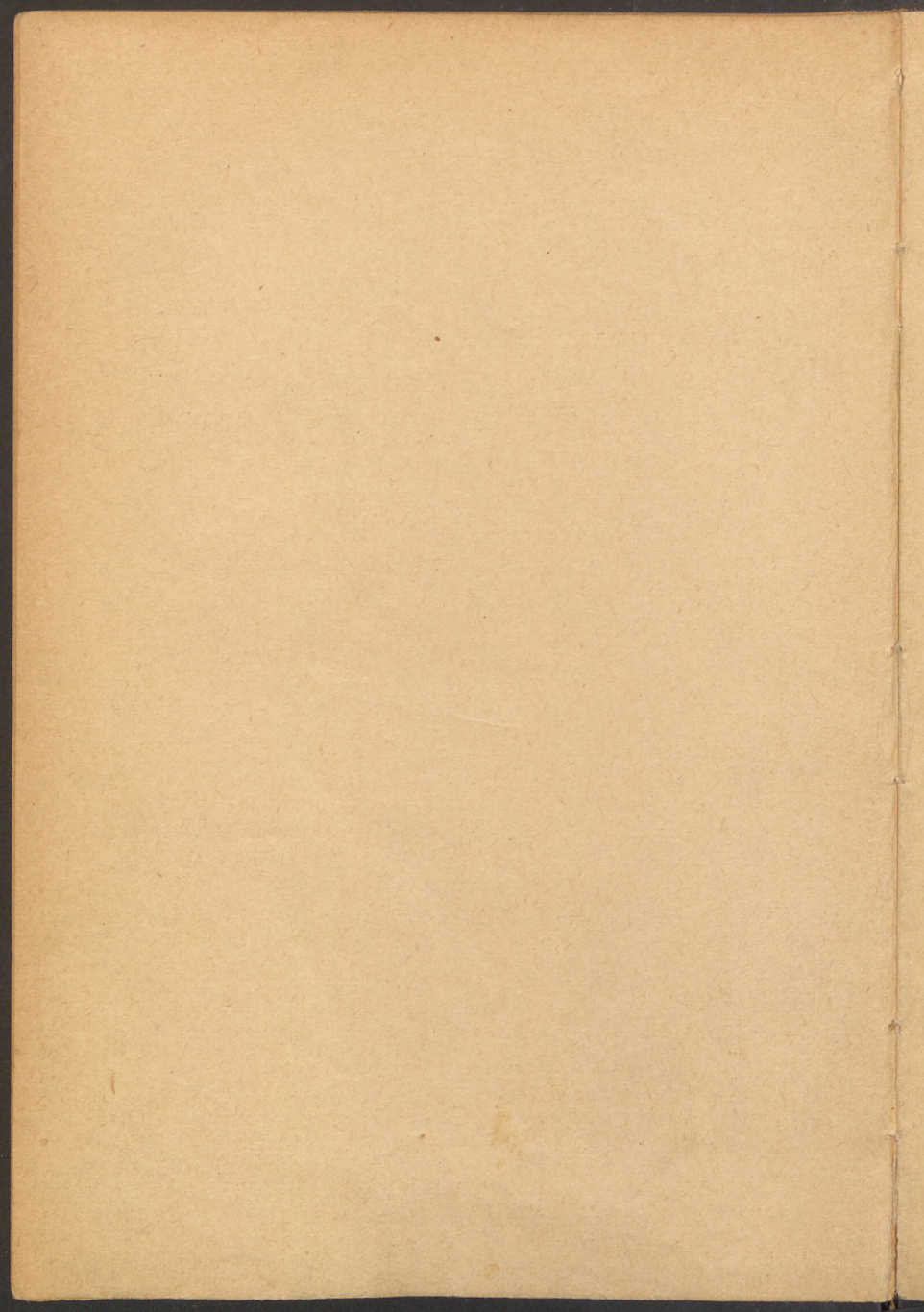


CZARNA FALA



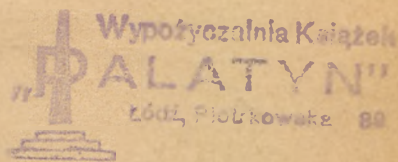
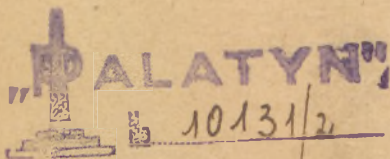
JERZY HULEWICZ

# CZARNA FALA

»SZARUGI«

CZĘŚĆ DRUGA

POWIEŚĆ

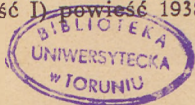


WARSZAWA - 1938  
STARANIEM SPÓŁDZIELNI DZIENNIKARSKIEJ



## TEGOŻ AUTORA

- Dialogi estetyczne** — Poznań 1910  
**Samskara** — opowieść (wyczerpane)  
**Kain** — dramat (wyd. II) Poznań 1920  
**Wiano** — bajka dramatyczna — Poznań 1921  
**Śluby ziemi** — dramat — Poznań 1921  
**Bolesław Śmiały** — dramat — Poznań 1921  
**Ego elmi — O Ewangeljey Jezu Chrysta**, według spisania  
Janowego rzecz w duchu użyżzana (wyd. II) 1921  
**Aruna** — dramat 1922  
**Kratery** — powieść — 1924  
**Dzieje Utana** — 3 opowieści — Warszawa 1928  
**Córa Ozymoronu** — powieść — 1937  
**Szaruga** — (część I) powieść 1938



479305

Zbiory Zabezpieczone Bvform



## I.

### *Poranek poślubny*

Felek ze snu pół przytomny przetarł oczy, ziewnął na cały głos i ociężale wylazł z łóżka. Siedząc na krawędzi, przeciągnął się, aż zatrzeszczało w gnatach.

Spojrzał na Genię.

— Śpi — pomyślał. — Moja żona... Na wspomnienie tej nocy poślubnej poczuł dreszcz rozkoszy. Otrząsnął się, wstał. Słysząc było ciężkie stąpanie bosych stóp tu i tam; potem plusk wody na miednicy.

Genia nie spała. Zda się całą noc nie spała, wspólnym jego i własnym oparem potu obezwładniona.

Odetchnęła z ulgą. Sama została w tej swojej a nie swojej już pościeli. Posunęła się nieznacznie, lekko zgiąwszy kolana, aby oddrętwiały, a bardziej jeszcze, aby chłodnego pod kołdrę nabrać powietrza a zrzucić to męczące lepkie ciepło. Poprzez znużone powieki, jak przez mgłę widziała rozmierzwną Felka czuprynę. Moczył swe kudły a ręcznikiem ocierał, przygładzał. Widziała nagie jego bary i ręce i plecy. Za-

cisnęła oczy. Byle nie spostrzegł, że nie śpi, byle nie zagadnął!

Nie wiedziałyby co odpowiedzieć, lękała się każde-  
go słowa, któreby paść teraz miało, z jego lub z jej  
ust.

Nic nie miało się wyjaśnić i cokolwiek by się wy-  
jaśniło było by w tej chwili okropne. Genia czekała,  
aż on wyjdzie. Wyszedł wreszcie. Nie zbliżył się na  
pożegnanie. Może spojrział, może śpiącej budzić nie  
chciał. Dobrze uczynił, że się nie zbliżył, że poszedł.

Słyszała jeszcze jego głos za drzwiami i głos jego  
matki, a potem nastąpiła cisza.

Szarpnęła się Genia na łóżku, kołdrę zrzucając na  
nogi i odwróciła się twarzą do ściany. W cudzym zna-  
lazła się domu, w cudzym leży łóżku. Cóż to za zmia-  
na nagła w jej życiu? Nie wiedziała, że to tak! Gdy-  
by była wiedziała, może by nigdy na to się nie zgo-  
dziła. A wszystko to stało się przeciw za jej przyzwolen-  
niem, stało się, i tak już pozostać ma na zawsze!

— Do wszystkiego można się przyzwyczaić —  
szepnęła sama do siebie; a może tak pomyślała tylko...  
Zaczęła się przyzwyczajać widocznie. Przecież tak  
niedawno jeszcze jego dotyk ręki, jego nieznaczone  
zbliżenie budziło w niej odrazę. Jakże więc stać się  
mogło, że ona tę noc przeżyła, że żyje jeszcze, że tak  
spokojnie teraz leży i umie o tym wszystkim myśleć?

Skoro się przemogła, pieścizom jego gburowatym  
nie czyniąc sprzeciwu, wiedziała jedno tylko: jest je-  
go żoną, żoną z własnej woli. Przymus miłości zacią-  
żył nad jej duszą tak, jak ten chłopak nad jej ciałem.

Świadomość przymusu zgmiotła ją i zmiażdżyła; a on korzystał z jej poddania się konieczności. Cóż miał, skoro ona nic mu z siebie nie dała? A jednak miał to, czego chciał, niczego więcej nie chciał; niczego więcej; był szczęśliwy a to jego szczęście było wstrętne. Teraz dopiero przypomniała sobie Genia, że w pierwszej chwili łkała płaczem niepowstrzymanym, w chwili gdy ją brał, w chwili gdy los ją zgniótł ostatecznie, los ucieleśniony w mężowym ciężarze. Płakała, a on myślał, że płacze ze szczęścia i sam z szczęścia szalał, a szczęście to było wstrętne.

Genia zwrócona twarzą do ściany, bezwiednie dłużyła paznokciem w szparze tynku; tynk okruciami spadał na pościel. Oczy młodej kobiety błądziły po szarej, chropawej ścianie, szukając gdzie by wzrokiem się zaczepić; nierówności w tynku albo zadrapania były jedynymi znakami, na których zmylone spojrzenie Geni zatrzymać się mogło, jak ta zabłąkana w ciasnej izbie muchołapka, albo wróbel, co wpadłszy w pułapkę mieszkania, już też i wyjścia znaleźć nie może — choć okno na świat otwarte. Okno tej izby było zamknięte. Genia odwróciła głowę ku oknu: jest zamknięte...

Rzuciła się na wznak i tak leżała długo bez ruchu, wpatrzona w pułap, z którego tu i ówdzie zwisały drobne opłatki białego, starego wapna i poruszały się nieznacznie, niewiadomo z jakiego powodu i w jakim celu. Genia odchyliła koszulę na piersi; gorąco nocy nie wyszło z jej ciała. Spojrzała na nie żałośnie; wydało jej się sponiewierane. Ciało — tak, jak jej



myśli... myśli dotychczasowe o miłości. Strzegła  
przec ciała swego od wszelkiego brudu; dziewczyną  
przec była do wczoraj. Czy warto było strzec, czy  
warto było chować to ciało w czystości i pięknie dla  
tej miłości, która jest taka jaka zjawiła się tej nocy?

Więc to tak? taka jest miłość gdy jej się dotknąć?  
tak inna od tej pomyślanej, od tej śnionej w wiośnie  
życia? Genia poczuła konieczność obmycia swego cia-  
ła z tej miłości, która swym brzydkim oparem wei-  
snęła się w pory skóry.

Zerwała się z łóżka, narzuciła coś na siebie i po-  
biegła do kranu w sionce. Tam spotkała matkę Felka,  
starą Dolińską.

— No, jak tam? — zagadnęła stara. — Dobrze ci  
teraz na świecie? Felek sobie chwali, rozumiesz? Pa-  
miętaj, aby tak było zawsze, a będziesz szczęśliwa.

Genia nic nie odpowiedziała; czuła, że jej ręce trzy-  
mające dzbanek pod kranem, zadrgały — czy z cię-  
żaru coraz to pełniejszego dzbanka, czy też...

Dolińska patrzyła na synową pytająco; wtedy ode-  
zwała się Genia trochę poniewczasie i bez sensu:

— Dzień dobry — mamoo... Słowo „mamo“ z tru-  
dem przeszło jej przez gardło. Zmieszała się i śpiesz-  
nie zniknęła w swym pokoju z dzbankiem pełnym wo-  
dy. Postawiła dzbanek na ziemi obok krzesła z mie-  
dnicą. Przez chwilę stała na środku izby, jakby od-  
poczywając, albo zastanawiając się co dalej.

Z niczego nie zdawała sobie w tej chwili sprawy,  
okrom z obcości, która ją otacza.

Ocknąwszy się, chwyciła oburącz miednicę, aby

zlać do wiadra brudną po Felku wodę; wokół jej ust zarysował się grymas niesmaku. Długo splukiwała miednicę, przyczym zrzuciwszy z siebie koszulę, poczęła się myć; myła się bardzo długo.

— — —

Nie tknąwszy śniadania, które przyniosła jej Do-  
lińska z uwagą, że to tylko w ten jeden dzień poślub-  
ny tak ją obsługuje, wybiegła Genia na ulicę. Ro-  
zejrzała się, jak by się zorientować chciała, gdzie jest,  
albo w którą pójść stronę. Szybkimi kroki skierowała  
się w stronę „domu“, w stronę domu matki.

## II.

### *Pierwsze refleksje*

Marcelowa rzuciła się córce w objęcia i przywitała ją z taką czułością, jak by w tej chwili uratowała ją z strasznego niebezpieczeństwa.

Nic się przecież nie stało niezwykłego, nic nie zaskoczyło obu kobiet i na to co się stało obie dały przyzwolenie. A jednak obie czuły, że niesamowity ciężar jakiejś niezwykłości przygniótł je i trzyma w uwięzi.

Płakały obie. Marcelowa siadła na łóżku i przyciągnęła do siebie Genię. Głaskała ją po rękach i szepnęła wreszcie:

— Już tu ciebie nie ma, córuchno...

— Już to nie mój dom, mamó — zauważyła Genia — ani ten, ani tamten; nie mam domu!

Westchnęła stara:

— Ja ciebie rozumiem.

Milczały przez dłuższą chwilę. Marcelowa przysunęła się jeszcze bliżej do córki:



— Powiedz, Geniu, jaki on jest?

Genia namyślała się przez chwilę:

— Nic nie powiem, mamó, to mąż.

Uśmiechnęła się gorzko.

Marcelowa zrozumiała.

— Modłę się — rzekła głucho — aby nie powtórzyło się to samo, co było ze mną.

Dreszcz przeszedł przez ciało Geni, takież dreszcz wstrząsnął ciałem Marcelowej i w wspólnym dreszczu odnalazły się, jak nigdy — matka i córka.

Genia wstała, przeszła się po kuchni, podeszła do drzwi sąsiedniego pokoju; zawahała się, poczym przycisnęła klamkę jakby z nabożeństwem. Drzwi otwarły się. Genia stojąc w drzwiach rozejrzała się po pokoju, pokoju ongi Antoniego Terlika. Zauważyła leżącą pod oknem zbitą doniczkę z więdnącą pelargonią. Podniosła ją i przyniosła do kuchni; przesadziła pieczołowicie do doniczki, co tam stała na oknie z obumarłym jakimś kikutem z roku zeszłego. Podlała. Kwiat był uratowany.

— Musisz resztę swoich rzeczy zabrać — zauważyła Marcelowa.

— Nie wezmę. Niech tu będą.

— Czemu? przecież potrzebujesz je?

— Wolę je stąd zabierać, gdy będą mi potrzebne. Będę zabierała i odnosiła, mamó.

— Czemu?

— To będę wiedziała, że to jeszcze mój dom potrosze. No i częściej będę przychodziła.

— A bo co? — odburknęła stara — Może ci kto zabroni przychodzić do matki?

— Nie zabroni, a jednak... Bo to już nie to co było, Milczenie.

Przerwała je Marcelowa.

— Więc tak Igniesz jeszcze do tej naszej biedy?

— Tak, mamó, zawsze to *nasza* bieda, nie obca, a to jest co innego. Przeżyłyśmy ją tak długo razem, a teraz przeżywać będzie każda swoją, to nie dobrze.

— Ino trzymaj się, Geniu, bo...

Genia podchwyciła, przytakując.

— ...bo nas rozdziobią wrony...

— — —  
— Et! zaraz tam wrony! — zachnęła się Marcelowa. Genia chciała wytłumaczyć, lecz coś jej przeszkodziło. Spojrzała bystro w okno i ściągnęła brwi:

— Idzie do nas Dolińska.

— Dolińska, powiadasz? Czego?...

— A czy ja wiem?

— Powiadasz: Dolińska, a ty sama od wczoraj Dolińska! wiesz?

— Prawda, mamó! ja jestem Dolińska!...

W tej chwili zastukano do drzwi. Weszła matka Felka i rzekła głośno:

— Dzień dobry, Marcelowo!

— Dzień dobry.

— A! to córuchna już znowu przy mamusi? Może pochwalić się, albo poskarżyć po tej pierwszej nocce, co?

— Nie gadałabyś tak! — warknęła gniewnie Mar-

celowa. — Dziewczyna i bez tego ledwie dyszy z tego wszystkiego.

— A co, czy nie rada? — mówiła krzykliwym głosem Dolińska, a Marcelowa ucieła:

— Siadaj lepiej a głupstw nie pleć. Czy to nie pamiętasz, coś przeżyła w pierwsze dni po weselu? Może ci było miło, co?

— A tak! żebyście wiedziały! bo ja umiałam już wszystko przed ślubem; tylko tyle, że do ostatniej chwili panną byłam, więc mój mi niczego przyganić nie mógł; a uciechę miał, bom wiedziała co trzeba.

Genia rumieniła się, a Marcelowa gniewnie mrugała oczami:

— No już dosyć tego, powiedz lepiej...

— Co dosyć? — niecierpliwiła się Doliniakowa. Genka mężatka, to ma wiedzieć wszystko, a my stare są od tego, aby ją pouczyć. Milczałam na tę noc, bo to na pierwszy raz to i głupia dobra dla chłopaka, ale potem, to już coraz więcej sztuczek wyuczyć się musi, żeby do innej nie chodził, a z chęcią z żoną spał. Tego Genia jeszcze nie umie, a nauczyć się musi.

— Ja za wszystkie nauki pięknie dziękuję — odezwała się wreszcie Genia. — Kobieta to nie piesek wyuczony służenia i podawania łapki.

— Ha, jaka mi to mądrała! — jęła natrzasać się Doliniakowa. — Jak nie chcesz się nauczyć, to on już sam sobie z tobą poradzi a jeszcze inną sobie dobierze, co mu lepiej dogodzi.

Zerwała się Genia z pasją:



— Ja tego słuchać nie chcę, mamó! Co to będzie później, gdy już pierwszy dzień mi zatrująją! Dość tego!

Szarpnęła drzwiami i zniknęła w przyległym pokoju.

Chwila ciszy. Genia była wzburzona. Przez drzwi słyszała przytłumione głosy sprzeczki obu matek. Głosy te stopniowo łagodniały. Znowu cisza.

Wreszcie uchylily się drzwi.

Doliniakowa wsunęła do pokoju głowę:

— No, nie markoć się, Geńko. Nic się nie stało. Już idę, a ty wróć za chwilę; bo co będzie jak on wróci i nie zastanie cię w domu!?

Zniknęła. Genia słyszała zamykanie drzwi kuchennych i ciężkie westchnienie matki.

— Co będzie, jak on wróci i nie zastanie cię w domu — powtórzyła głucho Marcelowa, gdy Genia weszła do kuchni.

— Co będzie to będzie! — odparła matce, która jakby z uznaniem na nią spojrzała.

Umilkły. Genia poczęła przekładać swoje szmatki z miejsca na miejsce, przeglądać, wybierać. Nie wiele tego było. Przeliczyła swoje książki; siedem! tak siedem! Zawsze jedną tylko zabierze tam, bo to nie wiadomo, co z książką stać się może, gdy ludzie nie książkowi.

— źle zrobiłam mamó, że wyszłam za Felka.

Marcelowa otworzyła szeroko oczy, poczym obejrzała się, czy aby nikt nie usłyszał. Bo to może i tak jest, ale tego wymówić nie trzeba, a już zgoła nie tak

nazajutrz po ślubie, po pierwszej nocy przespanej z mężem. Po długim namyśle jąła Marcelowa mówić jakoby przed siebie:

— Nie tak mów, ino bacz co dalej. Przysięgałaś po bożemu, to i dochować musisz. Bo to widzisz: są dziewczyny różne; jedna to ledwie z pieluch się wywierzga, a jużby z chłopem kładła się pod byle krzakiem, a inna znów przemóc się nie może do tego, w co tamtym graj. Ty taka jesteś, Geniu; ale przy bożej pomocy to i zasmakujesz w Felku i będziesz rada, jak dzieci po kolei piastować będziesz mogła własne.

Genia nic nie odpowiedziała. Poczula, że coś ją na dolku przyciska z markotności. Niespodzianie przypomniała sobie złą chwilę przeżytą przed ołtarzem. Ten zły wzrok księdza, który im wczoraj ślub dawał. Czemu tak twardo mówił słowa obrzędu, czemu tak patrzył na nią obleśnie, że jej się zdawało, iż to diabeł wiąże stułą ich ręce, a błogosławi bożymi słowy i znakiem świętego krzyża? Wszystkie te wrażenia doznane wczoraj a tłumione jakąś zaciętą wolą, tamtemu, Antoniemu Terlikowi na przekór, poczęły dzisiaj wyłazić z ukrycia i zdały się szydzić głośno z tej nieudanej jej miłości, co jej nic nie dała, a wszystko zabrała — cały smak życia.

Genia myśleć przestała; patrzyła chwilę przez okno, poczym nagle chwyciła przygotowane zawiniątko i rzekła:

— Mamo, czas mi iść. Do widzenia; przyjdę przed wieczorem. Gdzież Józek, że się wcale nie pokaże?

— Gdzieś tam się włóczy z dzieciakami.

— Pa, mamó!

Genia z opuszczoną głową wyszła, kierując się w stronę domu Felka. W bramie stał Kawczyński. Zdaje się, że powiedział dzień dobry i zdaje się, że uśmiechnął się brzydko.

Gdy Genia znalazła się na ulicy, przyspieszyła kroku; pomyślała sobie:

— Cóż będzie, gdy on do domu wróci, a jej nie zastanie?

Roześmiała się na głos.



### III.

#### *Znaleziona książka*

Któregoś dnia Marcelowa sprzątając w mieszkaniu, znalazła gdzieś w kącie na pół podartą książkę. Pewnie to książka pana Terlika, co się tak zapodziała.

Stosunek Ziębiny do książki, gdy chodziło o Genię, zmienił się zasadniczo. Od pewnego czasu widziała w książce ukojenie córki. Znalezione strzępy oddała Geni. Ta rzuciła się na nie łakomie. Nie wiedziała jaka to książka i kto ją napisał. Nie było okładki ani karty tytułowej; strzępy zaczynały się od strony dziewięćdziesiątej. Mimo to Genia zabrała się do czytania, wróciwszy do domu Doliniaków od matki. Nie było nikogo; usiadła i poczęła czytać.

Strona dziewięćdziesiąta i dwie następne nic jej nie mówiły; nie знаła związku z kartkami zaginionymi. Czytała dalej machinalnie; myśli jej uciekały od książki w jej nowe życie codzienne.

Nagle coś ją tknęło. W nieuważnie przeczytanym zdaniu odczuła jakąś pokrewność z swym osobistym życiem.



Zawróciła i jęła zdanie to czytać od początku, skupiwszy w jego treści całą swą uwagę:

„Jest świat ogromny. Ludzi około dwa miliardy...”

Genia położyła książkę na kolanach i jęła się zastanawiać, ile to właściwie jest: dwa miliardy. Tysiąc, sto tysięcy, milion i wiele milionów... to jeszcze jakoś imać się jej wyobraźni. A miliard to musi być znacznie więcej, a dwa miliardy, to już tak dużo, że wyobrazić sobie nie sposób. Genia pogodziła się z tym, że widzi przed sobą ogromny świat wypełniony ludźmi, których zliczyć nie można.

Pomyślała jeszcze chwilę i jakby zdobywszy sobie myślową podstawę do dalszej lektury, jęła czytać:

„Każdy człowiek z tej ogromnej masy rozsianej po kuli ziemskiej posiada swój maleńki świat. Są ludzie, którzy mogą dużo podróżować, znają wiele krajów i wiele ludzi; tych świat jest rozleglejszy, aniżeli tych ludzi, którzy mieszkają ciągle na miejscu i nie troszczą się, co się dzieje poza ich ciasnym kręgiem codziennego życia. Ich świat może być rozszerzony przez czytanie wiadomości z wielkiego świata, podawane przez gazety i książki”.

W tym miejscu Genia znów odłożyła książkę i jęła się zastanawiać. Ucieszyła się do pewnego stopnia, że to jej świat jest jednak rozleglejszy, niż mamy, Felka i jego matki i braci, niż świat Kawczyńskiego i wielu innych, na których patrzy codzień. Bo ona czyta książki. Jeszczeby należało czasem przeczytać

gazetę — pomyślała. Gazeta nie droga; już za 10 groszy można kupić gazetę!

Jakież jest jednak to jej życie, ten jej świat? Pożera ją, obezwdnia, a ona z nim walczy, a walczy daremnie. Jakże słabą czuje się w tej chwili, skoro rady sobie dać nie może z tym małym światkiem, który jest jej światem. Ona tylko o sobie ciągle myśli, trochę o matce, trochę o Józku, a przecież ta ogromna gromada ludzi, te dwa miliardy składają się z takich istot jak ona. Każda z tych istot cierpi ogromnie, tęskni, szuka wyzwolenia, walczy, pada i rzadko tylko, bardzo rzadko raduje się a jeszcze rzadziej zaznaje chwili szczęścia. Żeby to tak można to całe nieszczęście tych dwóch miliardów istot ludzkich skupić w jedną masę i zważyć ten ciężar, który ludzie muszą dźwigać! Jakże małym wydał się Geni jej własny ciężar życia, i jak nie ważny. Bo cóż, że od dziecka cierpi głód i biedę, że patrzeć musi na biedę matki i brata? cóż, że kochała a kochaną nie była? że jest kochaną a kochać nie może? Cóż, że na niej powtórzyć ma los dokonaną już na jej matce próbę okrutną?

W tej chwili otrząsnęła się Genia, czując złego ojca, krążącego wokół jej myśli. Pierzchnął. Przeszkodził układaniu się myśli i pierzchnął!

Znów jest sama z swoimi myślami. I zaznała pewnej ulgi. Nie czuje się sama, skoro ma swe myśli. Możliwość myślenia wydała jej się w tej chwili zbawieniem. Już trochę nauczyła się myśleć; tę wyższość czuła nad swym otoczeniem. Lecz cóż! pożegnać musi swe myśli, wróci do nich później, dokończy; a już



przybliżają się do niej myśli ważne, takie, z których możeby wynikły ważne rzeczy i potrzeba dla jej życia, lecz spłoszył je głos Felka tam w sionce. Coś opowiadał matce. Odruchowo chciała wstać i iść do męża z obowiązku. Lecz coś ją trzymało. Jakaś półświadomość wzbarniała jej wybiegać Felkowi na przywitanie, bo gdyby tego nie czyniła później, zawsze, co dzień, możeby raz znarowiony, potem ciągle o to się dąsał na nią?

Felek wszedł do izby z hałasem.

#### IV.

##### *Obok siebie*

Po upływie trzech tygodni Genia odetchnęła. Felek wydawał się nasycony. Wreszcie młoda kobieta zaznała nieco spokoju; wysypiała się. Czuła się coraz lepiej; ustąpiły ciemne podkrążenia oczu, te podkrążenia, z których naigrywał się najwidoczniej Kawczyński. Równocześnie sprawy pieniężne poprawiły się w „obu domach“ Geni. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności znalazła pracę dla matki i dla siebie w parku Łazienkowskim. Otoczenie bujnej zieleni i kwiatów, świeże powietrze i byt zapewniony, wszystko składało się na coraz jaśniejsze spoglądanie Geni na świat. Nie ufała jednak losowi. Powtarzała wciąż sobie w myśli: „nie długo to potrwa“. Chciała być czujna: a czujność była wskazana, bo obok kwiatów byli ludzie, do których przekonać się nie mogła. Felek? nie! nie jego miała na myśli; przekonanie do męża to rzecz zgoła inna, niż przekonanie do ludzi. Felek był instruktorem oddziału „Związku Strzelec-

kiego". Pasjonował się do tej pracy. Lubił mieć podkomendnych. Regulamin piechoty był jego pacierzem codziennym, a funkcją wykonywanie regulaminu.

Gdy wracał wieczorem do domu bardzo zmęczony, zadowoleni byli oboje, on i Genia; on z poczucia dobrze spełnionego obowiązku, ona w oczekiwaniu spokojnej, nieprzerywanej jego zachciankami nocy.

Genia odczuwała zadowolenie, że może połowę swego zarobku odstąpić matce „na całkowite utrzymanie braciszka“; z tego „utrzymania“ czerpała jednak Marcelowa na opłatę komornego. Za namową Geni przestała szukać sublokatora i przeniosła się do pustego po Terliku pokoju. Było przestronnie jak dawniej i przestronniej jeszcze, choć smutniej z braku Geni.

Po pewnym też czasie na całej rodzinie Ziębiny znać było lepsze odżywianie; i troska wszelka byłaby może opuściła dom Marcelowej, gdyby czujne matki oko nie dostrzegło w oczach córki na stałe zagnieżdżonej smutnej zadumy.

A zaduma ta — o czym matka nie wiedziała — płynęła z dwóch źródeł. Pierwszym, podstawowym źródłem była głęboka rana zadana miłości dziewczyny, rana, która nie chciała zabliznić się w kobiecie; drugim źródłem wewnętrznego smutku, a może i niepokoju, to codzienność stwarzana przez otoczenie, nijakiego nie budzące zaufania. Konieczność ciągłej czujności w stosunku do szwagrów i wciąż płaczącej się przy nich Lili, która teraz czuła się starszą, bo bardziej doświadczoną, siostrą Geni, stwarzała w młodej kobiecie nieustanny niepokój. Wy-



dało jej się, że jakiś brud życia co dzień się o nią ociera. Nikt w domu nie wiedział, gdzie Jędrak i Wicek pracują; wiadano tylko, że wydają dość dużo pieniędzy.

A jednak nie to wydawało się Geni najważniejszym. Brud życia! Co jest brudem życia? Czym jest jej pożycie z Felkiem? czym, skoro oddawanie się mężczyźnie uświęcone być może tylko — miłością? Nie kocha Felka, a jednak oddaje mu się — przymuszona wprawdzie, ale to rzeczy nie zmienia, toż przymus wzięła na siebie dobrowolnie! Brud życia! Oddaje się, a to pożycie nie jest uświęcone miłością!

Sakrament!... Nie! nie! Genia wierzyła w sakrament miłości, nie w sakrament małżeństwa! Jest więc sama z sobą w sprzeczności! To wie, bo myśleć umie!

Och! gdybyż można czasem od myśli się uwolnić! Może nic nie wiedzieć największym jest spokojem życia?

Genia zdaje sobie sprawę z tego, że wie bardzo mało; a jednak wie zbyt wiele na to jej życie, które tak marnie pędzi, na to mizerne życie wie za wiele! Stąd jej udręka, stąd jej smutek.

A może spokój i pogoda życia zależą od rozmiaru myśli i rozmiaru przeżyć? Może nierówność myśli i życia głównie naruszają równowagę człowieka?

Nie! chyba nie to! chyba niezaspokojenie pragnienia, którym to myśli wszystkie wciąż są na usługach, przypominając nieustannie głód serca.

Genia wśród własnych myśli nie mogła siebie odnaleźć; szukając siebie, zgubiła się.

Pewnego wieczora ocknęła się, gdy poczuła ciężką, kaprałską rękę dłoń na swym ramieniu; nie spostrzegła wcale, że wszedł do pokoju.

— Geńka! — zawołał — czegoś tak drgnęła, co?... Powiedz, o czym ty tak ciągle myślisz?

Geni zdawało się, że na to pytanie musi odpowiedzieć. Lecz co miała odpowiedzieć? Sama czuła się zginioną wśród własnych myśli, sama ich nie rozumiała; jakżeby on je mógł zrozumieć, te jej myśli, których nazwać nie umie. Patrzała mu w oczy; a on tym spojrzeniem zaniepokoił się nie wiedzieć dlaczego:

— Coś ci jest, Geńko, coś przedemną ukrywasz!

— Nic nie ukrywam.

— Może ci źle ze mną? — pytał natarczywie, przysiadłszy i objąwszy żonę w pól.

— Nie, nie to.

— Więc co?

— Et, daj mi spokój! — Odwróciła się ku oknu.

— Geńko! — ozwał się twardziej. — Tak nie można. Jeżeli ci co zawinił, powiedz, a nie odwracaj się.

Opamiętała się. Słowa jego były słuszne. Zwróciła się ku niemu i sądziła, że tym ruchem go przeprasza. On też ją tak rozumiał w tej chwili. Genia pomyślała sobie:

Jeszcze nic się nie popsuło między nami. Tak pomyślała, a on podchwycił to, jakby te słowa była po-

wiedziała głośno. A może wymówiła je głośno, nie wiedząc o tym?

— Co nie popsulo się jeszcze między nami? — pytał Felek niespokojnie.

— Nic, Felku! Właśnie nic się nie popsulo.

— Wiesz co, Geńko! — zawołał zniechęcony. Wstał i chodzić począł po pokoju. — Wiesz co? — pleciesz głupstwa.

— Nie plotę głupstw, Felku; tylko nie wiem jak to powiedzieć.

— A co mi chcesz powiedzieć?

Chwyliła męża w pewnym momencie za rękę, pociągnęła ku sobie:

— Siądź tu koło mnie, Felku. Słuchaj, może mnie zrozumiesz. Tak trudno mi mówić, bo boję się, że mnie nie zrozumiesz.

— Mów.

— Posłuchaj. Przypomnij sobie. Pamiętasz, jak za mną chodziłeś, za głupią dziewczyną i ciągle chciałeś żenić się ze mną. Pamiętasz, że ja nie chciałam.

— Tak, pamiętam. No ale wreszcie pożeniliśmy się. Czy to źle?

— Tego nikt nie wie, źle, czy dobrze, to się pokaże. Ale żeby było dobrze to musimy już iść razem, a zdaje mi się, że to droga daleka — i trudna.

— Gdzie ty się wybierasz, kobieto?

— Felku! zupełnie mnie nie rozumiesz. Jak więc mamy iść razem?

— Dokąd?

— Tam, gdzie by nam dobrze było, a jeżeli nie dobrze, to przynajmniej nie tak pusto.



— A teraz ci pusto?

— Tak pusto mi, i tobie też; tylko że ty tego nie czujesz.

— Jak to pusto? — dziwił się Felek.

— No zastanów się: ty musztrujesz młodych chłopaków i dostajesz swoje 80 złotych. Ja tam flancuję kwiaty, obciosuję trawniki, albo pielę grządki i też dostaję moje trzy złote dziennie. Potem zjadamy razem co Bóg da, potem śpimy razem i wszystko na drugi dzień od początku, i co dnia to samo; i tak żyjemy razem, a nie razem, bo każde żyje sobie, ty sobie, ja sobie.

— A czego byś ty jeszcze chciała?

— Chciałabym, żebym mogła o tym wszystkim z tobą mówić; chciałabym żebyś myślał i mówił mi co myślisz, i żebyś słuchał też, co ja myślę. Tak to byśmy żyli razem, a nie każde osobno. Czy teraz wiesz?

— Nie, nie wiem. Wiem tyle, co przedtem wiedziałem.

— No to słuchaj, coś ci opowiem: Pamiętam raz szłam ulicą Belwederską. To było zeszłej jesieni. Ulica była dosyć pusta, tylko przedemną szedł jakiś pan, a obok niego, o krok, jakaś pani. Może to było małżeństwo, a może i nie. Szli tak przedemną, szli, szli i nic do siebie nie mówili, szli o jeden krok od siebie i nic nie mówili. Nic nie mieli sobie do powiedzenia. Ja szłam za nimi i tak sobie myślałam: czemu oni nic nie mówią do siebie?

— Może to byli głuchoniemi? — zauważył kpiąco Felek.

— Nie! — zaprzeczyła Genia. — On wreszcie spojrział na zegarek i powiedział, że już godzina szósta; ona zawołała: ach jak późno! Przyśpieszyli kroku i szli, znów do siebie nic nie mówiąc...

— No i co z tego? — mruknął Felek.

— To teraz tak sobie myślę ... ciągnęła Genia z odzieniem zadumy — że my to tak jak oni. Bo my też sobie nic nie mówimy. Jesteśmy głuchoniemi.

— A co ty chcesz tyle gadać, Geńko? babą jesteś, to ci cni się bez gadania. Masz matkę, masz moją matkę, masz kumoszki, to sobie gadaj ile wlezie. A co do mnie, to ja tam wiele czasu nie mam na gadanie.

— Właśnie! — westchnęła z żalem Genia. A jak nie będziemy sobie mówić tego co myślimy, to będziemy jak ci obcy ludzie dla siebie.

Rozmowa ta zniecierpliwiła wreszcie Felka, a niecierpliwość stawała się tym gwałtowniejsza im piękniejsza wydawała mu się młoda żona. Zbliżył się znów do niej, objął jedną ręką w pól, a drugą po piersiach wodził i rzekł przykładając twarz do jej twarzy:

— Już my się zawsze znajdziemy Geniu! nie we dnie, to w nocy! Ino by bachor za wcześnie na świat nie przyszedł, bo jużbyś o nim tylko myślała, a mnie poniechała.

Gwałtownym ruchem chwycił Genię i poniósł na łóżko. Położyła się u jego boku.

## V.

*Szwagier*

Zdarzyło się, że prace w parku Łazienkowskim zawieszono na cztery dni z powodu mającej odbyć się tam jakiejś uroczystości. Wprawdzie zarobek czterodniowy odpadł zarówno Geni jak jej matce. Marcelowa jednak potrzebowała odpoczynku. Genia mogła dogonić pewne zaległości domowe zwłaszcza w zakresie szycia. Doliniakowa miała do oprania i obszycia prócz siebie jeszcze dwóch synów; Felka wzięła już Genia na siebie. Musiała jednak Dolińskiej pomóc, bo nagromadziło się zaległej roboty cieniemiara.

Cały więc dzień cerowała bieliznę w izbie Doliniaków.

W chwili, gdy wszedł Jędrzej, starej nie było z Genią; w kuchni przyrządzała obiad.

— Dzień dobry bratowej! — zawołał głosem rucaszynym Jędrzej, ciskając czapkę na okno.

— Dzień dobry — odpowiedziała Genia, nie odry-



wając oczu od roboty. To ty masz dzisiaj też dzień wolny?

— A bo co! — zaśmiał się Jędrrek. — Może śliczna bratowa nie rada, żem w domu, co? Już ja wiem, kiedy mam „fajerant“.

— A bezrobocia to się nie boisz, żeś taki zawsze pewny siebie? — zagadnęła Genia.

— Niedołęgi boją się bezrobocia — fuknął pogardliwie Jędrzej; sięgnął do kieszeni, dobył coś czarnego, błyszczącego, siadł na ławie pod oknem i jął majstrować; a był to rewolwer.

Genia zdziwionymi oczami patrzyła przez chwilę na to niesamowite narzędzie w rękach szwagra, poczym milcząc, znów szyła pracowicie.

Jędrzej podjął po długiej chwili:

— Bezrobocie! hm... jeżeli jest pół miliona albo milion bezrobotnych w Polsce, to jest właśnie milion durniów, niedołęgów. Jak w gazecie ogłaszają statystykę bezrobotnych, to to powinno się nazywać: statystyka durniów. Bo, powiadają: miara bezrobocia, to miara głupoty.

Genia roześmiała się:

— Więc ty myślisz, że w Polsce jest tylko milion głupców? ja myślę, że wiele więcej.

— Może i więcej, ale tak piszą. A tacy ludzie jak ja, nigdy nie będą bezrobotni, bo tacy nie są głupi.

— A co ty właściwie robisz?

— Aha! — zaśmiał się Jędrzej — już byś chciała mnie zarejestrować do jakiejś branży! Jakbym był zarejestrowany w branży, to bym po miesiącu już

był zarejestrowany jako ten durny bezrobotny. Dlatego to nikomu nie mówię co robię.

— A Wicek?

— Też nie głupi. A gdybyś ty chciała być nie taka głupia, to by ci było lepiej na świecie.

— Mam pracę, ładną pracę w kwiatkach, w parku. Jak pogoda, to aż się serce raduje.

— A jednak ciągle strach cię bierze przed bezrobociem — szydził Andrzej.

— Tak! strach mnie bierze, gdy pomyślę o ziemi! — westchnęła Genia.

— Widzisz, takie to te twoje kwiatki, pokpiwał szwagier. — Bo głupota tyle daje szczęścia, ile kwiatka powąchać, a potem co? Na taką pracę nie da się nabrać człowiek taki jak ja; człowiek zależny tylko od siebie.

— A Felek?

— Felek też głupi, ale przynajmniej za te 80 złotych może musztrować durniów czy lato czy zima. Ale ty nie umiesz się zabezpieczyć na trwałe. Inna to by co dzień miała pełne garście forsy.

— Może tak jak Lili, co? — poczęła szydzić z kolei Genia.

— To już jak która chce i umie! — odciął Jędrak.

— Ty, Jędrku, tak za nią stoisz, bo ona ci na wszystko pozwala.

— Tak, ona mi pozwala, a ja jej. Czemu nie.

— No, a z czego ona ma tyle forsy? — udała Genia naiwną.

— Od frajerów.

— To ty też jej frajer?

— Ja jej nie płacę, chyba to, co się razem zabawi-  
my w knajpie; a jak ja właśnie forsy nie mam, to  
ona płaci; więc ja nie frajer. Wicek, to czasem jej  
płaci galantnie, jak mu tam trochę pozwoli; ale ja  
nie, bo ona mnie lubi, to za darmo wszystko.

Genia siliła się na uśmiech. Jędrak spotrzegł pod  
powłoką przymuszonego uśmiechu przykry grymas.  
To go poirytowało.

Rzekł więc na przekór:

— Widzisz, Geńko, żebyś była mądra, miałabyś  
też swoich frajerów i kupę forsy.

Oburzyła się:

— Czyś ty zwarzjował? Czy nie mam męża? Jak  
możesz tak mówić, ty szwagrze! rodzony bracie  
Felka!?

— O! widzę — jał kpić Jędrak — żeś ty nie dzi-  
siejsza. Ale przyjdzie taki czas, że będziesz dzisiej-  
sza — ino niech was bieda przyciśnie. Ot widzisz  
Geńko, ja Wickowi też czasem Lili użyczę; niech się  
ucieszy, co mi tam, czy jej z tego co ubędzie? ja i tak  
mam, co chcę.

— Świntuchy! — szepnęła Genia przed siebie. —  
I Lili też taka, jak wy.

— O! jaka święta! Wy wszystkie takie, a właści-  
wie to tylko to, że jedna tańsza, druga droższa; a z la-  
tami coraz tańsza. Najdroższe są te najbardziej smar-  
kate.

— Głupstwa pleciesz! — ucięła Genia, odkładając  
robotę i chciała wstać i odejść.



Zatrzymał ją:

— Słuchaj, opowiem ci coś, uśmiejesz się i potem powiesz, czy tak nie jest, jak mówię.

Genia opowiadki lubiła; dała się skusić; gdy z zaciekawieniem spojrzała na Jędrka, ten ją opowiadać:

— Słuchaj: była raz wielka cesarzowa, piękna kobieta, ale już nie młoda. A było to po wojnie. Przebrała ją i musiała nieprzyjacielowi odstąpić Śląsk.

W tym czasie zdarzyło się, że jakaś frajlina na jej dworze zaszła w ciążę; a dwór cesarzowej był bardzo pobożny i akuratny. Zwiedziła się o tym cesarzowa i rozgniewała się okrutnie. Kazała przywołać marszałka dworu, a nie wiedziała, że to on zrobił bachora tej pannie. Jak mu więc zacznie wymyślać, że to dworu nie pilnuje, a on spokojnie czeka, aż się baba wykrzyczy. A kiedy już się wykrzyczała, on mówi: Najjaśniejsza pani, to nic tak bardzo złego, bo to moim zdaniem każda kobieta jest kurwa.

Cesarzową aż zatkało i woła:

— A ja?

Na to marszałek mówi:

— Najjaśniejsza pani — też.

A ona aż płacze i wrzeszczy i każe mu się wynosić za drzwi.

On stoi i mówi:

— Najjaśniejsza pani! a za dziesięć tysięcy?

A ona: Precz! za drzwi!

A on powiada spokojnie: No a za sto tysięcy?

A ona: Precz, łotrze!

A on: A za milion?

Ona: Precz!

A on: a — za — Śląsk?...

Wtedy ona usiadła na kanapie i powiada:

— Tak! to co innego.

A on uśmiecha się i mówi:

— Hm, więc... kurwa jest, ino Śląska nie ma!

Genia parsknęła śmiechem:

— A to kawał! ha! ha! ha!

Jędrak patrzył triumfująco.

Genia zanosila się od śmiechu; uspokoiwszy się, przypomniała sobie od czego ta rozmowa się zaczęła, chciała spoważnieć i zaprotestować, by jej nie porównywano z jakąś wszeteczną cesarzową, ale nie zdążyła założyć swego protestu, gdyż wszedł Wicek i krzyknął:

— Psia krew! obiadu jeszcze nie ma?

Za Wickiem ukazała się Doliniakowa z dymiącym garnkiem zupy.

## VI.

### *Zawistny los*

Zdawało się, że życie Ziębinowej rodziny zaczyna układać się normalnie, że ciężkie troski i wstrząsy stają się już tylko złym wspomnieniem a jedynie jeszcze stłumiony skurcz krtani odzywający się niekiedy, pamiętać każe o przeżytych złem, ten to skurcz łkania, co nerwową czkawką zda się być wtórem przydługiego płaczu. Tak zdawało się Marcelowej, tak najbliższemu otoczeniu Geni.

Ona jednak zbyt czujnie wsłuchiwała się w to, co się stać ma, aby pozwoliła kołysać się łagodniejszą przez chwilę rzeczywistością. Czuła dobrze rzeczywistość właściwą, tę u podstaw ich bytowania.

Zdawało się Marcelowej i najbliższym, że zło minęło. Tymczasem zaczajony bies szukał jeno nowej postaci, w którą by się przyodział dla skutecznego znów podejścia do tych istot, którym los zazdrości nawet pozoru życiowej pogody.

Oto nagle Marcelowa zachorowała. A stało się tak:



Rozbijając wraz z innymi robotnicami darnie na zoranym i bronowanym trawniku, gdzie miała być zasiana nowa trawa, nieopatrzny uderzeniem skaleczyła się dotkliwie w nogę powyżej kostki. Brudną szmatą krew zatamowawszy, wlokła się, kulejąc w stronę domu. W tym samym czasie Genia pomagała ogrodnikowi w jednej z oranżeryj. Wśród ziela i obfitego kwiecica mogła czynić wrażenie uroczej dziewczyny z bajki. Nikt jednak nie widział tego obrazka. Ogrodnik widział tylko pojedyncze kwiaty i krzewy, nie był zdolny ocenić wzajemnego oddziaływania na siebie zjawisk, jak przeciętny widz na wystawie obrazów nie ocenia wzajemnego oddziaływania na siebie plam barwnych. Właśnie Genia niosła za ogrodnikiem dwa kosze pełne kwiatowych flanc, skierowując się ku wielkiemu kładowi w pobliżu, gdy spostrzegła biegnącą naprzeciw kobietę, coś ku niej wołającą głosem przeraźliwym. Była to towarzyszką pracy Marcelowej.

Z tego wrzaskliwego bełkotu wyrozumiała Genia tylko tyle, że stało się coś złego. Któż mógł jednak wymiarkować co się stało! Wreszcie Genia uświadomiła sobie, że o jej matkę chodzi, dosłyszała, że matka krwią zbroczona, słaniając się, powlokła się w stronę bramy przy ulicy Podchorążych.

Genia spojrzała pytająco, przerażonymi oczami na ogrodnika i jęknęła tylko:

— Moja matka!

— No to duchem, duchem — zawołał ogrodnik — trzeba pomóc!

Spiesznie postawiła kosze z flancami przed ogrodnikiem i pobiegła. Długo tak biegła ku wyjściu z parku; matka zdołała już ująć kawał drogi. Wreszcie na chodniku spostrzegła Genia ślady krwi, zrazu małe, potem coraz wyraźniejsze, aż za zakrętem ulicy, już przy Czerniakowskiej, ku swemu przerażeniu ujrzała matkę skuloną pod murem, a wokół niej na bruku kałużę krwi.

Genia ze zgrozy ścisnęła oburącz chustkę na piersi, zorjentowała się jednak w lot, co czynić. Gwałtownym ruchem skinęła na przejeżdżającą dorożkę; a gdy dorożkarz konia zatrzymał, dopadła matki.

Z trudem zdołała krwią broczącą matkę umieścić w dorożce. Marcelowa stękała i pojękiwała, a jednak w rozpartej jej pozycji odgadnąć nie trudno było zadowolenia, że to po raz pierwszy w życiu jedzie w powozie.

Gdy dorożka zatrzymała się przed kamienicą, w podwórzu której mieszkała Ziębina, wytworzyła się sytuacja kłopotliwa, w oczach Geni tragiczna. Chorą opuściły siły i zemdląła. Na czynione rozpaczliwe znaki Geni, stojący w głębi bramy Kawczyński, ruchem niechętnym a powolnym jął się zbliżać ku dorożce.

— Panie Kawczyński! — wołała Genia rozpaczliwie. — Pomocy! sama nie dam rady!

— Hm, no tak — mruzczał dozorca kamienicy, a pomruk jego pełen był niechętniej łaskawości.

— No tak, a co się stało? znów ucięłyście jakiś śpas.

— Prędko, panie Kawczyński! — wołała Genia. — Wody! toż pan widzi: matka zemdląła, może kona!... Boże!

Powolnym krokiem wszedł dozorca do swej kryjówki, a tymczasem dorożkarz wszczął dyskurs gwoli zabezpieczenia własnych interesów. Odwrócił się ku obezwładnionej Marcelowej, potem spojrzął na Genię:

— A co pani sobie myśli; może za jeden kurs będę tu tak sterczał długo? O! krwią zapaskudzony powóz — co? Kto to zapłaci, co?

Genia tak była skłopotana, że nawet nie słyszała słów woźnicy. Zjawił się tymczasem Kawczyński, trzymając blaszany garnuszek z wodą.

Genia jęła spryskiwać bladą twarz matki; a gdy ta się ocknęła, kazała jej pić. Dorożkarz tymczasem kłął pod nosem; wtórował mu dozorca. Genia spojrziała rozpaczliwie a prosząco na Kawczyńskiego, próbując ująć matkę pod ramię.

— Ja tam pani Ziębiny za darmo nosił nie będę! — burknął Kawczyński i cofnął się swej stróżówki. Genia z wysiłkiem podniosła matkę z siedzenia. Szczęściem nadbiegł Jędrzej, który się dowiedział, że się coś przytrafiło.

— A co to się stało? — krzyknął.

— Pomóż Jędrku! — wołała Genia. — Mama we krwi, ledwie żywa!

— Psiakrew! — splunął Jędrzek w garść i chwycił z mocą Marcelową, aż jęknęła. Gdy Genia chciała pomagać, rzekł ostro:



— Na bok! sam zredzę, otwieraj drzwi przedemną.

Jędrak niósł Marcelową do jej mieszkania. Położył ją na łóżku. Stał chwilę zadyszany. Genia zaczęła na matce rozpinać suknię; Jędrak zwrócił się ku drzwiom, w których stanął dorożkarz.

— Czego jeszcze! — huknął nań niecierpliwie Jędrak.

— Co „czego“? a zapłacić to nie łaska?

— Ile kurs?

— Kurs to kurs! mruknął hardo dorożkarz. Tu są najmniej trzy kursy.

— Płacę kurs i basta! — wrzasnął Jędrak i dobył z kieszeni złotówkę, a gdy woźnica wzbraniał się przyjąć, rzucił mu ją pod nogi i zatrzasnął drzwi. Nie zatrzasnął! dorożkarz bowiem butem drzwi zastawił i ryknął:

— Pan cholernik taki, a mnie się należą trzy kursy; a krwią zapaskudzony powóz, to co? do cholery!

— Słuchaj psie sakramencki! — huknął Jędrak.— Bierz sobie złotówkę, a co nadto, to po łbie ile zechcesz! A nogą mi drzwi nie zastawiaj, bo mordę spiorę.

— To ja idę na policję! cholerne państwo - chuderlaki.

Jędrak drzwi zatrzasnął i zwrócił się w stronę Geni obmywającej już wielką ranę na nodze matki.

— A co to się stało? — spytał. Marcelowa patrzyła przed siebie blada z wyczerpania i lęku:

— To łopata... łopata... — jęknęła z trudem.

— Kto?

— Ja — sama... tak! — och! och! jak boli!...

Krew sączyła obficie. Genia była zrozpaczona; przy robocie ręce jej się trzęsły. Rzekał po chwili Jędrak:

— Należycie przecie do kasy chorych! tu trzeba lekarza.

Genia patrzyła przerażona, pytając Jędrka o radę.

Rzecz rozstrzygnęła chora, poczuwszy nagle władzę języka:

— Bogdaj was z kasą chorych! A to nie wiecie, że trzeba ze trzy niedziele robić starania, a kwitki, a pieczątki, a świadectwa!... Bogdaj was! ja to z musu. Potrącają mi na kasę chorych, a jednak nie chcę! lepiej zdechnąć! Ja i tak już tego nie przetrzymam; wszystka krew ze mnie wyjdzie o! ooo!...

Jędrak zdecydował po chwili:

— Krew trzeba zatrzymać! pójdę po glinę, zatrzymamy!

Wybiegł. Tymczasem Genia mokrą szmatą tamowała krew jak mogła. Po pięciu minutach wrócił Jędrak z wiadrem gliny, jak mówił, a w rzeczywistości ziemi, i jął zabawiać się w felczera. Po kwadransie noga obłożona była grubą warstwą ziemi i owinięta ręcznikiem.

## VII.

### *Pogrzeb — niepogrzeb*

Felek chodził zamroczony po izbie, a matka jego prawiała mu coś przeciw Geni. Nie był gniewny na żonę z własnego impulsu, ale z tego przygadywania matczynego i z wczorajszych pokpievek braci.

— Jaką to masz żonę, co! — podburzała go Dolińskowa, mieszając coś w donicy przed wieczerzą. — Jaki to ty mąż, że kobieta robi co chce, a o ciebie dba jak o zeszłoroczny śnieg!

— Tak, matko — odparł dość niecierpliwie syn strofowany — to niby tak jest; ale co tu robić? przecie chorej matki Geńka też nie może porzucić! Te parę dni miną i wróci, a teraz, jak woli, to niech tam już śpi z matką te kilka nocy.

Dolińska poprawiła się na stołku i nagle przestała wiercić kopyścią w donicy:

— Już ja też nie mówię, że ma rzucić chorą Marcelową, ale powiadam: jak żona chce, to może i o chłopca swego dbać i o matkę; a ona to taka pilna przy



matce, żeby nie być przy mężu. Czy by to zaraz Marcelowej noga odpadła, gdyby twoja żona choć na godzinę przyszła do ciebie pod kołdrę, a potem znów matki pilnowała? Trzeci już dzień, a tyle ją widać, ile tu po koszulę zajrzy albo inną kieckę.

— Przeczekał mamę — rzekł Felek po namyśle — to się odmieni. Marcelowa długo chorować nie będzie; że tam szpadłem sobie w girę zawadziła, to i co?!...

— A wiesz co? — zauważyła tajemniczo stara, — z Marcelową nie jest dobrze. Genia głupia, zapaskudziła ranę ziemią, noga napuchła aż do brzucha, czerwona, gruba jak bania, a Marcelowa w gorączce. Trzeba było zgłosić do kasy chorych, jak już opłacają.

Felek skrzywił się:

— To już lepiej zaraz na cmentarz! Kasa chorych jest od tego, żeby jej płacić i utrzymywać te wszystkie typy tam za okienkami i za biurkami, a jak przyjdzie co do czego, to pomocy nie ma.

— A ja wiem, że czasem jest.

— Czasem, ale nie zawsze, a nigdy na czas, jak jest gwałt. Zanim wszystko ostemplują co potrzeba i wpiszą co potrzeba, to też i nieboszczyk już gotowy.

Chwila ciszy. W głowie Doliniakowej układały się jakieś plany.

Odezwała się wreszcie:

— A może Marcelowa już umarła?

Znów cisza.

— Słuchaj Felek! powiadam, niech jej Pan Bóg da zdrowie, ale jak by co, to pamiętaj: zaraz po po-

grzebie sprowadź się do Geni tam, na to ich mieszkanie. Tu ciasno.

Felek spojrział na matkę uważnie. Tak! o tem nie pomyślał. Zaczęła mu się ta myśl uśmiechać — mieć własne mieszkanie!

Dolińska uznała, że na ten raz dość już gadania. Czuła, że jej rady zapuściły korzenie w synu. Teraz już go nie drażnić; niech pomyśli, a sam zacznie działać jak będzie pewny, że to jego wola — jak to chłop!

Felek wreszcie wstał i chwycił czapkę.

— Idziesz? — zdziwiła się Dolińska — a toż kolacja!

— Zajrzę tam do Geñki, zobaczą co się dzieje i zaraz wrócę.

W mieszkaniu Ziębiny zastał Felek niepokój. Genia wreszcie sprowadziła lekarza kasy chorych. Formalności i biegania było sporo, aż przyszedł lekarz i zarządziwszy przewiezienie chorej do szpitala, dopiero co odszedł. Dowiedział się Felek od zapłakanej Geni, że niebawem zjawi się tu karetka pogotowia. Tymczasem Genia przyodziewała nieprzytomną w tej chwili matkę w świeżą bieliznę.

Zwiedziała się cała kamienica o mającym się odbyć przewiezieniu ciężko chorej; zwiedziały się o tym domostwa sąsiednie; kto ciekawy stanął przed bramą, zwłaszcza kobiety — sąsiadki i gromady dzieci.

Zjawiła się też Dolińska. Kawczyński krzątał się z gestem, jakby nad czymś objął komendę.

Zwykła rzecz, jakich dużo w wielkim mieście. Zwykła rzecz też ściąga gapiów. A jednak tym ra-

zem nie pusta ciekawość — zda się — sprowadziła tu dookólnych mieszkańców. Nikt nie zdawał sobie z tego sprawy, lecz wszyscy odczuwali podświadomie patos losu, unoszący się od dawna nad nikłym, małoważnym domem Ziębów.

Jak przed niedawnym czasem gromadka tych samych sąsiadów przysłała do kościoła, aby asystować ślubowaniu Genowefy Ziębianki, tak ściągnęła tego wieczora, by odprowadzić — dokąd? — tego nie wiadziano — Marcelową Ziębinę.

To też gdy chorą wynoszono do karetki pogotowia, niektórzy mężczyźni już sięgali po czapki, ale wczas spostrzegli się, że to nie pogrzeb.

Dzieci umilkły przykładnie, a kobiety mniej zorientowane w sytuacji, jęły się żegnać. Gdy po wyboistym bruku karetka zwolna ruszyła, posuwał się za nią kondukt zadumanych ludzi, i zdawało się, że za chwilę pieśń żałobna uniesie się nad nimi. Lecz nie. Milczenie było ogólne. Ludzie szli za karawanem unoszącym żywych przecież ludzi, szli powoli, topnieli, aż zwolna rozpierzchli się w półmroku.



## VIII.

Nr. 53

Wypadki odtąd przewalać się jeły przez głowę Geni z taką szybkością, że nie zdołała ich sobie nawet uświadomić; nie zauważyła, jak dalece jej życie ulega przeobrażeniom. Zmiany takie są najmniej widoczne, gdy nie powodują zmiany środowiska i domu. Częściowo zmiany takie zaszły, to też Genia skutki wypadków odczuwała połowicznie; a jednak sięgały one podstaw jej bytu.

Co drugi dzień zarząd szpitala pozwolił Geni odwiedzać ciężko chorą matkę. Raz zabrała z sobą Józka; potem poniechała tego; z dzieckiem pobyt w szpitalu był zbyt kłopotliwy.

Patrząc na przeważnie nieprzytomną chorą, czuła Genia zbliżający się kres jej życia. Zgangrenowaną nogę pokrajano wielu cięciami od góry do dołu; opuchlina mimo to rozszerzyła się na partię brzucha; temperatura wykazywała powyżej 40°.

Gdy pewnego dnia Genia znów przyszła do szpitala i zgłosiła się w odwiedziny do Nr. 53, zakomunikowała jej siostra lakonicznie: „Nr. 53 nie żyje“.

Genia poczuła zdrtwienie w całym ciele; zachowała jednak spokój.

— Kiedy mama umarła? — spytała szeptem siostry miłosierdzia.

— Wczoraj wieczorem.

— Czy mogę odwiedzić ciało?

— Tak, w kostnicy.

Poszła. Przez chwilę stała w kostnicy w skupieniu. Dwa ciała okryte białymi całunami, jedno po prawej, drugie po lewej stronie kostnicy. Genia zawahała się. Na jednym z całunów zauważyła tabliczkę z numerem 53. Wtedy uklękła schyliwszy głowę i ujęła twarz w obie dłonie.

Podczas modlitwy za duszę zmarłej matki łzy kochającej córki lały się do jej dłoni.

Nie szlochała wszakże; ból i żal zamknęła w milczeniu.

Wracając do domu słyszała w uszach powtarzające się uporczywie zdanie: „Nr. 53 nie żyje“... „Nr. 53 nie żyje“... Ten numer 53 to jej matka. Och jakże okrutne jest to ponumerowane życie, ta numerowana śmierć!

Pełna żalu do rzeczywistości rozważała Genia mimowolnie dalej: Praca ją zabiła! ta praca, za którą tak tęskniły przez długie miesiące, która miała być ich wybawieniem!

Praca jej matkę zabiła, a jej ma dawać życie może jeszcze przez długie lata, po to, by może i ją zabić; zabić, albo powoli na śmierć wycieńczyć!

## VIII.

Nr. 53

Wypadki odtąd przewalać się jeły przez głowę Geni z taką szybkością, że nie zdołała ich sobie nawet uświadomić; nie zauważyła, jak dalece jej życie ulega przeobrażeniom. Zmiany takie są najmniej widoczne, gdy nie powodują zmiany środowiska i domu. Częściowo zmiany takie zaszły, to też Genia skutki wypadków odczuwała połowicznie; a jednak sięgały one podstaw jej bytu.

Co drugi dzień zarząd szpitala pozwolił Geni odwiedzać ciężko chorą matkę. Raz zabrała z sobą Józka; potem poniechała tego; z dzieckiem pobyt w szpitalu był zbyt kłopotliwy.

Patrząc na przeważnie nieprzytomną chorą, czuła Genia zbliżający się kres jej życia. Zgangrenowaną nogę pokrajano wielu cięciami od góry do dołu; opuchlina mimo to rozszerzyła się na partię brzucha; temperatura wykazywała powyżej 40°.

Gdy pewnego dnia Genia znów przyszła do szpitala i zgłosiła się w odwiedziny do Nr. 53, zakomunikowała jej siostra lakonicznie: „Nr. 53 nie żyje“.



Genia poczuła zdrętwienie w całym ciele; zachowała jednak spokój.

— Kiedy mama umarła? — spytała szeptem siostry miłosierdzia.

— Wczoraj wieczorem.

— Czy mogę odwiedzić ciało?

— Tak, w kostnicy.

Poszła. Przez chwilę stała w kostnicy w skupieniu. Dwa ciała okryte białymi całunami, jedno po prawej, drugie po lewej stronie kostnicy. Genia zaważała się. Na jednym z całunów zauważyła tabliczkę z numerem 53. Wtedy uklękła schyliwszy głowę i ujęła twarz w obie dłonie.

Podczas modlitwy za duszę zmarłej matki łzy kochającej córki lały się do jej dłoni.

Nie szlochała wszakże; ból i żal zamknęła w milczeniu.

Wracając do domu słyszała w uszach powtarzające się uporczywie zdanie: „Nr. 53 nie żyje“... „Nr. 53 nie żyje“... Ten numer 53 to jej matka. Och jakże okrutne jest to ponumerowane życie, ta numerowana śmierć!

Pełna żalu do rzeczywistości rozważała Genia mimowolnie dalej: Praca ją zabiła! ta praca, za którą tak tęskniły przez długie miesiące, która miała być ich wybawieniem!

Praca jej matkę zabiła, a jej ma dawać życie może jeszcze przez długie lata, po to, by może i ją zabić; zabić, albo powoli na śmierć wycieńczyć!

— Nr. 53 nie żyje! — powtarzała Genia z goryczą. — Praca zabiła Nr. 53!

Ocknęła się Genia dopiero przed drzwiami matczynego mieszkania.

## IX.

*W nowej sytuacji*

Po pogrzebie siedziała rodzina Dolińskich w Ziębinowym mieszkaniu pogwarzając o tym co się stało i o tym co teraz będzie. Genia odetchnęła, gdy rozmowy te się skończyły, a wszyscy prócz Felka opuścili mieszkanie.

— Musisz coś zjeść, Geńko — rzekł po długiej chwili milczenia Felek — od rana nic nie jadłaś, wyglądasz jak zmora.

— Tak, tam w szafce stoi garnuszek z mlekiem, podaj mi szklankę mleka.

Podał.

— A jeść nie będziesz?

— Nie... Zawołaj Józka, on też głodny być musi.

Felek wyszedł na podwórze.

Genia westchnęła ciężko. Jej skołataną głowę zaatakowały nagle nowe myśli: co teraz? jak się urządzić, żeby było najlepiej?

Dziesięć pomysłów, dziesięć projektów wywołało chaos w jej głowie. Liczba 3 z chaosu tego wyłania-



ła się co chwila — bo też od dnia ostatnich odwiedzin w szpitalu, odwiedzin u martwej już matki, Genia zaczęła myśleć kategoriami liczb. Liczba śmierci, to 53, liczba życia, to 3: ona, Józek, Felek... jak dawniej — 3, jeno matkę w tej trójcy zastąpił Felek.

Wrócił wkrótce Felek prowadząc za rękę malca. Lekko nim szarpnął, co nie uszło uwadze Geni.

— On nie będzie dobry dla Józka — pomyślała. Ta mimowolna nie wyrzeczona, a tylko pomyślana uwaga, stała się ważną pozycją w przyszłych obliczeniach Geni.

Józek jął zajadać z apetytem. Genia i Felek patrzeli nań w milczeniu; każde — zda się — inne w głowie snuło myśli.

Wreszcie Genia poczęła rozbierać Józka; umyła go, kazała zmówić pacierz i położyła do matczynego łóżka. Rzekła do męża:

— Teraz już idź do domu. Ja tu mam dużo do sprzątnięcia i uporządkowania; przez te dni to ja nie miałam czasu, ani głowy by sprzątać i pozmywać; patrz, jaki tu nieporządek.

Felek pomyślał krótko, poczym rzekł powoli:

— To ty nie przyjdiesz dziś do mnie?

— Jakże? a Józek tu sam? a mieszkanie bez opieki?

— A no tak! — uprzytomnił sobie Felek. — No a gdybym ja tu został z tobą? Już mi się cni bez ciebie.

— O nie! — zawołała Genia dość twardo. Daj mi

dziś spokój; ledwo żyję po tym wszystkim, idź już, idź!

Felek był markotny, ale uszanował wolę żony; pocałował ją w policzek i wyszedł.

Po drodze myślał sobie: Tak nie będzie — ona tu, ja tam! to być nie może.

W postanowieniu swym poczuł się mężem, którego wola też coś znaczyć powinna. Zadecyduje więc, że zamieszka z żoną w domu zmarłej Ziębiny. Cieszył się na własne mieszkanie; ukontentowanie to wszakże mąciła mu obecność Józka; no, ale na to rady nie ma; przecież na bruk go nie wyrzuci. Do czasu trzeba go ścierpieć.

Tymczasem Genia robiła porządki w kuchni i w pokoju. Ta cisza, ta pustka rozdrażniała ją. Łzy stanęły jej w oczach; krzątała się a myślała, myślała... Nie tak to dawno przecie, że ciasno tu było, tak ciasno, że w kuchni ledwie poruszać się było można; a teraz, teraz zbyt przestronnie, aż pusto! Nie stało matki i nie stało — — Antoniego! Niema już z kim sprzeczać się o domowe sprawy, no i o książki, jak bywało z matką, sprzeczać się i wspólnie uradzać! I gdyby nie Józek, toby Genia czuła się już zupełnie sama, wspominając już tylko matkę i — Antoniego. Przynajmniej ma jeszcze o kogo się troskać, gdy jej Józek został!

W tej chwili jakiś głos strofujący odczuła w sobie:  
A Felek, mąż prawowity!?

— Tak — odpowiedziała sama sobie — nie dobra ze

mnie żona; ale to nic! powoli przyzwyczaję się, powoli przyzwyczaję się być żoną!

Zaczęła się rozbierać. Gdy wreszcie wyciągnęła się na łóżku, na dawnym Antoniovym łóżku, odczuła wdzięczność dla Felka, że sobie poszedł, że może być sama. Bo też rzadko w ostatnim roku sypiała wygodnie, tak jak każdy człowiek sypia!

Przez całą zimę na sienniku rozpostartym w kuchni na ziemi; twardo było i nieraz karalucha strzepywała z ręki, a jeśli strzepywać nie potrzebowała, to wciąż jej się wydawało, że coś po niej łązi. A później, po ślubie, to już i jednej nocy nie była sama, jednej nocy nie miała spokojnej, aż teraz dopiero — dopiero kosztem życia matki!

Gdy uspokoiły się jej myśli, poczęła rozważać, co teraz począć z mieszkaniem. Wiedziała, że Felek pragnął bardzo zamieszkać z nią w mieszkaniu matki, czuła też, że i dla niej to jedyne rozwiązanie sprawy mieszkaniowej: oddali się nieco od przykrego środowiska Doliniaków; a zresztą nie mogłaby do siebie tam sprowadzić Józka; tam nie czuła się u siebie. Oczywiście więc będą oboje z Józkiem mieszkali tutaj. Tak postanowiła, bo wszystko za tym przemawiało, a żadnych nie było przeszkód. Jęła więc przeszkód szukać w myśli, nie znajdowała ich. Czy rzeczywiście ich nie było? czy też zmęczone oczy i senny mózg nie umiał ich pochwycić?

Genia jednak koniecznie chciała znaleźć choć pozor, któryby zamieszkanie ich tutaj kwestionował wobec Felka. Jakaś przekora w nią wstąpiła; zape-



wne dlatego tylko, by przez powstałe trudności i niepewności Felek potem bardziej cenił jej mieszkanie. Jej decyzja miała mieć swą wartość. Z tą myślą zasnęła snem głębokim, choć wieczór jeszcze był wczesny.

## X.

*Zły palec*

Następnego dnia Genia nie poszła jeszcze do pracy; czuła potrzebę odpoczynku; poza tym drobne sprawy domowe nie cierpiały zwłoki.

Ledwie zdążyła wrócić z sklepiku, gdzie na niezbędne zakupy wydała niemal resztę swych pieniędzy; a nawet nie zdołała policzyć, ile jej się należy za ostatnie dni przepracowane, a już ktoś zastukał do drzwi. Myślała, że to Felek taki delikatny. Nie, wszedł woźny szpitala, otworzył dużą książkę i zażądał zapłaty za matczyiny pogrzeb i szereg dodatkowych pozycyj.

— Przecież mama opłacała kasę chorych! — zdziwiła się Genia.

— Tak! kasa chorych opłaciła też operację i cały pobyt pani Ziębiny w szpitalu; pozostał do zapłacenia pogrzeb i opłaty księdza i obsługi.

— Ileż to?

— Razem czterdzieści dwa złote i trzydzieści groszy.

Wpisał na żółtym blankiecie likwidację i rzekł:

— To musi być zapłacone w przeciągu trzech dni.

— Ależ ja nie mam tyle pieniędzy! — zawołała Genia z protestem w głosie. — Ja tego zapłacić nie mogę. Czy to ja muszę płacić?

— Hm — mruknął woźny. — To niech pani napisze wniosek o przyznanie prawa ubogich; o ile przyznają, to zapłaci magistrat... A czy zmarła Zięba nie miała nikogo — spytał po namyśle — nikogo, kto jest obowiązany do tej regulacji?

Rozjaśniła się twarz Geni.

— Tak — rzekła — miała męża, mojego ojca.

— Ach tak! a czy ojciec tu mieszka? Nie? a gdzie?

— W Żyrardowie.

— A to co innego. Przepraszam, a jaki jest adres ojca i jak mu na imię?

— Marceli Zięba, ulica Łowicka 5.

Zapisał, poprosił o zwrot żółtej likwidacji i pożegnał się.

Genia odetchnęła. Smutno jej się zrobiło, gdy sobie uprzytomniła, że nie mogła nawet opłacić matczynego pogrzebu. Ale tak się jednak dobrze stało. Ojciec pieniądze ma; odmawiał matce za życia, niech przynajmniej opłaci śmierć tej biednej kobiety.

Genia postanowiła Felkowi nic nie mówić o tym rachunku pogrzebowym. Gotów pomyśleć, że przemawia się, by on zapłacił.

Po chwili przestała myśleć o sprawie owego ra-



chunku. Odziała Józka, nakarmiła i wyprawiła na podwórze do dzieci, jako że dzień był pogodny i ciepły. Uprzątnąwszy mieszkanie, siadła do cerowania spodenek Józka, przy czym taki sobie układała rozkład dnia: Felek już rano nie przyjdzie, widocznie ma dziś ćwiczenia strzelców od wczesnego ranka, zatym zjawi się dopiero około godziny trzeciej. Wtedy przyjdzie i będzie się domagał decyzji co do mieszkania. Tak. Cóż to ona postanowiła w nocy, przed zaśnięciem? W żaden sposób nie mogła sobie przypomnieć... Aha! nic nie postanowiła; jedynie to, że jej zgoda ma nastąpić po pewnych wahaniach i wysunięcia danych objekcyj, ale jakich? co tu można by wymyśleć?... Ot, powie poprostu, że tu w tym matczynym mieszkaniu bardzo źle się czuję, że się lęka strachów, że tu mieszkać nie chce... Tak powie, a dopiero potem zgodzi się, czyniąc ofiarę dla dogodzenia mężowi. Nie przeczuwała, że Felek powziął już postanowienie, że wszelki opór żoniny złamie, a postawi na swoim. Tego nie wiedziała, to też trwała w raz powziętym zamiarze i umyśliła sobie, że przed wieczorem zaczną się przenosiny gratów i rzeczy Felka. Miała więc wiele czasu. Porcięta Józka już zacerowane, do obiadu dużo jeszcze czasu; ot, jest chwila, aby zajrzeć znów do książki! Aż uradowała się z tego pomysłu.

Gwałtownym ruchem, jakby z lękiem, by nikt jej nie przeszkodził, chwyciła owe strzępy niewiadomej książki, którą zaczęła czytać zaraz po ślubie, a któ-

ra z mieszkania Doliniaków przyniosła tu sobie na czas czuwania przy chorej wówczas matce.

Przerzucała karty, to i owo odczytała raz jeszcze, aby sobie przypomnieć wątek zawartej tam treści.

Teraz dopiero zauważyła, że w tej książce nie ma żadnego opowiadania, że nic się nie dzieje, jak w innych książkach, zwłaszcza tych, co nie są pisane wierszem.

Ta książka, to są rozmyślania o ważnych sprawach życia ludzkiego. Dawniej nie czytałaby tego z pewnością, gdyby miała co innego z jakim ślicznym opowiadaniem. Teraz jednak właśnie takie rozmyślania jej się podobają; można dużo się nauczyć, a resztę sobie podomyślać.

Kłopot tylko ten, że są tu wyrazy, których zrozumieć nie sposób: np. co to jest: skłonności me — — ta — fi — zyczne? albo co to może być: fi — — zjo — lo — gi — czne właściwości? To pewnie umyślnie tak napisane, żeby nie można zrozumieć; pewnie pisarze się umówili, żeby tylko oni to rozumieli, a inni nie. O! Antoni toby z pewnością to wytłumaczył, bo on też książki pisze, jest więc w zmo-wie...

Z dalszej lektury dowiedziała się Genia, że ten ogromny świat ziemski, na którym mieszkają dwa miliardy ludzi i zwierząt i ptaków i ryb co niemiarą, że ta ziemia, na której jeden człowiek jest nic nie znaczącym pyłkiem, albo ziarnkiem piasku, że ta ziemia ogromna jest takim pyłkiem w wszech-

świecie, bo takich ziem o wiele większych są tysiące, a na każdej takiej ziemi żyją miliardy istot.

To są niesłychane historie! I to wszystko — medytowała Genia już samodzielnie — stworzył jeden Bóg i tym wszystkim rządzi, wszystko wynagradza i wszystko karze, i dba o wszystkich ludzi, zsyła na nich szczęścia i nieszczęścia! Czy to być może? Chyba to jest inaczej? ale jak?

Wobec ogromu świata poczuła się Genia tak mała a troski swe, przecież tak ważne i tak bolesne oceniła tak nic nie znaczącymi, jak te poruszenia i skurczenia ślimaka, któremu przypatrywała się niedawno w parku Łazienkowskim. To brzydkie, oślizgłe stworzonko kurczyło się, gdy tylko ona palec doń przybliżyła; ono czuło coś, czemś się troskało, czemś było zaleknione.

Tak, ślimak ma też swoje zmartwienia!

Ten jej palec, który mu zagrażał — bo ślimak z pewnością myślał, że mu zagrażał — to to samo, co jej los, jej zły los, który jej ciągle zagraża, a ona kurczy się i wiję, jak ten ślimak. A przecież jemu tylko się zdawało, że palec jej jest groźny, jest niebezpieczny. Może i jej się zdaje, że los jej zagraża, a może wcale tak nie jest? Może to tylko jej przywidzenie? Czemu Felek i jego bracia są szczęśliwsi od niej. Może dlatego, że mniej chcą i prawie mają to, co chcą. Może ona chce za wiele, więc czuje, że to, czego chce, jest dla niej nieprzystępne? A czego ona chce właściwie? Chce dużo wiedzieć, i chce — miłości! To może jest złe. Może mama miała słuszność, po-



tępiając książki, bo książki sprawiają, że człowiek chce wiedzieć coraz więcej, sprawiają, że czuje, iż wie mało i właściwie czuje się takim ślimakiem w tym ogromnym świecie.

Genia chce miłości! Może to jest złe? Może Lili ma słuszość, i Jędrak także, no i Felek... Chcieć tylko użyć mężczyzny i chcieć jeszcze mieć z tego dużo pieniędzy, może to jest mądre właśnie, bo to można mieć, a miłości nie. Tamto daje to, czego się chce. A co to jest szczęście?

Mieć, co się chce! A miłość jest nieszczęściem!

Może marzenie o miłości daje szczęście, ale gdy się spostrzeże, że miłość jest nieosiągalna, to człowiek kurczy się z bólu jak ten ślimak, który lęka się dotknięcia złego palca...

## XI.

### *Pierwsze nieporozumienia*

W godzinach popołudniowych zjawił się Felek dźwigając wielki, rozłazący się, stary kosz, wypchany przeróżnymi rzeczami, opasany sznurem. Felek zacerwieniony od natężenia zwałił kosz na podłogę kuchni i stęknął:

— Uf! jaki to ciężar! Jak się masz, Geńko?

Ona spojrzała zdziwiona na kosz, potem wzrokiem pytającym na męża:

— A to co?

— To moje rzeczy — odparł zdecydowanie. — Sprowadzam się tu, parę gratów jeszcze przeniosę, mogłabyś mi pomóc.

Felek nie zważając na żonę, z łoskotem otworzył drzwi wiodące z kuchni do pokoju, zastawił drzwi krzesłem, jako że przymykały się same, powłókł kosz do pokoju i zaczął rozsypywać sznur.

Genia nawet nie drgnęła, zagryzła tylko wargi i patrzyła zachmurzona przez okno. Słysząc było

skrzypienie kosza z sąsiedniego pokoju, a Genia myślała sobie: ślimak ma też swoje zmartwienia!

Gdy tak stała nieruchoma, a Felek rozkładał swoje rzeczy dość długo, wyczuwała jakąś niecierpliwłość od niego idącą. Czuła, że nie może dalej tak stać, że trzeba tak, czy inaczej postąpić. Podeszła do drzwi, stanęła w nich i milcząco przypatrywała się porozkładanym rzeczom.

Wobec nieokreślonego zachowania się żony Felek był zakłopotany, to wyczuła Genia wyraźnie. Nabrala otuchy. Jednak z nią się liczy.

Nie przerywając roboty, Felek spojrzął na żonę i odezwał się wreszcie, siląc się na nadanie swoim słowom stanowczej ironji:

— Hę? — może pani Dolińska nie rada, że się tu sprowadzam?

Nic nie odpowiedziała.

Wtedy wstał z klęczek przystąpił do żony, chwycił za ramię i przyciągnął ku sobie. Cofnęła się.

— Czegoś taka zła? — zawołał niecierpliwie.

— Rób co chcesz — odezwała się wreszcie, siląc się na obojętność. Dziwię się tylko, że ja tu nic nie znaczę.

— Jak to nic nie znacysz? — rzekł zapalczywie. — Ja do ciebie się sprowadzam i ty nic nie znacysz?

— Ty tego nie rozumiesz -- odparła spokojnie, jakby przemawiała do dziecka.

— Czego ja nierozumiem? Ja lepiej rozumiem od ciebie, czego nam potrzeba. Czy nie lepiej nam tu będzie, jak tam gnieździć się na kupie, że ani się ru-



szyc swobodnie, ani pogadać, co się chce i tylko słu-  
chać przymówek to matki, to Jędrka, to tej jego  
dziewki. I ani wiadomo co nasze, co ich, a tu będzie  
nasz dom, to ci się niepodoba?

— Tak, ale nie o to mi chodzi — rzekła Genia po-  
woli. — Zgoła o co innego, ale ty tego nie rozumiesz.

— Co jeszcze, co jeszcze?

Genia milczała. Wreszcie rzekła z żalem:

— Chciałam zrobić tobie przyjemność, chciałam  
ci zaofiarować to mieszkanie, a ty...

— He, he! — zaśmiał się Felek ironicznie. — Ta-  
kaś ty „substelna“ jak jaka hrabina, albo księżnicz-  
ka. Czy to nie wychodzi na jedno?

— Nie, to nie to samo — odparła — ale ty tego ni-  
gdy nie zrozumiesz.

Felek poczuł swoją niższość w tej chwili; nie  
rozumiał dlaczego, lecz przyznawał w duszy, że ta  
„substelność“ ma w sobie coś, ale niewiadomo co.

To niewiadome, co wywyższało Genię nad niego,  
choć był jej mężem, zaczęło go drażnić; uczeplił się  
więc jej słów ostatnich:

— Czemu ja nie mam tego rozumieć, Geńko, co  
ty rozumiesz? Poco gadasz tak, jakbym był durniem  
przy tobie? jakbym był durniem, to bym nie był ka-  
pralem i nie byłbym instruktorem w „Strzelcu“, ro-  
zumiesz?

— Pewnie, że nie jesteś durniem, nie byłbyś ka-  
pralem, instruktorem — ani moim mężem.

Felek uśmiechnął się nieco udobruchany, a Genia  
tłomaczyła dalej:

— Widzisz, Felku. Jak kto nie jest durniem, to jeszcze nie potrzebuje wszystkiego rozumieć. Ja chciałam ci zrobić przyjemność; chciałam właśnie dzisiaj rozmówić się z tobą co do mieszkania; chciałam uradzić z tobą jak będzie najlepiej; chciałam poprosić ładnie, żebyśmy tu razem zamieszkali...

— No więc! — przerwał jej Felek.

— No tak, a ty myślałeś — ciągnęła Genia dalej — że jak sam mieszkania nie weźmiesz, to go mieć nie będziesz. Ja chciałam ci je dać, a ty, nie czekając, sam wziąłeś i to mi sprawiło przykrość.

Felek coś zaczął rozumieć, ale nie zupełnie. Otworzył szeroko usta i patrzył na żonę, nie wiedząc, co jej odpowiedzieć. Ona siadła pod oknem i zagłębiła się w książce. Wtedy Felek wstał i poszedł układać swe rzeczy i znosić jakieś graty z tamtego mieszkania.

Genia, jakby chcąc go ukarać, nie pomagała mu; przypatrywała się raczej zdaleka z lekkim uśmiechem politowania, widząc, jak on to wszystko robi niezdarnie. Niech się pomęczy, a jutro ona i tak wszystko pozmienia. Jutro jeszcze do pracy nie pójdzie, bo jest niedziela.

Był już wieczór, gdy Felek skończył swe przenosiny i urządził się tu, jak u siebie. Genia wciąż czytała. Wtedy Felek odszukał jakiś zeszyt i ołówek, wziął do ręki „regulamin piechoty“, siadł ostentacyjnie przy stole opodal Geni, i zaczął czytać pilnie a w zeszytynie czynić notatki. Genia udała, że tego nie zauważyła wcale. Wtedy Felek ją czytać półgłosem,

bo zależało na tym, by żona oceniła jego pracę „umysłową“ z książką w ręku. Ale jak tu się dogadać? Genia, jak to kobieta, w tej właśnie chwili odłożyła swą książkę i poszła przyrządzać wieczerzę, a gdy garnek postawiła na ogniu i z podwórza przywołała Józka, poczęła przenosić pościel z łóżka na łóżko. Tej czynności przypatrywał się Felek z zaciekawieniem, przecie przy łóżku na prawo, jako dla siebie obranym łóżku małżeńskim, uprzednio był poustawiał swe buty i poukładał różne rzeczy. To wszystko przenosiła teraz Genia w pobliże łóżka na lewo.

— Czemu to przenosisz, Geńko? — spytał.

— W tym łóżku spać będziemy, a tu Józek. My w łóżku matczynym.

— Czemu?

— Tak lepiej.

Felek wzdrygnął ramionami, poczytując to za dziwactwo żony; nie mógł przecie domyśleć się, że nie chciała, by łóżko dawniej Antoniego Terlika, teraz miało być jej łóżem małżeńskim.



## XII.

### *Rachunek na pogrzeb*

Marceli Zięba wracał z targowiska do domu na obiad. W dniu jarmarku bywał żyradów bardzo ożywiony; to też, acz droga do domu nie była daleka, spacer ten Zięby trwał długo. Znajomi handlarze i różni pośrednicy nagabywali go co parę kroków; to na tym, to na innym rogu ulicy przystawali we dwóch, albo gromadnie i uradzali coś, gestykując żywo. Zdarzyło się tak, że pewien interes wymagał natychmiastowego omówienia i szybkiej decyzji. Weszli we trzech do restauracji; weszli od tyłu do małego pokoiku. Zięba kazał podać „czystej“ i nikogo nie wpuszczać. Jeden z jego towarzyszy dobył z kieszeni cztery czarne książeczki a Zięba jął wynotowywać sobie numery; notował uważnie, bo numery były bardzo długie.

Tamten rzekł:

— Nr. 1002899 — to akurat pasuje na tego lysego wałacha, kasztana, miara jak ulał, jedną ino pę-

cinę zasmarować musiałem. Tamte trzy miarę trzymają, przy tej klaczy, to o 2 cm różnicy, ale to nic, to się zdarza, mogła podrość!

— Dobrze! — rzekł Zięba, — a gdzie te konie są?

— Jeszcze w lesie.

— Trzeba je zaraz stamtąd upchnąć, powiedziałem!

— Już pojechali na rowerach. W nocy wyruszą.

— Hm — żeście to też więcej nie wytargowali!

— Za sześć koni 2.550 złotych to dosyć, więcej ani sposób.

— No tak — upierał się Zięba — ale te dwie sztuki to legalnie, tu trzeba było się trzymać.

— Nie dało się.

— No trudno — uciał Zięba, — dawaj!

Obcy dobył gruby pakiet banknotów i dość gorączkowo zaczął je wyliczać przed Ziębą. Zgadzało się 2.550 zł.

Zięba zgarnąwszy pieniądze, zadumał się, poczym w notesie jął liczyć.

— Tu masz dwieście — rzekł podsuwając dwa banknoty tamtemu — a ty masz pięćdziesiąt — zwrócił się do tego milczącego.

— Panie Zięba! — szepnął ten pierwszy — dwieście pięćdziesiąt! jeszcze pięćdziesiąt proszę, naharowałem się jak koń.

Zięba nic nie rzekłszy, rzucił mu niechętnie banknot pięćdziesięciózłotowy.

— A teraz każdego z osobna przez podwórze — do lasu! — syknął Marcelli i wstał.

Towarzysze jego zniknęli. Wtedy on wypił resztę wódki, przeciągnął się, ziewnąwszy głośno, poprawił białą, płócienną czapkę na głowie i wyszedł do głównej przestrzeni szynku. Tam zastał znajomych dwóch rządców z pobliskich majątków siedzących przy piwie.

— No jak tam, panie Kubiak—wrzasnął ochryple. Dobił pan interesu?

— Dobiłem. Oba siwe sprzedałem. Trzeba było kupić, panie Zięba.

— Co mi tam! zawiele pan żądał. No, ale jesteście przy forsie, co?

— Tyle co na wypłatę, Będzie przez miesiąc spokój.

— A dużo zalegacie?

— Sześć miesięcy.

— Psia krew! — zaklął drugi rządcą. To jabym się na oczy nie mógł pokazać fernalom.

— A u ciebie jak?

— Tylko dwa miesiące.

— A to hrabia! stawiaj wódkę.

— Ja stawiam! — zawołał Zięba — ino zadzwonię do mojej baby, że na obiad nie przyjdę, zjem z wami.

Poszedł do telefonu:

— Słuchaj Zośka, na obiad nie przyjdę, mam tu robotę na mieście. Tak! Co? Jakie wezwanie? Ile? Czterdzieści złotych i trzydzieści groszy? Wezwanie przez pocztę? Aha! A za co to? Co? Za pogrzeb? — co? umarła?... Hm — a to ci śpas! — No dobrze, załatwi się! Do widzenia.



Przy obiedzie Zięba pił dużo. Choć we trzech opowiadali sobie o ciekawostkach jarmarku, myśli jego uciekały do Warszawy. Coś mu świtało w głowie, ale wódka mąciła wszystko, że myśli żadnej pochwycić nie mógł. Wreszcie pożegnał towarzyszy zapłacił i wyszedł.

W domu rzucił się całym ciężarem na starą trzeszczącą sofę i jał medytować.

Zośka, nie wiedząc jak się zachować wobec śmierci Ziębiny, patrzyła w oczy swego pana - kochanka, chcąc wymiarkować, czy i co postanowił. Lecz on z niczym się nie zdradzał. Wreszcie wyciągnął się na sofie i rzekł ochryplym, półsensnym głosem:

— Idź głupia, chcę spać.

— — —  
Nazajutrz oświadczył Zięba Zośce, że sprowadzi swe dzieci z Warszawy do siebie — Genię i Józka. Trzeciego zaś dnia siedział w pociągu spieszącym ku stolicy. Dwaj żydzi wysiedli na następnej stacji, został sam w przedziale, mógł swobodnie rozważać, czy dobrze czyni, czy źle.

Zawszeć są to jego dzieci, nawet mogłyby prawnie żądać utrzymania i dachu nad głową. Trzeba je wziąć do siebie, nie ma co! sprawa będzie w porządku, nikt nie będzie mógł nic gadać. Pozatym odczuwał Zięba oddawna potrzebę ekspiacji, potrzebę zgody. Teraz nadarzała się sposobność przez śmierć tamtej baby.

Genia stawiać się już chyba nie będzie, biedy znała już dość. Zgodzi się przez wzgląd i na Józka.

Zresztą Genia nie ma prawa się sprzeciwić, nie jest pełnoletnia, ojca słuchać musi. Jak nie, to on, ojciec, nawet policję przymusić ma prawo! Nie! to będzie zbyt bezczelne. Genia teraz inaczej śpiewać będzie, o inaczej! Trzeba zacząć z nią łagodnie, to po dobroci zjedzie do Żyrardowa! Chyba! chyba, że już poszła na ulicę, chyba, że już — kurwa!

Na myśl tę otrząsnęło się grube cielsko Zięby; na myśl, że ta piękna dziewczyna może co noc śpi z innym łobuzem tam w Warszawie. Czy to być może? No tak! to być może, bo z czego ona żyje, z czego żyła matkę i Józka? Taka ładna dziewczyna! tam — z byle kim!... Nic to, tym lepiej! Będzie łatwiejsza. Zapłacę więcej, niż oni wszyscy tam w Warszawie, więcej zapłacę! Nie chcę być jej ojcem! Zapłacę za to, żeby nie być jej ojcem! Ona chyba już zma-  
drzała.

### XIII.

#### *Jak się ojciec nawrócił*

Genia wróciła od pracy z parku Łazienkowskiego. Rada była dnia tego z dwóch przyczyn: ogrodnik, który nad jej partią miał dozór, nie tylko pozwolił, jak przez ostatnie dni kilka, by przyprowadziła z sobą Józka, ale dzisiaj zdecydował, by malec przez czas Geni pracy zabawiał się z jego dziećmi pod okiem żony. Ogrodnik to ludzki człowiek! Drugą radością była wypłata. To też Genia wróciła dzisiaj z Józkiem w dobrym usposobieniu, kupiła mu nawet landrynek po drodze.

Teraz, zastawiwszy na kuchni wieczerzę, oczekiwała przyjścia męża, który dzisiaj miał od wczesnego rana jakiś wymarsz ze strzelcami poza miasto.

Lecz Felek nie zjawiał się. Natomiast ktoś przeszedł tuż pod oknem. Przywidziało się Geni, że był podobny — do jej ojca! Serce zakołatało jej w pierś. Zerwała się. Nie! to być nie może! A jednak! Nie zdążyła jeszcze oprzytomnieć, gdy usłyszała ostre



stuknięcie do drzwi. Nie czekając zaproszenia, ktoś wszedł do kuchni, ktoś ogromny w białej czapce płóciennej. Poznała! Ojciec!

Skamieniała. Przerazona widziała, że zbliżył się do niej. Nawet nie miała władzy cofnąć się. On wyciągnął do niej rękę, podała bezwiednie. Gwałtowny uścisk jego ogromnej dłoni sprawił jej ból. Oprzytomniała. Nawet rozumiała co do niej mówił.

— Jak się masz, Geniu! — rozległ się ochryply głos Zięby. — Czego tak patrzysz na mnie, jak ciełe na malowane wrota, hę? Nie bój się. Widzisz, przyjechałem. No co, nic nie mówisz? A to Józek, co? mały Józek! taki chuderlaczek! No co? Nie prosisz mnie, bym usiadł?

Siadł ciężko na stołku w kuchni. Genia wskazała na przyległy pokój:

— Proszę, ojcze.

— Nie, już tu siedzę... Więc... więc matka umarła!

— Tak — wyszeptała Genia.

— Słuchaj, niech ten mały sobie pójdzie, chciałem z tobą pomówić, tak rozumiesz, pomówić po dobroci. Niech ten mały sobie pójdzie.

Józek słysząc to, przyczepił się mocno do spódnicy Geni i przerażony patrzył na obcego. Genia pogładziła dziecko po głowie.

— Niech Józek tu zostanie — rzekła głucho.

— A niech sobie zostanie! — zagrzmiął głos Zięby z ukrytą złą nutą. — Niech zostanie, co mi tam!

Słuchaj, Geńka! Ty tutaj teraz zostać nie możesz, musisz z Józkiem do Żyrardowa, do mnie.

— Ja tu zostanę.

— To nie możliwe! Rozumiesz? Nie chcę ci rozkazywać, chcę abyś z własnej woli, rozumiesz? Powiadam ci, będzie ci dobrze i Józkowi też, byleś z własnej woli, bez przymusu!...

Genia milczała, a Zięba mówił dalej, jakby jego racja rozumiała się sama przez się.

— Powiadam ci, Geniu! Będzie ci dobrze. Forsy ile zechcesz, żadnej roboty. Józek niedługo chodzić będzie do szkoły. A ty, jak zechcesz. Byleś przy mnie była. Jak się do mnie oswoisz, to mnie polubisz, a jak nie, to nie; byleś przy mnie była!

— Ja tutaj zostanę — powtórzyła głucho Genia.

— Słuchaj dziewczyno głupia! — jął niecierpliwie się Zięba. — Ja się o nic nie pytam, i pytał nie będę. Z czego żyjesz, co robisz, z kim się łądaczysz, wszystko mi jedno!

— Ależ ojcze! — próbowała przerwać. Lecz on nie słuchał i mówił z zapalem, czy ze złością:

— Wszystko mi jedno, i przysięgam, że o nic pytać nie będę. Chcę tylko, abyś była przy mnie, i chcę, abyś przyszła po dobrej woli, nie z przymusu, rozumiesz ty to?

— Ani po dobrej woli, ojcze, ani z przymusu! Ja tutaj zostanę.

— Nie upieraj się, głupia. O patrz! masz!

Dobył z kieszeni stużłotowy banknot i trzasnąwszy dłonią o stół, złożył go tam, potym drugi.

— Masz i trzeci! Weź te trzysta złociszów na początek!

— Nie chcę tych pieniędzy — znów głucho rzekła Genia — nie chcę, ja tu zostanę.

— Psiakrew, dziewczko! — wrzasnął wściekły Zięba. — Nie doprowadzaj mnie do ostateczności, bo!...

— Uspokój się, ojcze! — odezwała się Genia, już zupełnie opanowana. Ja tu zostanę, ja tu muszę zostać!

— Czemu?

— Mam męża!

Zięba spojrział błędnym wzrokiem na córkę. Siadł ciężko na stolku i tylko syczał:

— Ty? ty?...

— Tak, ojcze.

— To niemożliwe! Nic o tym nie wiem! A czy to aby mąż? Kto to jest? gdzie on?

— To Feliks Doliński, kapral, instruktor „Strzelca“.

— Aa!...

— Tak; za chwilę powinien przyjść.

Zięba czuł się pokonany. Patrzył w ziemię. Teraz dopiero zrozumiał, że ta dziewczyna, Genia, jego córka wymknęła się spod jego władzy. Po długiej chwili milczenia spytał odmienionym głosem:

— Czemuś mi o tym nic nie doniosła?

Genia milczała; a on mówił dalej:

— Córka za mąż wychodzi, żona umiera — a ja nic nie wiem!

— Tak, tak... — westchnęła Genia, — to nie nasza wina.

— A no tak! — rzekł na głos i dodał ciszej w za-



dumie: — to moja wina. Hm... tak mi się jakoś to życie pokreśliło, że sam się połapać nie mogę. Forse mam, a wszystko inne to mi obmierzło! Czegoś mi brak, a nie wiem czego...

— Mama zeszła do grobu z wielką do was urazą, ojcze.

— No tak, na to już ja nic nie poradzę. Może byłem winien, ale ona — też! Ale to już przepadło. Teraz to już nie to; a czegoś mi brak, że!... psiakrew! przekłete to życie!

Znów się zadumał. Po długiej chwili spojrzął nagle spodełba w oczy córki:

— Czyś powiedziała prawdę? — masz męża?

Genia tylko lewą dłoń pokazała ojcu, lewą dłoń z srebrną obrączką ślubną na palcu.

— A papiery macie? akt ślubu? — pytał z niedowierzaniem. Wtedy Genia zniknęła w przyległym pokoju. Za nią, trzymając się kurczowo sukni, pospieszył złękniony Józek. Wkrótce wróciła i pokazała ojcu dokument. Przyglądał mu się długo.

Wreszcie zwrócił papier córce:

— Więc ty się nazywasz teraz — Dolińska?

— Tak.

— Ha, ha, ha! — zaczął się śmiać gorzko. — Pomyśl-no! ojciec nie wie jak się nazywa jego córka! Ha, ha! Dobrze przynajmniej, że wiem, że Józek jest Zięba!

Spojrzął życzliwie na malca, który wtulał się wciąż w fałdy sukni siostry.

— No pójdź tu, mały, do ojca — rzekł łagodnie,

wyciągając rękę. Gdy Józek się cofnął, poprowadziła go Genia za rękę ku Ziębie.

Zdziwił się chłopczyk, gdy ten obcy, niedobry pan pogłaskał go po główce. Uśmiechnął się nawet do tego pana.

To — zda się — rozbroiło Ziębę. Dobył z kieszeni cukierka. Nosił cukierki stale przy sobie, aby mniej palić. Józek łakomie włożył cukierek do buzi i podskoczył z radości. Wtedy Zięba począł figlować z synkiem. To uśmiechał się, to buczał nań, to pokazywał mu rogi. Wreszcie, ku uciechu Józka począł miauczeć jak kot, potem szczeknął raz i wtóry, podniósł się ze stołka i przycupnął na ziemi, figle różne strojąc a mizdrząc się do malca.

Genia spoglądała na ojca jak na warjata.

— Jak to się właściwie skończy? — pomyślała. Nie znalazła na to odpowiedzi; poprostu nie zdążyła jej znaleźć, bo nagle — ach! po raz pierwszy poczuła podporę w mężu.

Przez okno spostrzegła Felka rozmawiającego z Kawczyńskim. Chciała go przywołać, by prędko przyszedł, jakby miał ją ratować przed pożarem, lub napadem.

Wstrzymała się, zrozumiawszy cały bezsens takiego przynaglenia. Zięba wciąż figlował na ziemi z Józkiem.

— Trzeba ojca uprzedzić, że idzie Felek — pomyślała Genia, lecz nie zdążyła tego uczynić. Drzwi otworzyły się szeroko i wszedł Felek w mundurze kaprała.

Zdumiał. Spojrzał na obcego mężczyznę wyprawiającego śpasy na ziemi, potem na roześmianego Józka i pytająco na żonę. Nic nie mógł zrozumieć. Twarz Geni pełna niepokoju i zgrozy zgoła nie licowała ze sceną, odbywającą się na podłodze. Genia spostrzegła się. Przystąpiła do Zięby, szarpnęła go za ramię:

— Ojczy, przyszedł mój mąż, Felek.

Zięba ciężko podniósł się z podłogi. Na Felku uczynił wrażenie niesamowite. Była to twarz złego kundla a jednak roześmiana. Sto sprzeczności w tym wyrazie zmyliło do tego stopnia Felka, że sądził, iż zachodzi tu jakiś kawał, albo zgoła co gorszego.

Odezwał się pierwszy Zięba, wyciągając rękę do zięcia:

— To pan kapral! mąż mojej córki! Taki niespodziany mąż! no proszę! miło mi poznać kawalera!

Podali sobie ręce. Felek patrzył nieufnie na Ziębę, jako że znał historię jego życia. Ozwał się wreszcie:

— A to pan ojciec późno przyjechał nam pobłogosławić.

— Już nic nie mów o tym, Felku! — błagała Genia.

Felek zmieszał się. By ukryć zakłopotanie uśmiechnął się nijako, poczym rzekł:

— No, przecie nie stójmy w kuchni. Geniu, czemu nie zaprosisz ojca do pokoju?

— A właśnie! — zawołał Zięba — chciałbym wiedzieć jak mieszkacie. — I wszedł do pokoju pierwszy, gdy Felek wskazał drzwi. Wszyscy poszli za nim; tam siedli dookoła stołu. Pierwszy zagadnął Felek:

— Jak to się ojciec dowiedział o naszym ślubie?



— Ja się wcale nie dowiedziałem o ślubie — odparł w zamyśleniu Zięba — ja się dowiedziałem o śmierci żony; i dlatego przyjechałem.

— A kto doniósł o śmierci? — zaciekał się Felek.

— Szpital. Przysłał rachunek za pogrzeb. Zapłaciłem.

— Aha!...

— Tak... a o ślubie waszym to ja nic nie wiedziałem, dopiero teraz Genia... Bo to widzisz, zięciu, ja przyjechałem, żeby moje dzieci teraz zabrać do Żyrardowa, bo czy to ja wiedziałem, że Genia ma męża?... dawnoście się pobrali?

— Kwartał minął.

— Aha... już kwartał... dopiero kwartał. No a jak wam idzie.

— Pomalutku. Bida bo bida, ale jakoś idzie.

— Tam na stole w kuchni położyłem trzysta złotych na ten początek, napewno wam się przydadzą. (Tu przechylił się w stronę zięcia) — Genia honorowa, wziąć nie chciała; weź ty, a jak nie weźmiesz, to zaraz dzisiaj te pieniądze przepiję, aby mnie nie piekły, że córka ich nie chce. Weźmiesz?

— Wezmę, dziękuję. Niech będzie zgoda.

— Zgoda... zgoda... — mrucał z ironiczną pogardą Zięba.

— Tyle się w życiu popsulo, że jaka tam zgoda? Jak już pieniądze nie pomogą, to nic nie pomoże. Weźcie je, nie myślcie, że tak zawsze będzie, bo ja nie będę zawsze dzieci przekupywał, no i też nie za-

wsze mam, bo choć mam, to w interesie ciągle potrzeba. Pieniądz robi pieniądz, a te to już poświęciłem; nic to, że się nie zrentują, te poświęciłem, niech już tak będzie.

Genia wreszcie odważyła się coś powiedzieć, lecz po pierwszym słowie urwała.

— No mów, Geniu — rzekł Zięba miękko. — Jak już tak jest jak jest, to już mów, a gniewał się nie będę.

— Ja tylko chciałam powiedzieć tak: tyle pieniędzy to nie. Dobrze, niech mamy od ojca pamiątkę ślubu; ja za parę złotych coś sobie kupię, i Felek sobie, a reszta to już będzie Józka.

Spojrzał na żonę Felek bez zachwytu, a Zięba rzekł:

— Jak wam dałem, to mi nic do tego, co z pieniędzmi zrobicie, a co do Józka, to ja go muszę zabrać do siebie; mój syn.

Rozjaśniła się twarz Felka, a Genia spochmurniała. O tym nie pomyślała. Zięba czekał, jaka będzie ich odpowiedź; może czekał odmowy? kto go tam wie. Może jednak choć tym sposobem jak owymi trzystu złotymi wyrównania szukał, wyrównania całego życia? Może ten tani okup miał przywrócić mu spokój, może właśnie czekał tylko na to tanie pojednanie?

Radzono dość długo. Genia była bardzo smutna; doszła jednak do przekonania, że Felek dla malca nie będzie dobry, zwłaszcza gdy dziecko nieco podrośnie, to coraz bardziej zawadzać będzie Felkowi

i drażnić go. Może nie należy się sprzeciwiać, a brać na swe sumienie, gdyby przez jej upór Józkowi miała tu się krzywda dzieć, albo coś złego. Skończyło się na tym, że z płaczem musiała się nazajutrz pożegnać z Józkiem.



#### XIV.

##### *Pierwsze wspólne czytanie*

Z owych trzystu złotych uzyskanych od Zięby Felek kupił Geni sukienkę; sukienka była cudaczna i nie trzymała miary. Genia poszła wymienić na inną; dowiedziała się przytym, że sukienka kosztowała 18 złotych. Prócz tego dał Felek żonie dziesięć złotych; na co zużył resztę, tego nikt się nie dowiedział. Powtarzał tylko czasem: „pieniądz robi pieniądz“.

Genia, straciwszy Józka, czuła się bardzo osamotniona. Ratowała ją praca w parku; a poza tym—byle tylko utrzymać ciągłą czujność, aby w domu była atmosfera zgody. Pozostałe jej dziesięć złotych trzymała w torebce nienaruszone; parę książek zamierzała sobie kupić, ale nie mogła się zdecydować jakie. Wreszcie przypomniała sobie, że gdzieś przy ulicy Marszałkowskiej raz przeczytała napis „Wypożyczalnia książek“. Pomyślała sobie: tam mi poradzą.

Poradzili rzeczywiście. Poprosiła, aby jej wypisano tytuły i autorów na kartce; wypisała je pani życzliwa; zagadnęła Genię:

— A czemu pani u nas się nie zaabonuje; zapłaci pani miesięcznie tylko 2 złote i za to będzie pani miała co miesiąc książek tyle, ile pani przeczyta.

— Tyle książek ile zechcę?! — zdziwiła się radośnie Genia.

— Tak. Dostanie pani jedną książkę i zwróciwszy ją po przeczytaniu, może pani wziąć inną.

— Ach, to trzeba zwrócić? To nie na własność? A ja tak lubię mieć moje własne książki!

— Tu jest wypożyczalnia. Ja nie sprzedaję, lecz pożyczam książki.

Genia zadumała się:

— No, to ja wolę kupić, to już taka książka u mnie zostanie. Bardzo pani dziękuję, do widzenia.

— Do widzenia.

Z wypisanych przez paniusię w pożyczalni sześciu książek kupiła Genia w pobliskiej księgarni dwie; na więcej pieniędzy nie starczyło. Z tą zdobyczą szła zadowolona do domu. Teraz, gdy Józka w domu nie ma, musi więcej czytać. żeby tylko mogła namówić Felka do wspólnego czytania! Takby tego chciała! Spróbuje! Już teraz nie będzie taka powściągliwa, gdy o czytanie książek chodzi, będzie męża książkami atakowała. Niech on jeno wpadnie na smak książki, a będzie jej za to wdzięczny. „Smak książki“; to określenie bardzo jej się podoba. Bo książka, jak potrawa, może smakować i może nie smakować. Trzeba mieć smak książki!

Takimi to myślami miała nabitą głowę, gdy we-

szła do domu. Zastała tam męża. Położyła przed nim na stole obie książki i zawołała z zadowoleniem:

— Popatrz, Felku! tak się cieszę; nowe książki sobie kupiłam.

Felek ledwie spojrział na książki i nic nie odpowiedział. Nastąpiło milczenie. Genia postanowiła nie zaspiać się, ale dalej walczyć o swe prawo do książki i oswajać z nią męża:

— Felku, to nie byle co, te książki. żebyś tak chciał ze mną wspólnie czytać! Pomyśl, jakby to było ładnie; ja bym czytała, a ty byś słuchał i potem rozmawialibyśmy o tym, cośmy razem przeczytali; czy toby ci się nie podobało?

— Mnie się najbardziej podoba, jak mam ciebie przy sobie. Czy to nie dość? pocóż nam książki?

Genię zaskoczyła ta odpowiedź. Uprzytomniła sobie jak gorąco ją kocha, kiedy trzyma ją w swych objęciach. Lecz, gdy się nasyci, no i skoro noc minie, to ledwo na nią spojrzy. Cóż to jest?

Po namyśle ją mówił:

— Widzisz, Felku, jeżeli mało będziemy od siebie chcieć, to sobie wystarczymy; wtedy łatwo sobie wystarczyć, ale takie życie nie wystarczy.

— A czego my mamy jeszcze od siebie chcieć? — zdziwił się Felek.

— O dużo! — zawołała Genia — bardzo dużo! Spać razem, to nie wystarcza; trzeba, abyśmy mieli wspólne nasze życie.

— JAKO wspólne życie? przecie wspólnie żyjemy!

— Ale wszystko ma być wspólne.



— Czego ty jeszcze chcesz? — niecierpliwił się Felek. — Mało forsy, to prawda, ale to się może poprawić.

— Nie o tym mówię, Felku; można mieć dużo pieniędzy, a nie mieć wspólnego życia.

— Więc co?

— Wszystko ma być wspólne, nawet myśli. Ja chcę tak myśleć jak ty, i chcę byś tak myślał jak ja. Ja nie chcę ciągle myśleć sama, ja chcę z tobą mówić o tym co myślę.

— No to mów.

— Ale mówić można wtedy, gdy... no, jak to mam powiedzieć... trzeba chcieć o tym samym myśleć, to można potem mówić. Chcę, żeby to było ważne dla ciebie, co ważne jest dla mnie; chcę, żebyś tego był ciekaw, co ja. To będzie wtedy życie wspólne, rozumiesz?

— Tak, teraz rozumiem — rzekł pewnym już głosem Felek. — Rozumiem, ale to ja też mogę tak powiedzieć jak ty: chcę abyś myślała o mustrze piechoty, o ćwiczeniach, bo ja to robię, więc niech będzie życie wspólne.

Genia zrazu nie wiedziała co na to odpowiedzieć. Spojrzała na triumfującego męża i po namyśle rzekła:

— Widzisz, jak ty mnie nie rozumiesz.

— A ty mnie też nie rozumiesz.

— To właśnie jest złe — jęła tłumaczyć Genia. — Dlatego też mówię, że mamy się rozumieć.

— Dobrze, Geńko! — rzekł pewny siebie kapral — dobrze, ale na mój fason. Kobieta musi iść za mężem, a nie tak jak ty chcesz, żebym ja chodził za tobą jak cielę za krowę. Czemu nie mamy wspólnie rozumieć regulaminu piechoty, co?

— Bo to i tak by nas nie zbliżyło — odparła Genia z przekonaniem.

— Czemu?

— Bo to jest tylko dla żołnierzy, a my mamy o tym mówić, co jest dla wszystkich, co jest dla ludzi. O widzisz, jedną kupiłam książkę francuską, bo chcę się dowiedzieć, jak Francuzi myślą, czy inaczej niż my, czy tak samo.

— No wiesz, Geńko! — roześmiał się Felek — ty chyba już zwariowałaś! ty chcesz czytać po francusku? w głowie ci się przewróciło!

— Ależ Felku, nie po francusku, lecz po polsku.

— Więc co gadasz, że masz książkę francuską?

— To francuska powieść, napisana przez francuzą i na polskie przełożona, zrozum-że!

— To nie tylko piszą, ale jeszcze przekładają na polskie! komika, powiadam!

— Takich książek jest dużo — przekonywała Genia. — Czy to ciebie nie zaciekawia, co myślą francuzi o mężczyznach, o kobietach, o miłości, o małżeństwie i o wielu sprawach ludzkich?

— Nie, to mnie nie zaciekawia, Niech francuz myśli co chce, a ja też co chcę.

— No, a co ty o tym wszystkim myślisz, Felku?

— Co myślę? — zaczął się zastanawiać Felek. —

Myślę, że mają sobie wiary dochować, na to nie potrzeba mądrych książek. Mają się kochać, i już.

— A jak jedno kocha, a drugie nie kocha?

— To w mordę! — zawołał Felek junacko.

— I od tego miłość wróci? — spytała Genia sentymentalnie.

— Może i nie wróci, ale taka jest sprawiedliwość.

Genia ciągnęła dalej:

— A może jednak warto o tym pomyśleć, że inaczey potrzeba postąpić, a nie bić w mordę?

— Może i tak.

— A widzisz! — przychwyciła męża. — Warto pomyśleć! więc też warto o tym mówić, warto o tym czytać, bo w książkach jest wszystko, co jest w życiu. Można się dużo nauczyć. Posłuchaj Felku, jakbym ja spostrzegła, że ty mnie nie kochasz, to myślisz, że ze złością chciałabym cię do siebie nawrócić? Albo myślisz, że mniebyś przywrócił do miłości bikiem? Żeby poznać, czy jest miłość czy nie, trzeba coś o miłości wiedzieć, trzeba o niej myśleć; sami nie damy rady, bo inni ludzie wiedzą o tym więcej od nas, a ci co piszą o tym książki, muszą wiele wiedzieć, bo by ich nikt nie czytał. Więc czy to nie dobrze o tym myśleć i dowiedzieć się, co o tym inny człowiek myśli?

— No tak, może i dobrze — rzekł ustępliwie Felek. — Coś tu jest prawdy. I to jest prawda, że Francuzi tak samo obłapiają jak my, i że dzieci tam też się tak rodzą, jak u nas. Więc to by można wiedzieć, co Francuzi o tym myślą, jak się coś w małżeństwie psuje.



— A widzisz! — ucieszyła się Genia. — Już ty mnie zrozumiesz. A w tych książkach, to nie jest tylko to co myślą. To tylko czasem. Tam są takie śliczne historie, to wesołe, to smutne, że się nie można na-czytać. A że zapomina się o całej biedzie swojej, jak się to czyta! Czasem to jest kawał książki nudny, albo niezrozumiały, ale trzeba przeczekać, bo potem napewno jest coś takiego, że aż coś! O właśnie ta książka francuska: pierwsze strony są nudne; prze-czytałam je w księgarni, ale już się zaczyna. Opo-wiem ci to co przeczytałam, a potem trochę zaczy-tamy razem.

Felek spojrział na żonę dość rozpaczliwie. Jednak ustąpił.

Genia zaczęła opowiadać:

— Naprzód jest opisany dworzec jakiejś wielkiej stacji kolejowej; są opisani ludzie, jak siedzą w re-stauracji i jak się spieszą na peronie i jak potem jadą koleją.

Jeden taki pan, elegancki, bo jedzie I-szą klasą poznał się z elegancką kobietą; czy to panna, czy mężatka, to się dopiero ma pokazać. Ona mu się po-doba bardzo. Rozmawiają i jadą. Ciągłe tam jest, co on myśli o niej, i co ona o nim; ale tego powtó-rzyć nie umiem. Myśli są najtrudniejsze, nawet wte-dy, gdy się je rozumie; a ja je zrozumiałam, ale po-wtórzyć nie umiem.

— No dobrze — jął się Felek zaciekawiać — Ja-dą i co się dalej stało?

— No poczekaj! to dopiero będzie, ja dalej jeszcze

nie czytałam; tylko to, że on zaczął coś jej czytać z książki, jakieś miłosne zdania, a ona się uśmiechała.

— No i, no i?... — wołał Felek.

— No i dalej nie wiem, możemy poczytać, to się dowiemy, czy chcesz?

— No to czytaj.

I Felek rozparł się na łóżku w pozycji gotowej do słuchania.

Genia otworzyła książkę, przewróciła kilka kartek, wreszcie poczęła czytać:

„Robert położył książkę na stoliku i rzekł do swej towarzyszki podróży, którą był nie tyle może oczarowany, co zaciekawiony. Westchnął i rzekł: „To piękne zdanie o miłości, czy pani nie uważa?“ Wtedy ona przymrużyła oczy i odparła przytłumionym, pieszczotliwym głosem: „Są przeżycia, o których mówić nie należy. Wtedy cały ich czar pryska i żałować tylko trzeba, że wyrzekło się o nich nagie słowo“. W tej chwili położył Robert swą dłoń na dłoni Odette; nie cofnęła ręki i spojrzała w jego oczy...”

Genia czytała wolno, równo, a z przejęciem. Felek słuchał z natężeniem; trochę rozumiał i oczekiwał jakiegoś kawału albo świństwa. W miarę dalszego czytania nadzieje Felka rozwiały się. Już tylko mowa o migających słupach telegraficznych, o tym co widać za oknem: góry, strumyki, laski, wsie i miasteczka, wreszcie stacja. Jakaś cholera przyniosła trzeciego pasażera i wszystko się popsulo.

Felek czas jakiś słuchał z wysiłkiem, oczekując aż ten trzeci może wysiądzie. Ale gdzież tam; nie wy-

siadł, tylko przyglądał się Robertowi i Odette, którzy wreszcie wyszli do wagonu restauracyjnego; ale też już nie wiadomo, co tam robili, tylko wiadomo co sobie o nich myślał ten stary dureń. A on myślał o swej córce, co to też w wagonie... i potem była chryja, jakieś wielkie nieszczęście. Ale ten stary tak myślał długo, długo, że wreszcie Felkowi zamknęły się oczy, aż chrapnął głośno.

Genia przestała czytać. Odłożyła książkę i patrzyła smutnie a bezradnie na śpiącego męża.



## XV.

### *Niezorientowana*

Reszta lata mijała monotonnie, bez szczególnych zdarzeń i wzruszeń. Praca Geni w parku Łazienkowskim nie była już trwała, lecz „w miarę zapotrzebowania“. Zarobki zmniejszyły się dotkliwie, ale można było jeszcze wyżyć. Miniony rok był gorszy. Wolne godziny spędzała więc Genia na czytaniu. Gniewała się na francuską książkę, której opowiadanie miejscami jednak zaciekawiało Felka, ale nie było tam tego, na czym najbardziej zależało Geni, nie było problemu miłości, chociaż była miłość. Problem sam zarysowywał się ubocznie, umiejscowiony w młodej dziewczynie, córce fabrykanta, współtowarzysce podróży Roberta i Odette na początku powieści. Owa dziewczyna, której na imię było Juliette, uwiedziona została później przez Roberta, właśnie na skutek swej niewinności i srodze odpokutować musiała swą uległość z powodu mściwości Odette. W rezultacie książka ta bardziej podobała się Fel-

kowi, niż Geni. Teraz żałowała dopiero, że zawierzyła sprzedawcy, który doradzał ten „romans francuski“, i że tę książkę kupiła na własność, zamiast wypożyczyć z abonamentu. Nieudały był ten pierwszy wysiłek nakłonienia męża do wspólnego czytania; nieudały, gdyż mimo zainteresowania Felka, nie nastąpiło sposobności do wspólnych rozmów. A jednak opór Felka wydawał się być złamany. Druga z kupionych książek to „Dwór w Ferrarze“, zobaczymy — pomyślała sobie, co to da...

Jesienią, po okresie trzech tygodni nieprzerwanej pracy w parku Łazienkowskim nastąpiło dla Geni znowu bezrobocie; trwać będzie chyba przez całą zimę. Zarobek Felka był mały; stwarzał jednak podstawę egzystencji. Lecz niemożność jej zarabkowania dotknęła Genię boleśniej może, niż zeszłego roku. Poczuli się na łasce i niełasce męża; czuła się upokorzona.

Już też coraz nieśmielej proponowała wspólne czytanie, a czuła się uszczęśliwiona, gdy mąż pierwszy domagał się czytania; zdarzało się to jednak wyjątkowo tylko. W tym okresie wciąż był zajęty jakimiś niewiadomymi sprawami Jędrka i Wicka. Wreszcie zaczęły się dziać rzeczy niewytłomaczone. Felek wstawał później i o rozmaitej porze wychodził z domu. Był chmurny i ponury. Przeważną część dnia spędzał gdzieś z braćmi.

Zagadnęła go raz Genia:

— Cóż to, Felku, już nie chodzisz na ćwiczenia „Strzelca“?

— Urlop — skłamał krótko.

Gdy na pierwszego nie poszedł do kasy „Strzelca“ po pensję miesięczną, domyśliła się Genia, że stracił posadę.

Wydało jej się, że ich wspólne życie zaczyna się załamywać. Nie to tylko było okropne, że Felek stracił może swą posadę, ale przede wszystkim, że ją szukać życia gdzieś poza domem, poza dotychczasową swą pracą; jakieś niewiadome Geni zainteresowania Felka w kręgu niepewnych poczynań tamtych Doliniaków, jego braci... w każdym razie życie po za nią i jej, żonie niewiadome.

Łudziła się, że może Felek powiedział prawdę, mówiąc o urlopie. Spytała go raz jak długo ma trwać ten urlop i czy to urlop bezpłatny? Zmieszany odpowiedział, że oczywiście bezpłatny, a termin rozpoczęcia pracy będzie dopiero wyznaczony. To wydało się Geni podejrzane. Jeżeli tak ją okłamuje, a ona zdana teraz zupełnie na niego, to to wydało się jej nie do zniesienia.

Coraz też mniej orientowała się w poczynaniach męża i nagłych jego zainteresowaniach.

Zgoła jednak zrozumieć nie mogła, gdy raz rzekł do niej niefrasobliwie:

— Wiesz ty co, może ja już nie wrócę do „Strzelca“.

— Czemu? — spytała przerażona.

— Bo teraz wiem, że piechota jest „do luftu“.

— Co ty nagle wygadujesz, Felku?

— Bo tak jest. Konnica! to rozumiem. Piechota nawet nie nauczy człowieka jak obchodzić się z ko-



niem. Jak go czyścić, jak okiełznać, jak prowadzić, jak na nim jeździć. A to wszystko jest potrzebniejsze w życiu, niż głupia nauka maszerowania.

— Do czego ci potrzebny koń, Felku? Jak masz dobre stanowisko w „Strzelcu“, to się tego trzymaj. Ja już pracy nie mam, jak ty swą porzucisz, to z czego żyć będziemy?!

— Znajdę lepsze sposoby! Dobrze mi radzą Jędrak i Wicek. I twój ojciec też mi dobrze radzi.

— Mój ojciec? — przeraziła się Genia. — To ty z nim się widzisz? on jest w Warszawie?

Znowu zmieszał się Felek i rzekł po chwili:

— A czy ja wiem gdzie on jest? No wtedy, jak tu był, to na drugi dzień spotkałem go przypadkiem na ulicy, był też Jędrak. To i co?

— No nic, nic... — bełkotała Genia, czując wyraźnie zbliżające się jakieś nieszczęście.

Przestała rozmawiać. Dzikie i okropne myśli opadły ją do tego stopnia, że czuła zawrót głowy.

Felek rad był, że ta rozmowa się skończyła. Czuł tylko, że za wiele powiedział i że niepotrzebnie wspominał o jej ojcu. Tak powiedział mało, a już za wiele! Nie wiedział, czy żonie wiadomo z czego ojciec jej żyje, że uprawia handel końmi przeważnie kradzionymi.

Tego pewnie Genia nie wie, a o koniach kradzionych nie wie napewno. Nie wie też, że wszyscy dotychczasowi koniokradzi, będący na usługach Zięby zostali przyłapani i siedzą w ulu, że więc Zięba przyjechał wówczas do Warszawy na poszukiwania no-

wych koniokradów, takich, których w okolicy Żyrardowa i wogóle na prowincji nikt nie zna. Nie wie o tym, że Zięba zdołał nawiązać kontakt z Jędrkiem i Wickiem przez jakiegoś żydka-pośrednika, nie wie, że w ten sposób do tej kompanii został wciągnięty Felek, którego znęciły widoki dobrego zarobku i życia swobodnego. Obfite poczęstunki Zięby i rozdawane „zaliczki“ zaimponowały Felkowi. Zobowiązał się jednak przysięgą złożoną Ziębie do zachowania ścisłej tajemnicy także wobec żony. Tego wszystkiego Genia nie wiedziała. Czuła jednak, że ich życie załamuje się; myślała o tym z przerażeniem. Postanowiła przeciwdziałać. Przede wszystkim więc musi sprawdzić, czy Felek dostał urlop, czy też stracił posadę. Dowiedzieć się może w biurze „Związku Strzeleckiego“. Od znajomego policjanta dowiedziała się o adresie biura „Strzelca“.

Pewnego dnia, pod nieobecność męża, pospieszyła tam.

Z rana biura były niemal puste. Bez trudności i długiego czekania, których to Genia obawiała się bardzo, znając to z wszystkich urzędów, z którymi musiała mieć kiedykolwiek styczność — przyjął ją sekretarz „Związku“ i po wyjaśnieniu celu jej przybycia skierował zaraz do zastępcy komendanta. Genia umyśliła sobie, że o rzekomym urlopie Felka nie wspomni. Jeżeli ją okłamał, wołała go nie kompromitować. Zapytała więc krótko, czy jej mąż został zwolniony na własne żądanie, czy z powodu jakiego

przewinienia, i czy nie mógłby dalej pracować, bo... bo niesposób żyć bez pracy.

Zastępca komendanta, sympatyczny chłopak, w mundurze strzeleckim, wyciągający z szafy kartotekę, jakby dodał otuchy Geni samym swym wyglądem. Z drugiej znów strony wyjątkowa uroda Geni wyraźnie oblaskawiła go. Był uprzejmy, spoglądał życzliwie. Przez chwilę uważnie czytał w kartotece, poczym odłożył ją, westchnął i rzekł:

— Tak, proszę panią. Tu nie da się nic zrobić. Feliks Doliński nie nadaje się.

— Czy popełnił coś złego?

— Nie, ale nie nadaje się.

— On przecież o niczym innym w domu nie umiał myśleć, tylko o ćwiczeniach strzelców, żadnej książki czytać nie chciał prócz „regulaminu piechoty“! To było jego całe życie, i nie nadaje się?

— To być może, proszę panią, — tłumaczył zastępca komendanta — nie nadaje się mąż pani, bo powiedzmy otwarcie, za ciasna głowa.

— Pan chce powiedzieć, panie komendancie, że za głupi?

Genia patrzyła w ziemię. Zastępca komendanta przypatrywał się pięknej a smutnej twarzy młodej kobiety; uczucie podziwu i współczucia mieszało się w nim w tej chwili; ogarnęła go jakaś czułość, której sam się potrosze przestraszył. Postanowił być twardy; twardy wobec instruktora Dolińskiego.

— No tak.



Tak, proszę panią. My tutaj sami dziwiliśmy się, jak mógł zostać kapralem żołnierz o tak zakutej głowie. Brak mu przede wszystkim najmniejszego odczytania, on powinien czytać, dużo czytać, choć z grubsza powinien znać historię polską i choć kilka najważniejszych dzieł polskiej literatury. Niechże mu pani podsunie np. „Pana Tadeusza“ Mickiewicza. On wie o tej książce, ale jej nie zna.

— Czy pan uwierzy, panie komendancie — odezwała się nieśmiało — że, będąc jeszcze narzeczonym, podarował mi właśnie „Pana Tadeusza“?

— To być nie może! — zawołał zdziwiony zastępca komendanta. — Miał więc zrozumienie dla książki, że to godny dar narzeczonego, a książki nie zna?

Genia chciała już poskarżyć się, że Felek „Pana Tadeusza“ czytać nie chciał, że wogóle o to z nim walczyć musi, ale powstrzymała się, by męża nie obciążać jeszcze bardziej. Westchnęła więc tylko i rzekła ogólnikowo:

— Już ja sama nie wiem, co się dzieje w jego głowie.

— Zdaje mi się, proszę panią, że właśnie w tej głowie dzieje się za mało.

Genia znów spuściła oczy, jakby wstydząc się swego męża. Młody strzelec patrzył na nią z litością i z pewnym równocześnie zakłopotaniem. Po chwili Genia podniosła na niego swe smutne, pełne łez sarnie oczy.

— Do widzenia — szepnęła i westchnąwszy dodała — to już nie wiem, z czego my teraz żyć będziemy!

Strzelca poruszyły te słowa:

— Niech pani poczeka... Przychodzi mi inna myśl do głowy; może bym mógł wystarać się dla męża pani o zajęcie odpowiedniejsze... hm... czy zechciałby np. stróżować?

— Powinien chcieć — zawołała z przekonaniem — powiem mu, jeżeli pan komendant pozwoli.

— Oczywiście — ciągnął strzelec — nie mógł by przy mojej formacji stróżować, skoro tu był instruktorem nie dość poważanym; ale może w innej znalazł bym dla niego zajęcie stróża lub woźnego...

— Dziękuję panu, bardzo dziękuję!

— Może mi się uda — rzekł zadowolony z siebie strzelec, wyciągając do Geni rękę i ściskając mocno jej dłoń.

— Niech-no pani mąż zgłosi się do mnie, każę mu podpisać odpowiedni wniosek. Wszystkie dokumenty wojskowe i strzeleckie niech przyniesie.

— Dziękuję panu. — Skłoniła głowę i wyszła pocieszona.

## XVI.

*Oczy się otwierają*

Gdy Genia wróciła do domu, nie zastała męża. Czuliła się wyczerpana. Padła na łóżko, zarzuciła ręce na głowę i długo patrzyła w sufit, próbując zebrać myśli. Jak ma Felkowi powiedzieć, żeby zgłosił się do komendanta?

On gotów nie pójść, gdy dowie się, że ona tam była w jego sprawie. Gotów wpaść w wściekłość, że ona wyszpiegowała, że go wylano — i to wylano za — głupotę! za nieczytanie książek!

Cóż począć? jak mu to powiedzieć?

Bez dalszego zastanawiania się zdecydowała, że mu powie tak: był tutaj strzelec, przysłany przez zastępcę komendanta z rozkazem, aby Feliks Doliński zaraz stawił się do niego. Tak powie i doda mężowi otuchy, że z pewnością dostanie nową posadę, może lepszą. Tak powie!

Genia nie chciała już więcej o tym myśleć, aby szczęśliwego pomysłu nie przechytryć i nie popsuć;



uważała go za prosty, oczywisty i najłatwiej prowadzący do celu; nie trzeba więc już sprawy komplikować.

Dalsze myśli i wątpliwości odpędzała, a jednak wciąż leżała tak dalece zadumana, iż nie zauważyła, że weszła stara Dolińska.

— A to moja synowa wyleguje się całymi dniami — syknęła brzydkim głosem stara.

Ni to przygana, ni żart, a jednak głos ten dotknął Genię. Zerwała się.

— Dzień dobry mamie.

— Dzień dobry — ledwie odpowiedziała Felkowa matka. — Widzę, że ci się dobrze powodzi, że tak możesz...

— Tak, mam, dobrze! — odcięła sucho Genia.

— No pewnie, pewnie; teraz gdy mąż już na wielkie wody wypływa, to żona może nic nie robić. Jeszcze będziesz wielką panią.

Genia nic nie rozumiała. Nie wiedziała, co znaczą słowa starej, nie mogła połapać się, czy to tylko dokuczliwe kpiny, czy coś poważnego. Wobec własnych planów i poczynionych już kroków wołała nie wdać się w żadne rozmowy, aby niczego nie popsuć. Czuła bowiem od dawna, że oni wszyscy, ci Doliniacy, tworzą jedność, do której ona ani dopuszczona nie została, ani nie tęskniła. Bała się raczej tej rodziny, a teraz nawet Felka bać się zaczyna, skoro tak nędznie ją okłamał.

Milczała. Tymczasem stara zdała się lustrować mieszkanie. To poprawiła fałdy na łóżku, to przewie-

siła kurtkę z jednego gwoźdźca na drugi, to znów w kuchni jąla zaglądać do garnków i do szuflady.

To podrażniło Genię; więc rzekła z stłumionym gniewem:

— Felek żadnej krzywdy tu nie ma, byle sam na się nieszczęścia nie ściągnął.

Doliniakowa zreflektowała się:

— Kto mówi o krzywdzie? A co do tego, by on nieszczęście ściągnął, to już nie. Ma chłopak głowę na karku. Ty go jeszcze nie znasz. Właśnie przyszłam ci powiedzieć...

Genia w oczekiwaniu czegoś złego zdrętwiała.

— ...przyszłam ci powiedzieć — ciągnęła stara, — że dzisiaj Felek do domu nie wrócił. Pojechał za interesami z Jędrkiem i Wickiem, wróci za parę dni dopiero.

— A gdzież on pojechał? czemu mi o tym nic nie powiedział? nawet się nie pożegnał! Jakże on ma interesy?

— To nam kobietom nic do tego, co za interesy mężczyźni mają. Przyszło tak nagle, że nie mógł się z tobą pożegnać; to głupstwo.

— Nie żadne głupstwo, mamó! Bo ja też mam dla Felka dobrą rzecz; ale on musi tu zaraz być, musi się zgłosić, bo inaczej nic z tego nie będzie.

— Jaką dobrą rzecz ty możesz mieć dla Felka?

— Felek może dostać posadę.

— Gdzie? jaką?

— W „Strzelcu“, byle się zaraz zgłosił!

— W „Strzelcu“? tam gdzie był?

— Tak.

— A skąd ty to wiesz?

— Był tu posłaniec z tym, aby Felek zaraz się zgłosił.

— Był posłaniec? Ha, ha! to mogli go trzymać, póki go mieli. Czego go zwolnili? Teraz to ja myślę, że on na „Strzelca“ nakicha!

Genia drgnęła:

— Co mama mówi? Jaką Felek może mieć posadę, że do „Strzelca“ nie zechce wrócić i że ja o niej nie wiem?

— A co on potrzebuje się spowiadać, czy co? — warczała stara coraz zuchwalej. — On wie co robi, a ja myślę, że z tego „Strzelca“ to nic nie będzie.

Machnęła ręką i spiesznie zniknęła za drzwiami. Genia została znów sama oszołomiona.



## XVII.

### *Rozwiera się mgławica*

Minał tydzień, a Feliks Doliński nie wracał do domu.

W tym to czasie nabrała Genia pewności, że jest w ciąży. Nowe nieznanne uczucie ogarnęło ją na pewien czas tak całkowicie, że wszystkie strapienia i niepokoje — zda się — pierzchły, a conajmniej przyczaiły się.

Wydało się Geni, jakoby zło cofnęło się przed świętością macierzyństwa. Lecz ukojne to uczucie nie trwało długo.

Umysł młodej kobiety wciąż mozolnie a uparcie pracujący, a szukający rozwiązania wszystkich tych niewiadomych bieżącego życia, nie dał jej spokoju. Zmęczona własnymi myślami, ustawicznie je przywoływała całą siłą woli, aby jej służyły i dopomogły w walce z życiem. To też nic dziwnego, że myśl jedna nabrzmiała zagadnieniem Geninego męża, myśl druga obwieszona ciężkimi, przygniatają-

cymi do ziemi worami trosk codziennych, trosk o ten kęs chleba powszechniego, myśl obwieszona worami o niewiadomej a zgoła podłej zawartości — — — to znów myśl trzecia o smutnym uśmiechu macierzyństwa, i czwarta i dziesiąta — wszystkie pełne niepokojących zapytań i zwątpień o celu nędznego istnienia — — — i cały rój odleglejszych już, a jednak uporczywie krążących myśli zrodzonych z skojarzeń własnych rozumowań i uroków ksiązek — — te gromady, wciąż mnożące się gromady myśli zwartym, kręcącym się kołem otoczyły Genowefę Ziębiankę, Feliksowi Dolińskiemu poślubioną po to może tylko, by śmiał się szatan, jej rodzic, poślubioną chyba i po to, by ją na zawsze rozdzielić z bratem i z tym, którego w głębi duszy, skrycie kochała — Antonim!

Mgławica myśli coraz to się rozwiewa, a jej pozostałości jak zimne kamienie przydrożne, sterczące z twardej grudy życia — już też rysują się coraz wyraźniej i patrzą w nią, młodą, piękną, życiu na urągowisko rzuconą, samotną kobietę.

Takie oto jest bytowanie Genowefy Ziębianki, takie życie wśród życia, co się koło niej przewala samo sobie, życia którego ona przeciw jest częścią, a które o niej nic nie wie, i o którym ona nic nie wie.

Genia wielkimi, myślącymi oczami patrzyła w upiorne kamienie swej drogi. Przypatruje się bacznie każdemu z nich z osobna; twardość każdego myślał swą kruszy a do wnętrzości jego dociera.

I oto widzi, widzi jasno: matką gdy będzie, nowe zacznie życie, życie tej drugiej miłości, skoro ta

pierwsza ją ominęła. Matką gdy będzie, płakać będzie nad nędzą swego dziecka, któremu może zabraknie mleka w piersi matczynej, a potem chleba, potem chleba!... Matką gdy będzie, może przez dziecko przykuje do siebie męża, ojca jej dziecka... nie! nie do siebie! tego wcale nie chce, ale chce by był w pobliżu i patrzył na maleństwo, co się ma narodzić i czuł się jego rodzicem, o to tylko, o to tylko teraz się modli, aby ojciec jej dziecka dbał o nie i żywił!

Już też niczego nie będzie pragnęła dla siebie, ani pieniędzy, ani sukienki, ani lepszej strawy; może i książek się wyrzeknie, a wszystko wtedy będzie już tylko dla dziecka.

I tylko o jedno modliła się do wielkiej siły niewiadomej, która wszystko może jeśli zechce, o to jedno, by kiedyś zdarzyło się, że dziecię swe trzymając na ręku, spotka Antoniego i jemu je pokaże!

Myśli Geni stawały się coraz bardziej mroczne. Kamienie przydrożne jęły znów tańcować, podwójnymi, poczwórnymi rysując się konturami. Noc była już głucha. W tym nagle ciszę przerwało głośne kołatanie do drzwi.

Genia zerwała się z łóżka półsenna. Za drzwiami posłyszała głos Felka.

Pospieszyła otworzyć.



## XVIII.

*W gruzach*

Tej nocy Genia już nie zmrużyła oka. Felek wrócił do domu pijany. Zdarzyło się to pierwszy raz.

Genia była zgnębiona. Może by nie wzięła sobie tego tak bardzo do serca, gdyby tego męzowego powrotu nie była poprzedziła rozmowa Doliniakowej, pełna złowróźbnych przymówień i zapowiedzi bliżej nieokreślonych.

Genia czuła przede wszystkim wstręt. Do wszystkich jej przygnębiających wrażeń i wstrząsów doszło uczucie wstrętu.

Zaraz na wstępie Felek wprawdzie powiedział Geni na przywitanie: jak się masz, Geńko! — lecz głos ten był bełkotem pijaka, a z ust cuchnęło wódką. Nie zdążyła odezwać się do męża, gdy podszedł do niej i rubasznie trzepnął ją z całej siły po pośladku i zaraz też do łóżka chciał się z nią kłaść, jak stał w ubraniu, ba! z czapką na głowie.

Odepchnęła go ostatnim wysiłkiem. Zwalił się sam na łóżko i uspokoił się; patrzył tylko na żonę mętny-

mi, czerwonymi oczkami, a twarz miał opuchniętą. Bełkotał wciąż, wykrzykując niekiedy plugawe słowa.

Gdy zaś Genia nic nie odpowiadała, zaczął zastanawiać się głośno nad przyczyną jej milczenia i dąsów:

— Aa!... to ty taka? Nie mówisz ze mną, ty klem-po! Aa... klempusio!... To ja już miarkuję... Powiedz, z kim się paskudziłaś, jak mnie nie było?

— Bądź cicho, Felku, bo będzie źle! Ani już słowa! — krzyknęła Genia w najwyższym rozdrażnieniu i spiesznie wyszła do kuchni. To — zda się — podziałało otrzeźwiająco na pijanego Doliniaka.

Umilkł; lecz nie na długo. Zaczął jednak innym tonem. Genia przez drzwi słyszała łagodny już bełkot męża, bełkot skierowany do samego siebie.

— A bo... bo co takiego? Paskudziła się, to i co? czy bronię? Jak chce, to niech tam sobie bierze, kogo chce, z ulicy, albo nie z ulicy — byle nie darmo... tak, byle nie darmo. He, he... ona jeszcze głupia, to może daje darmo...

I wyciągnął się na łóżku w ubraniu z zabłoconymi trzewikami. Milczał przez chwilę i tylko sapał ciężko a postękiwał. Nagle zawołał głośno:

— Ge — eńka! masz dużo forsy? czy masz tyle forsy, jak ja?... Uff!...

Wtedy Genia energicznie zbliżyła się do jego łóżka i poczęła go rozbierać. Obawiała się jego sprzeciwu, lecz on już leżał bez przytomności. Rozebrała go, przykryła i zabrała lampkę do kuchni. Tam usiadła w kącie; tak spędziła noc do rana.

Gdy już był biały dzień, jęła się zastanawiać, co ma czynić: czy wyjść z domu gdziekolwiek na parę godzin? Nie, mogła być potrzebna; zresztą gdyby się obudził a jej by nie było, mógłby już na trzeźwo wszcząć awanturę, a wtedy nie wiadomo, jakby to się mogło skończyć; a w każdym razie dojście do jakiegoś porozumienia i do uradzenia czegoś rozsądnego byłoby bardzo utrudnione. Postanowiła więc czekać. Zależało jej tylko na tym, aby miał zagotowaną kawę i chleb z powidłami na śniadanie, gdy tylko się zbudzi.

Załatwiwszy co trzeba, czekała długo, aż zziębła z braku sukni, ot tak tylko w chustę owinięta. Zdecydowała się wejść do pokoju po suknię i przekonać się, czy mąż śpi spokojnie, czy też może już się obudził.

Nie spał. Wykrzywiona, nabrzękła twarz przechylona na wznak, a oczy załzawione patrzące w sufit...

Na wejście żony Felek ani drgnął; patrzył wciąż w sufit.

— Jak się czujesz, Felku? — spytała, aby go nie rozdrażniać, lecz równocześnie, by nie upokarzać się przed pijanym może jeszcze mężem.

Nic nie odpowiedział. Wobec tego poszła po śniadanie.

— Wypij i zjedz — rzekła stawiając filiżankę i talerzyk z chlebem na krześle obok łóżka. Mruknął coś, ale się nie ruszył. Wyszła do kuchni. Wtedy nie trwało długo, a zawołał ochryplym głosem:



— Geńko! daj mi wody! wody chce mi się pić, zimnej wody.

Przyniosła; pił łakomie.

Spojrzał na żonę; wtedy zagadnęła powtórnie:

— Jak się czujesz?

— He... jak się mam czuć? dobrze się czuję. Wy-  
spalem się, to się dobrze czuję, a forsa jest.

Skąd ma pieniądze i ile, wołała nie pytać.

Po dłuższej chwili rzekła:

— Zjedz śniadanie, kawa ci ostygnie.

— Jeść, nie! ale kawy to się napiję. — Jął pić prze-  
chylony ku krzesłu pobok łóżka.

— Gdzie byłeś tak długo? — zagadnęła Genia, si-  
ląc się na objętość.

— Gdzie byłem? — zawtórował i pił kawę dalej.

Nie otrzymawszy odpowiedzi, wahała się Genia,  
czy teraz powiedzieć mężowi o tym, że ma się zgło-  
sić w biurze „Strzelca“. Wołała to jednak odłożyć  
na później.

Nagle usiadł na łóżku i zapalił papierosa. Równo-  
cześnie zauważyła Genia, że z łóżka zsunął się na  
ziemię plik banknotów. To wywarło na nią wrażenie.  
Sprzeczne myśli cisnęły jej się do głowy.

Sporo papierowych dwudziestozłotówek leżało roz-  
sypanych na ziemi.

— Spójrz Felku — zauważyła pokazując palcem  
na podłogę — pieniądze gubisz!

Zerwał się:

— Pieniądze! gdzie pieniądze?

— Tam leżą — wskazała powtórnie, sama umyśl-

nie nie chcąc ich dotykać. Sięgnął ręką, podniósł banknoty.

— Skąd one tu się wzięły? Czyś wyjęła je z kurtki?

— Nie, teraz dopiero spadły z łóżka.

— Zaraz... — jął się zastanawiać — ile ich jest tych złociszów? Musi być dwieście dwadzieścia.

Jął liczyć. Po dłuższej chwili rzekł:

— Hm, brakuje... czekaj, czekaj!... brakuje czterdzieści złotych... tu jest tylko sto osiemdziesiąt!

Spojrzał spodełba na żonę:

— Ty nie wzięłaś?

— Nie.

— Zobacz-no... albo nie, podaj mi kurtkę.

Podąła. Jął szukać po kieszeniach.

— Psiakrew! nie ma! Gdzie reszta pieniędzy? Podaj-no spodnie!

Podąła. Znalazł garść monety brzęczącej.

— Hm — mruzczał — raz, trzy, cztery... cztery złote i czterdzieści groszy!

Rzucił je na krzesło obok kawy.

— Więc powiadasz, że nic nie wzięłaś.

— Nie.

— Czy tyle bym wydał?... Hm. Może, może...

— A toś dużo zarobił, Felku, rzekła Genia.

— No tak. Trzeba ino umieć forszę podnosić. Leży jej na świecie ile chcieć.

— Daleko byłeś?

— Daleko... A tyś ciekawa, co?

— No tak.

— Nic z tego -- mruknął i umilkł.

Genia zabrała się do porządkowania mieszkania; myślała sobie przy tym, że on wcale nie wie, że ma zostać ojcem. Powie mu to później, w lepszej chwili. Felek patrzył na Genię, a co chwilę głośno mu się odbijało. Pomyślał sobie wreszcie, że może za bardzo odgradza się od żony? Trzeba sprawę zatrzeć, powiedzieć jej coś, czym się ucieszy:

— Słuchaj - no, Geńko! bardzo się dopytywał o ciebie Józek.

Stanęła jak wryta.

— Józek! — powtórzyła, lecz równocześnie uprzytomniła sobie, by nie zdradzić się z wrażeniem, że to on był u Zięby i to w sekrecie przed nią.

— Józek? — powtórzyła z czułością. — To ty spotkałeś Józka? Jak wygląda? czy zdrow?

— Psiakrew, wygadałem się Geńko. No, nic nie szkodzi. Byłem w Żyrardowie. Józek zdrow, ale ciągle o tobie gada.

— Mój Józeczek kochany! — rozczuliła się Genia. Żebym była wiedziała, że go zobaczysz, tobym ci coś dała dla niego. Powiedz, dobrze mu tam?

— A czemu nie ma być dobrze? a czy ja wiem?

— Mój Boże! mój Boże!

— Co tam! może zaczniesz beczeć? — pokpiwał Felek wyłażąc z łóżka. — No, a ty co tu robiłaś sama?

— Nic, czekałam na ciebie, była też twoja matka. Słuchaj masz iść do Zastępcy Komendanta „Strzelca“, ma coś dla ciebie.



— Co? dla mnie? — zdziwił się Felek. — A skąd wiesz?

— Przysyłał tu — skłamała bez zajknięcia.

— A po co?

— A czy ja wiem? zdaje się, że chce ci dać posadę.

— Nakicham na jego posadę.

— Felku!

— Tak, nakicham! teraz mi nie potrzebny cały „Strzelec“!

— No, toś musiał sobie znaleźć dobrą posadę!

— Czy tylko posady są dobre?

Patrzała na męża, nic nie rozumiejąc, a on zaczął się zastanawiać: iść, czy nie iść do „Strzelca“? a może jakie odznaczenie? albo jaki dokument, co się może przydać kiedy?

— Idź do „Strzelca“ — prosiła Genia.

— Dobrze, pójdę! mała fatyga.

Felek ubierał się, a Genia sprzątała. Podczas swej krzątania próbowała zebrać myśli, aby jasno widzieć sytuację. Okropny dla niej widok pijanego męża, który w stanie nietrzeźwym bryznął jej w oczy plugawą potwarz, począł się zacierać wobec grozy położenia, które jęło się zarysowywać wpierw w odezwaniach Doliniakowej, potem Felka samego. Pieńdże zaś Felka wydały się Geni podejrzone. Jak on to powiedział?... „czy tylko posady są dobre?“ — tak powiedział! Więc co? nie z żadnej posady są te pieńdże! W tej chwili przypomniało się Geni, że ojciec wtedy też dał im całe trzysta złotych, wziął je

Felek, mógł teraz też od ojca coś wycyganąć, przecież tam był; sam powiedział, i o Józku wspomniał!

Ale czyżby ojciec tyle pieniędzy dał tak za nic? Nie, dał mu za coś, za jakąś pracę, to już Doliniakowa miarkowała, no i z Jędrkiem byli tam pewnie razem. Tyle pieniędzy mogli zarobić?

W tej chwili przypomniały się Geni żyrardowskie typy z otoczenia ojca, te z restauracji! Już też Genia coraz bardziej obawiała się dla Felka tych interesów żyrardowskich; znała ojca, wiedziała, jakimi otacza się ludźmi, znała mętne sprawy i zajęcia Jędrka i Wicka — teraz w coś podobnego wciągnęli Felka. Przeczynała z tego nic dobrego, tym bardziej, że mąż wyraźnie przed nią rzecz zataja.

Myśli te przerwał wreszcie Felek, który przywdziawszy palto, jako, że deszcz rosił na dworze, powiedział:

— Idę.

— Do „Strzelca“ idziesz?

— Tak.

— Prędko wrócisz?

— Wrócę, jak wrócę — burknął już ode drzwi i znikł.

Genia snuła swe myśli dalej; była już swobodna, poczuwszy się sama w mieszkaniu. Jedną ją myśl pocieszała: gdy tylko Felek wróci, zaraz mu powie o swej tajemnicy, która odtąd będzie ich wspólną przez pewien czas, i wspólnie radować się będą, on, oczekując ojcostwa, ona macierzyństwa. Ta wspól-

na radość rozjaśni te ich ponure ściany, w których razem żyją!

Gdy tylko wróci, zaraz mu to powie, bo wróci albo uradowany, jeżeli przyjmie posadę, albo jeżeli, jak powiada, „na nią nakicha“, no to też zły nie wróci. Może się wszystko jakoś naprawi? może te dziwne sprawy w Żyrardowie już się nie powtórzą? może to było jeden raz tylko?

Przyszła też Geni myśl zgoła nowa: gdyby tak zgodził się Felek na zmianę mieszkania, żeby być dalej od Doliniaków! Coby tu wymyśleć, żeby go przekonać? Nad tym warto się zastanowić!

Z żalem rozejrzała się po pokoju, który dla niej zawsze był pokojem Antoniego. Tak! ale już to wszystko zaczyna się zacierać, już to inny pokój, a niedługo będzie jeszcze inny, że nie będzie czego żałować.

Rozmyślania Geni przerwało wejście Doliniakowej.

— Dzień dobry mamie — powitała starą Genia.

— No, co — rzekła tamta — doczekałaś się wreszcie chłopca, to i jesteś rada, co?

— Tak, niech mama usiądzie.

— A Felek gdzie? nie ma go?

— Nie, poszedł do „Strzelca“.

— Do „Strzelca“? a po co jeszcze?

— O tę posadę się dowiedzieć, czy co innego, nie wiem.

— A czy ty kiedy co wiesz? Już on nie po posadę poszedł, na co mu ona teraz?... Ja tu przyszłam, żeby Felek był dzisiaj u Jędrka. Głowa go boli, leży, więc



niech go brat młodszy odwiedzi... A ty to już do nas nigdy nie przychodzisz! Jak byłaś panną, to jeszcze, a teraz to ci już nie interes.

Genia odwróciła się i popatrzała przez okno. Stara coś tam jeszcze gadała i dokuczyć usiłowała każdym słowem; Genia próbowała nie słuchać, mimo to czuła się bardzo udręczona. W tej chwili wrócił Felek. Wszedł z hałasem, chmurny, milczący. Ze złością cisnął czapkę na łóżko i jął mierzyć izbę wielkimi krokami. Genia patrzyła zdziwiona i złężniona to na męża, to na jego matkę. Doliniakowa rzucała okiem pewnym siebie na syna, choć też była zdziwiona. Geni zdawało się, że jest jakaś zmowa przeciw niej, a zaniepokoiła się poważnie, gdy Doliniakowa wyzywająco i jakby z jakimś wyrzutem na nią poczęła patrzeć. Wreszcie odezwała się do syna stara:

— Coś taki zły, Felku?

Machnął tylko ręką i zaklął:

— Psiakrew!

Potem stanął przed żoną szeroko rozstawiwszy nogi, a skrzyżowawszy ręce na piersiach i jął się śmiać złym śmiechem:

— Taką ja mam żonę!... pfu! — splunął Geni pod nogi i znów kroczył z pasją po pokoju.

Genia z przerażenia nie wiedziała co odpowiedzieć, jak się zachować. Po chwili dopiero przerwała jego szyderczy, znowu podjęty śmiech:

— Na miłość boską, Felku! co? co?...

On z ironią pokiwał głową patrząc w stronę matki:

— I ona śmie pytać! Co mama na to: moja żona

była niedawno w „Strzelcu“, poszła szpiegować mnie i nagadała na mnie okropnych rzeczy zastępcy komendanta. Naśmiewali się ze mnie, że ja ostatni głupiec, że nic nie wiem, że nie chcę — słuchaj matka! że nie chcę — ha, ha, ha — — — książek czytać!... No i posadę straciłem!

Doliniakowa, aż zerwała się z krzesła:

— A to świnia! — rzekła z pasją.

Geni pociemniało w oczach; zdobyła się na wysiłek i krzyknęła przez łkające gardło:

— To wszystko nie prawda! kto ci to powiedział! kto ci to powiedział?

— Kto? kto? ty ścierwo! — syczał przez zęby Felk, przybliżając się do żony — i ty śmiesz jeszcze pytać? ty?

Przybliżyła się jeszcze Doliniakowa, dodając swoje:

— A to ladaco dziewczka!

— Czego wy chcecie ode mnie? — zawołała z rozpaczą Genia zdecydowana bronić się do ostateczności. — Czego znęćacie nade mną? czy dla tego, że znośiłam tyle już od was, że to trudno wypowiedzieć? To wszystko jest nieprawdą! zabijcie mnie, a powiem, że to nieprawda.

W tej chwili wyrwał się z krtani znękaney kobiety głośny szloch. A szloch ten przygłuszył gwałtowny wybuch Felka:

— Ty mi tu androny gadać będziesz, ty ścierwo! niewiniątko, baranek! Nie o „Strzelca“ mi idzie, ro-

zumiesz, ale o to, że się dowiedziałem, że mam fałszywego gada za żonę, rozumiesz?

— Nie mów tak, Felku! nie mów tak! — próbowała Genia mitygować męża, lecz on krzyknął:

— A co! możeś nie była w „Strzelcu“?

— Byłam, ale...

— Byłaś i to mi wystarczy! byłaś potajemnie. Zmówiłaś się z tym paniczem, co zastępuje komendanta! Djabli cię tam wiedzą coś z nim wyrabiała przez ten tydzień, jak mnie nie było!

— Nie masz prawa tak do mnie mówić, rozumiesz?! — wrzasnęła Genia, doprowadzona do ostateczności i porwała się ku drzwiom kuchennym, aby uciec z pokoju. Zastąpiła jej drogę Doliniakowa, a Felek przyskoczył i gwałtownym szarpnięciem powalił na ziemię.

Wpadłszy zaś w furję, widząc zmiądzoną żonę, tę z którą jedynie dotąd musiał się jeszcze liczyć, kopnął ją z całej siły prosto w brzuch. Jęknęła:

— Och! moje dziecko!! — Zemdlała.



## XIX.

### *Katastrofa*

W izbie Doliniaków siedziała cała rodzina wraz ze stałym gościem domu w osobie Lili, jawnie już wspólnej kochanki obu Doliniaków. Ludziom tym od niedawna dobrze się działo; z zadowoleniem sobie to powtarzali. A byłoby bardzo dobrze, gdyby nie chmura na twarzy Felka.

Dookoła jego „nieszczęśliwego małżeństwa“, jak z pasją podkreślała Lili wobec Doliniakowej, obrała się rozmowa tego wieczoru.

— Potrzebne to było żenić ci się z Ziębianką? — westchnęła stara, a Felek odparł:

— A no! dziewczyna była ładna, to jak mi się przez kwartał napierała, to i mnie coś do niej pchnęło. Każdy by tak zrobił, jak się dziewczka doń przy-ciska.

Jędręk dmuchnął przed się kłębem dymu!

— Mogłeś psią krew zerznąć gdzie w krzakach, a nie zaraz żenić się na fest.

— A właśnie! — przywtórzyła matka. Ale co tu

gadać poniewczasie. Ona męża złapała i wygrała, a teraz myśli, że wszystko będzie tak, jak ona chce. Nie ustąp Felku! bo ci po głowie będzie tańcować, że rady nie dasz. Narazie jej się oberwało, tak dobrze! tak dobrze!

— Zuch z ciebie Felku — zawołała Lili.

Felek przetarł oczy i rzekł:

— A ja wam mówię: mnie się to wszystko nie podoba!

— Pewnie! — przytwardziła stara, ale innej już rady nie było.

— Była! — rzekł Felek po chwili. — Żem powiedział co myślę, to dobrze, ale nie trzeba mi było kopać.

— Właśnie, że trzeba tak! — upierała się Dolińniakowa.

— Teraz wiedzieć będzie, że jesteś mąż, co ma mocną rękę. Zobaczysz jak spokornieje.

— Co to, to tak — rzekł Felek, ale jednak muszę ją wypytać, jak to było z tym „Strzelcem“, bo ona mówi, że to nieprawda, więc...

— Słuchaj Felku! — przerwał Jędrak porywczo. — Postawiłeś się raz jak morowy chłop. Niechno baba zmiarkuje, że to nic, żeś zmiękł, to — ho, ho! już jej nie dasz rady. Ona musi wiedzieć, że tak zostanie, jak jest.

Felek wzdrygnął ramionami i spojrzał pytająco po obecnych:

— Więc jak? Tak na zawsze już mamy siebie okrążyć, jak pies i kot.

Zapiszczała Lili:

— A co ci jeszcze do niej?

— A bo ładna jest, to jak się ustatkuje, to jabym czasem rad z nią jeszcze pospał.

— Czy ona jedna na świecie?— pisała znów Lili, a Jędrek rzekł nieodwoalnie:

— Ma być tak: teraz, to ty nie masz tam wcale chodzić, aż przyjdzie tu sama cię poprosić, a po tym to już będziesz robił, jak ci się spodoba. Teraz przez dłuższy czas i tak będziesz z nami na robocie u starego Zięby. (To morowy chłop, co? a forse ma i płaci!) Więc niech ona myśli, że to z gniewu do niej już nie chodzisz.

— A widzisz! — zawołała stara — tak ma być, niech myśli, a i tak będziesz we świecie!

Rzekł Felek:

— No tak, niech myśli...

Zapanowała chwila ciszy, którą przerwała Doliniakowa:

— Słyszałeś, Felek, czy też mi się przysłyszało? Powiedz, czy ona jest w ciąży?

— Nie! chyba nie. Nic mi nie mówiła, a czemu mama o to pyta?

— Bo, jak ją kopnąłeś w brzuch, to ona jakby zawołała: „moje dziecko!“ Nie słyszałeś?

— A czy ja wiem?

Wtrącił się Jędrek:

— Powiadam wam, to szczwana baba, choć młoda. Ona tak może zawołała, aby jej dalej nie kopać.

— Aha! widzisz ją—zawołała Doliniakowa z przekonaniem.



A zaś Felek rzekł:

— Dzisiaj to ja tam pójde zobaczyć co się z nią dzieje.

— Ani się waż, Felku— zagrzmiął starszy brat, Jędrek.—Już ja wiem co gadam. A teraz Wicek! dawaj wódki. Pocieszymy nieszczęśliwego żonkosia. Wpadł, bo wpadł, potrzebna mu była żona, jak dziura w moście. Dalej Felku! twoje zdrowie. Dzielnie się spisałeś, teraz ja też wiem, żeś mąż, co babie się nie dał, twoje zdrowie!

— Zdrowie! — krzyknięto chórem; i tak rozpoczęła się pijatyka. Spito Felka do nieprzytomności. Noc przespał w domu matki.

— — —  
Nazajutrz około południa wymknął się Felek niepostrzeżenie, aby zobaczyć co dzieje się z żoną. Zastał ją leżącą w łóżku. Okno było zasłonięte; a więc półmrok.

Felek rozejrzał się, podszedł do okna i zdarł zasłonę.

Ostre światło wpadło do izby.

Felek spojrział na żonę; leżała na wznak z oczami na pół przymkniętymi, na czole mokry ręcznik, grymas bólu wokół ust.

— Geńka, śpisz? — warknął Felek i zdziwił się nawet ostrości swego głosu, nie chciał tak, chciał tylko tyle ile trzeba, by utrzymać się w powadze, wypadło inaczej, ale to nic.

Genia w odpowiedzi tylko poruszyła wargami,

wtedy zauważył Felek, że była bardzo blada. Zapytał nieco łagodniej:

— Czy chcesz mi co powiedzieć?

Potrząsnęła lekko głową.

— Nie? — zdziwił się Felek. — Nie, to nie!

Jął chodzić po pokoju. A po chwili znów:

— Jak to było w „Strzelcu“ — też mi nie chcesz powiedzieć?

Nie odezwała się.

— No, to wiem, że było tak, jak mówiłem! Zasłużyłaś na to, co się stało. Tak... no, ale niech już na tym się skończy, prawda?... Geńko! czego ty tak się wykrzywiasz? czy ci co jest? może cię co boli?... Gadaj, psiakrew, bo!...

Genia zacisnęła oczy kurczowo, aż z skrzywionych ust wyrwał się cichy jęk:

Felek stał i patrzył, wreszcie zniecierpliwił się:

— Nie rób komedyj, słyszysz? Nic się znów takiego nie stało. Słuchaj, muszę dzisiaj wyjechać na parę dni, rozumiesz? Na parę dni... Masz ze mną mówić, rozumiesz? Ja mam robotę, dobry zarobek, muszę wyjechać na parę dni — — —

W tej chwili Genia otworzyła oczy, a ręką odsunęła z czoła wilgotny ręcznik. Spojrzała na męża.

— Felku, chodź tu bliżej — jąła mówić przyciszonym, niepewnym głosem.

Zbliżył się, a ona mówiła dalej, przymknąwszy znów powieki:

— Felku, sponiewierałeś mnie. Nie miałeś powodu, ale jak mówisz, że miałeś, no — to ja już nic nie

poradzę. Nie wiem, coście tam na mnie uradzili. Ja wiem, że...

— Co wiesz, co? — bełkotał jak winowajca, który winy swej uznać nie chce.

— Ja wiem — ciągnęła Genia cicho — że tak żyć nie można, bo po co komu takie życie? Jak chcesz, to ja mogę sobie pójść, ja nie chcę ci zawadzać, Felku...

— Gdzie masz pójść? czyś zwariowała?

— Ty ze mną żyć nie będziesz, ja to widzę, po co mam ci zawadzać? weź sobie lepszą, puść mnie!

— Ty masz innego?

— Nie.

— Więc jak?

— Będę sama, ale tak nie można żyć, a to się już nie zmieni.

W tej chwili twarz Geni wykrzywiła się straszliwym bólem, a ciało skręciło się i znów rozprężyło. Genia dłonią ścisnęła kurczowo krawędź łóżka.

— Co ci jest? co ci jest? — wołał niecierpliwie Felek.

— Nic, już nic... szepnęła Genia i leżała znów spokojnie. Wtedy rzekł Felek stanowczo:

— Słuchaj, nic się nie stało...

Genia spojrzała na męża wielkimi oczami:

— Nie??

Zmieszał się, lecz prędko znów zaczął mówić:

— Nic tak okropnego. Jutro już o wszystkim zapomnisz, ja też, rozumiesz? — ja też. Mam ważne moje sprawy, już mi tym głowy nie zawracaj. Te-



raz muszę się zbierać. Gdzie jest druga koszula? aha! (sięgnął do komody) te żółte trzewiki też wezmę, buty na nogi, a trzewiki i koszulę w pakiet...

Słuchaj, tu ci zostawiam 10 złotych, żebyś nie mówiła, że jestem zły; będzie dosyć aż wrócę. Idę już. Do widzenia.

Przywdział palto, w papier zawinął to co z sobą zabierał, zasunął czapkę na czoło i wyszedł.

Wtedy Genia odwróciła twarz ku ścianie i długo, długo płakała. Płakała, aż płacz jej przerwał znowu ból dotkliwy, ból idący z wnętrzości.

— Nie będę miała dziecka! — westchnęła, gdy ból przeszedł.

## XX.

*Dnie dna.*

Tym razem nie było już sposobu, aby sytuację myślał ogarnąć. Rozmiary zdarzeń i zadanego bólu nie mieściły się już w myślowych możliwościach Ziębianki.

Wszystkie mózgowe wysiłki rozbijały się o prawdę zdruzgotanego życia. Odjęto jej nawet możliwość albo nadzieję wydobywania się z nieszczęścia przez urodzenie dziecka i możliwość pokochania tej małej istoty, która już jęła zarysowywać się w wyobraźni przyszłej matki jako jedyna racja i cel jej dalszego bytowania.

A teraz co? a teraz jak?

Bo oto trzeciego dnia po sponiewieraniu Geni przez męża nastąpiło krwawe, bolesne poronienie. Zaledwie poczęte dzieciątko już istnieć przestało. Ostał jeno srom, zniewaga i zupełne, zupełne osamotnienie. Żeby to choć jednemu z ludzi na tym szerokim świecie (a ilu to ich jest? — przecie czwtała: dwa mili-

dy ludzi!) — żeby to wśród nich choć jeden, któremu by mogła nędzę swą odsłonić, żeby choć jeden!

Cóż to? czy ona taka jest nikczemna, że gorsza od wszystkich? wszystkich? skoro przez wszystkich odepchnięta?

Gorsza od — ojca, którego mieniła złym człowiekiem? Gorsza od tej ulicznej dziewczki Lili, co to jest obu braci kochanką a co noc kochanką każdego, kto tylko zechce i zapłaci? Czy gorsza od trzech Dolińiaków, co to niewiadomo jakimi sposobami zarabiają tak łatwo tyle pieniędzy? Gorsza od nich wszystkich? Tak? — A czemu? Co takiego uczyniła, czym się shańbiła? kogo ukrzywdziła?

Czy to, że książki czyta, a oni nie?

Czy może Genia nie wie, co złe, co dobre, a może oni wiedzą?

Przecie nie chciała źle uczynić mężowi, a dobrze, gdy poszła do „Strzelca“! Chciała dobrze, a uczyniła źle! Książki ją zgubiły, te książki, których nie chciał czytać Felek i nic nie wiedział, więc nie nadawał się do „Strzelca“. Te książki zgubiły Felka, że ich nie czytał, a ją, że je czytała!!

Więc jakże to? Takie jest to życie? takie, że dobrze chcieć i uczyć się i myśleć, to złe, co zgubę niesie — i źle chcieć, niczego się nie uczyć i nic nie myśleć, to też złe, co taką samą zgubę niesie? Więc jakże to?

Teraz Genia spostrzegła, że wszystko co w sobie ceniła, to trochę co wie, co się nauczyła, to było nic, to jest nic!



Więc co jest, co ma jakąś wartość? co jest, co prowadzi przez życie i chroni przed nieszczęściem?

Och! już nic nie wiadomo! Wszystko! wszystko co tak gromadziła w sobie, co tak pielęgnowała, co ceniła, wszystko to razem z jej płodem znalazło się — w kloace!

— — — Czwartego dnia już też i płakać nie mogła z nadmiaru żalu. Siedziała nieruchoma, wpatrzona w jeden ciągle punkt w kącie izby, blada, niemal zzieleniała; poczuła, że mózg pod czaszką stanął, zamarł, myśleć przestał. W martwocie tej odczuła ulgę.

Tak trwała przez cały tydzień! Były to dni opadania z jej duszy wszystkiego, co przez życie na niej narosło; jak martwe żółkłe liście, jak to gołe już, z liści obrane drzewo, co suche gałęzie w ten wiatr wyciąga nie wiadomo po co, tak jej dusza sterczała w tej chwili w tym obcym, wichrowym świecie, obrana już z liści wszystkich, co ją zdobiły.

Gdy zwolna bóle minęły, a tylko słabość wielka gnieździła się w Geninym poszarpanym od łkania ciele, chodziła z kąta w kąt i coś tam czyniła w tym gospodarstwie swoim, czy jego, czy wspólnym — już tego dobrze nie wiedziała. Ale przecie coś trzeba było robić; czemu? to też nie wiadomo, ale coś trzeba było!...

że jeden kęs chleba, że parę łyków mleka do życia wystarczało dziennie, więc nawet zmywania wiele nie było, a zamiatanie w kółko po parę razy dziennie, też na nic, bo śmiecia nijakiego nie było; ot tyle pożytku ile z ścieraniem kurzu, bo kurze osiadały

wciąż, tak jak znów osiadają na to jej drzewo bezlistne, co to jest jej duszą.

Ścieranie wciąż kurzów jedyną prawie było czynnością Geni w dni owe, jedyną przyjemnością; a potem odpoczynek przez parę godzin, ten męczący odpoczynek, co to jest większą udręką, niż wszystko inne.

Zaczęła więc tęsknić za bólem, za odczuwaniem sponiewierania.

Odpoczywając męczyła się tęsknotą za znikającą świadomością nieszczęścia. Bo już też, że myśleć nie mogła, więc — zda się — straciła nieszczęścia świadomość; i to było najgorsze!

Tu dopiero dno straszliwego przeżycia swego ujrzała! ale też w tej dopiero chwili zrodziła się myśl pierwsza, pierwsza z nowych, gdy tamte wszystkie gdzieś pomarły: Czy to już dno — pytała — czy tam dalej, tam jeszcze głębiej — już nic? Czy tam, przed tym dnem coś jeszcze na nią się czai, co ją spotkać może? Już chyba nic! może to są dnie dna jej życia, może to są te właśnie dnie!

Tak tedy Ziębianka zoczywszy dno swego życia, odczuła nagłą potrzebę budowania na nim od początku. Byle dno zasłonić czymkolwiek, co na nim zbuduje, jakkolwiek warstwą! byle je zasłonić, bo widok dna jest nie do zniesienia.

A więc jest coś, coś w jej życiu, czego znieść nie może! z czym walczyć musi! Walczyć! to już dobrze, wola walki, to wola działania. Zaczątek odrodzenia!

Lecz cóż? — przed Genią piętrzy się nadal strasz-

liwa rzeczywistość! tym straszliwsza, że codzienna, że pozbawiona patosu niezwykłości.

Jak zwalczyć tę okropną rzeczywistość? Ot! zlekceważyć ją; to jedyna możliwość dla wątłych ramion Geni.

Udać, że jej się niewidzi, udać, że ona, ta rzeczywistość groźna, wcale jej nie przygniotła. Tam tylko można rzeczywistości zaimponować, że nie uznaje się jej rzeczywistością.

Takie to myśli snuły się po głowie Ziębianki. Myśli te były, myśli te żyły, ale nie dotarły do pełnej świadomości, bo myśl tej kobiety zbyt prosta, w labiryncie krążganków wiodących do uświadomienia nie orjentowała się.

Umie wszelako kobieta jeśli nie kierować myślą, to czucie do niej przykładać, ten magnes, co pociąga myśl błędzącą tam, gdzie jest wreszcie wyjście.

Wyczuła więc Genia trafnie, że wszelkie dziś postanowienie mogło być tylko błędem; tu trzeba szeregu drobnych postanowień uzależnionych od dalszych drobnych zdarzeń. Tak postępować będzie, cicho a podstępnie w stosunku do swej rzeczywistości.

Drugi już mija tydzień, a Felek nie wraca. Genia za to dziękowała Bogu; lecz równocześnie spostrzegła, że już zgoła nie ma za co żyć.

To jest pierwszy obrót rzeczywistości, ten zwykły, jakże Geni dobrze znany! według niego więc postąpić ma jak umie najlepiej.

Długo głowiła się nad sposobem zarobkowania. Późna znów jesień, o uzyskaniu pracy zwykłej nawet



marzyć było trudno; a jednak Genia wpadła na pomysł! pomysł który nie był jej, lecz — Antoniego, a potem Szczerb - Szczerbińskiego, rzeźbiarza. Nie chciała wówczas skorzystać z propozycji, nie chciała być modelką rzeźbiarza. Toż raz nawet i na to się zdecydowała, już była pode drzwiami rzeźbiarza, już miała mu pozować, ale przeraziła się i uciekła.

Nie skorzystała, choć jej powiedział — pamięta to dobrze — że każdej chwili ma się zgłosić, gdy zdecyduje się pozować. Możeby zgłosiła się teraz? możeby dotrzymał obietnicy dania jej zarobku, choć to już tak dawno? może nie zapomniał?

Teraz to już Geni wszystko obojętne; nie jest dziewczyną, której sromota nago stawać na oczach obcego mężczyzny. Jest kobietą, jest żoną, a jemu Felkowi, nic do tego!

Tak oto rozważała sobie Genia siedząc naprzeciw drzwi na krześle; i ostatecznego nie powzięła jeszcze postanowienia, gdy rzuciwszy mimo woli okiem przez okno na podwórze, spostrzegła zbliżającą się ciężkimi ruchy starą Doliniakową. Mrowie przeszło przez plecy Geni. Wieść jaka o Felku, czy co? albo nowa znów złość sprowadza tę kobietę, jak wówczas? Nie! za nic nie otworzy, za nic jej nie wpuści! W tej chwili poczęto szarpać klamkę, potem całymi drzwiami; nawet bez stukania! Genia siedziała bez ruchu, milcząca; tylko serce jej biło na odgłos szarpanych drzwi. Wreszcie dał się słyszeć gniewny głos Doliniakowej za drzwiami:

— No! otwieraj, Geńka!

Cisza. Genia ani drgnęła.

— A co! nie otworzysz? — sierzniła się stara. —  
Udajesz że cię nie ma, chorobó! a toć widzę przez  
dziurkę, gołabeczko! widzę cię, jak siedzisz, po-  
krako!

Znów poczęło się szarpanie drzwiami. Genia za-  
cięła usta i milczała. Wreszcie Doliniakowa zaklęła  
raz i wtóry i odeszła.

Mijając okno, pięścią pogroziła.

## XXI.

### *Pierwszy raz u rzeźbiarza.*

Z niepokojem w sercu zastukała Genia do drzwi pracowni Szczerb-Szczerbińskiego. Zdecydowała się na ten krok trzeciego dopiero dnia po powzięciu postanowienia, gdy już wyczerpały się ostatnie resztki żywności.

Nie wiadomo kiedy wróci Felek; nie wiadomo czy wróci; a jeśli wróci, to z czym? — chyba tylko z złym słowem!

Dom Dolińskiej był zamknięty, przecież do własnego jej nie wpuściła! Zresztą wolałaby zginąć z głodu, niż iść tam — prosić!

Tak więc lepiej; w pracowni rzeźbiarza znajdzie zatrudnienie; a nie jest to hańbiące, to zwyczajna praca jak wszystkie inne! tak, tak!...

Umocniwszy się w tym przeświadczeniu, Genia zastukała po raz wtóry nieco głośniej.

Posłyszała męskie, energiczne kroki, potem przekręcenie klucza w zamku. Drzwi otworzyły się. Przed Genią stanął Szczerb-Szczerbiński w długim białym



fartuchu o podkasanych po łokcie rękawach. Owłosione ujrzała Genia przedramię a dłoń oblepioną tłustą, lśniąca gliną.

— A! panna Ziębianka! — zawołał zdziwony i jakby uradowany rzeźbiarz.

— Proszę, bardzo proszę dalej. Czym mogę służyć? No cóż? zdecydowała się pani pozować?

— Tak... dzień dobry panu. Ale widzę, że pan przy pracy. Przerwałam. — Przepraszam, może przyjdę lepiej o innej godzinie?

— Nie, nie! — zaprotestował Szczerbiński. — Już ja wolę panią przytrzymać, skoro raz tu pani przyszła. Gotowa się pani namyśleć inaczej! Moja praca nie ucieknie; i tak na dzisiaj kończę. Niech pani pozwoli...

Wybiegł z przedsiönka do pracowni i tam zawołał:

— Panie Ignacy! dość na dzisiaj, proszę się ubrać. Dość, jestem zajęty.

I wrócił do Geni, która była widocznie zakłopotana. Odezwała się spiesznie, aby swą decyzję uzasadnić:

— Przyszedłam rozmówić się, czy mogę pozować, czy mnie pan jeszcze potrzebuje. Bo nie mam z czego żyć, zajęcia żadnego...

— Oczywiście, potrzebuję panią! — zawołał zachęcająco. — Nawet byłem w kłopotcie, bo do mej pracy z zawodowych modelek żadnej dobrać sobie nie mogłem i moja Joasia też na nic. Jakże się cieszę, że pani przyszła!

— Przyszedłam, bo już żadnego wyjścia nie widzę.

— Ależ, moja panno Geniu, gdyby nawet było wyjście...

— Ja już nie jestem panną Genią — wtrąciła cicho.

— Jakto? wyszła pani za męża? Jakaż szkoda!

— Tak — — — szkoda — — — westchnęła.

— Czy nieszczęśliwie?

Nic nie odpowiedziała.

Zagadnął po chwili rzeźbiarz:

— A jak miewa się mamusia? jak braciszek?

— Mama umarła.

— Aa!?... kiedyż to?

— Pół roku temu; już po moim ślubie.

— A brat?

— Józka zabrał mój ojciec.

— To pani ma ojca? prawda! — ale on gdzieś w świecie?

— Gdzieś w świecie.

— A mąż?

Genia milczała.

— A mąż, czy nie zarabia?

— Podobno zarabia gdzieś w świecie.

— I nic nie przysyła? i nie zabrał pani z sobą?

— Nie.

Dłuższa chwila milczenia. Równocześnie wszedł model ubrany, z czapką w ręku:

— Kiedy mam przyjść? — spytał Szczerbińskiego.

— Aha! — jął się zastanawiać rzeźbiarz — zaraz, jak to zrobić? W których godzinach może pani pozować?

— Obojętne.

— Dobrze — rzekł do modela — proszę przyjść rano o dziewiątej, a pani... no to jeszcze ustalimy...

Model wyszedł, a Szczerbiński poprowadził Genię do pracowni. Wskazał parawan:

— Proszę się rozebrać.

Zawahała się:

— Rozebrać? zupełnie?...

— Tak.

Z za parawanu słyszała Genia, jak Szczerbiński pod kranem mył ręce, poczym chodził po pracowni z ręcznikiem i pogwizdywał.

Genia czuła się nieswojo. Za chwilę pokaże się na ga temu obcemu panu! Na myśl tę ogarnęło ją jeszcze nie znane uczucie. Przecież nie był to wstyd; nie, zupełnie co innego; to raczej świadomość, że za pieniądze sprzedaje — nie swoje ciało, ale jego piękno. Tak! sprzedaje! Ma do tego prawo! Każdy towar sprzedąć można; ona sprzedaje swoje piękno; to też towar!

Szczerbiński na gazie naparzał herbatę. Genia już zupełnie rozebrana obserwowała go przez szparę parawanu. Czynił ten rzeźbiarz na nią wrażenie rzemieślnika, który na chwilę przerwał swą pracę, aby się posilić. On taki obojętny, a ona taka podniecona! Dla niego to chleb powszedni, to zwykłe dzienne zajęcia; dla niej to chwila jakaś pełna emocji i niepewności.

— No cóż, pani Geniu — zawołał Szczerbiński, nie



odwracając się od swej herbaty. — Posilimy się wpierw, a potem do roboty, dobrze?

Genia zakłopotana stała za parawanem i nie wiedziała co odpowiedzieć.

— Jak tam? — ciągnął rzeźbiarz — już pani gotowa?

— Tak — odparła głosem niepewnym — ale po co mam pić rozebrana?

— Aha — mruknął Szczerbiński. — To racja! I poszedł do sąsiedniego pokoju, przyniósł jakowyś płaszcz kąpielowy, czy coś podobnego, podał go poprzez parawan.

— Niech się pani w to otuli i przyjdzie; mały podwieszorek; proszę.

Spiesznie zarzuciła płaszcz; opięła go szczelnie aż po szyję i wyszła z za parawanu. Zdziwiła się, że Szczerbiński nawet na nią nie spojrział, tylko zajęty był smarowaniem bułek i krajaniem sera.

Siadła przy stoliku. Szczerbiński częstował. Jadła z apetytem; była głodna; rzeźbiarz dolał śmietanki do herbaty, poczym rzekł:

— To jakoś nieszczęśliwie obróciło się pani życie, prawda?

— Och tak.

— Niech się pani nie zamartwia. Wszystko się odwróci, tylko trzeba umieć zabrać się do tego.

— Ja nie umiem.

— No, ja już wezmę panią w opiekę, nie damy się złemu losowi!

Spojrzała nań i pytająco i z wdzięcznością. Po-

czym utkwiła oczy w podłogę a gorzki grymas osiadł wokół jej bladych warg.

— Zmizerniała pani — zauważył. — Trzeba się dobrze odżywiać i odpędzać wszystkie zmartwienia.

Roześmiała się gorzko. W tej chwili uprzytomniła sobie, że siedzi przy dobrej herbacie i znakomitych bułkach z masłem i z serem, gawędzi z obcym mężczyzną tak w płaszczu kąpielowym; to znaczy osłonięta wprawdzie, ale... ale gotowa na każde zawołanie, gotowa do... do odsłonięcia swego ciała!

Jakoś inaczej wyobrażała sobie to pozowanie. Wiedziała, że musi pokazać się naga, że jednak będzie to czynność jakoby urzędowa, będzie to praca w nieruchomej pozycji wśród ciszy, będzie ona coś tam sobie myślała, a on pogrążony w lepieniu w glinie jakiejś figury, tyle o niej będzie wiedział, ile spojrzy na nią, śledząc jej kształty, aby takie same lepić w glinie.

Tym czasem ona siedzi tu rozebrana, w płaszczu kąpielowym tylko, zajada wyborne rzeczy i rozmawia, jak jaka dama w salonie. Tak myślała o swej sytuacji chwilowej, że nawet nie słuchała, co on do niej mówił, a opowiadał coś z przejęciem.

Oprzytomniała nagle, gdy przestał mówić. Wtedy spojrzał na nią i widocznie zauważył jej stan niepewności i podniecenia. Rzekł wreszcie:

— No cóż? weźmiemy się do roboty. A może pani jeszcze zje troszkę? może jeszcze nalać herbaty?

— Nie, dziękuję.

— No to... — i wstał; chwycił ją za rękę, popro-

wadził na podium i ściągnął z niej płaszcz. Odwróciła się bokiem i skuliła w sobie.

Wszystko co czynił rzeźbiarz, czy to sposób zdjęcia z niej płaszcz, czy sposób przyglądania się jej postaci to z bliska, to z oddalenia, czy wreszcie zmieniania jej pozy — wszystko to sprawiło, że Genia zaczęła z ufnością patrzeć na Szczerbińskiego.

Szukanie pozy trwało około pół godziny. Wtedy Szczerbiński siadł na stołku, wziął do ręki jakiś wielki kajet (o szkicowniku Genia jeszcze nie słyszała) i jął rysować.

Po kilku minutach drzwi z sąsiedniego pokoju otworzyły się nagle; ktoś wszedł. Genia drgnęła; ujrziała młodą kobietę.

Genia chciała uciec za parawan, albo chwycić płaszcz kąpielowy i okryć się nim; lecz go nie było pod ręką. Odruchowo więc zmieniła tylko pozycję, usiadła w kuczki, zasłoniła twarz rękoma i uczyniła ruch, jakoby samą sobą zasłonić chciała swą nagość. W tej chwili Szczerbiński podał jej płaszcz. Spiesznie otuliła się weń.

Zbliżyła się do Geni tamta kobieta z wyciągniętą ręką, a Szczerbiński rzekł:

— Pani Geniu! niech się pani nie żenuje. To moja przyjaciółka; moja gospocha i modelka, Joasia.

Podaly sobie ręce. W tej chwili, gdy nagie ramię Geni wysunęło się spod włochatego płaszcz, a twarz jej płonęła zakłopotaniem, była tak piękna, że zarówno Joasia, jak rzeźbiarz przypatrywali się jej z zachwytem.



— Pani pewnie pierwszy raz pozuje — zagadnęła Joasia. — O, prędko się pani z tym otrzaska. Sztuka tyle warta, ile jest naga... sztuka powiadam, a obojętne, czy model odizany, czy nagi, to obojętne... Pokaż-no — zwróciła się do Szczerbińskiego i jęła przypatrywać się rysunkowi. — To do tej nowej grupy, prawda? Jabym inny ruch obrała, popatrz, tu jest zamieszanie, jakiś niepokój, czy nie uważasz?

— Tak — odparł Szczerbiński — ale nie układał mi się ruch; próbowałem i tak i owak, i nic lepszego nie wyszło.

— Ja panią ustawię — rzekła pewnym głosem Joasia, i zdarła z Geni płaszcz. Ujęła ją za biodra i obracała na wszystkie strony, przegiąć się kazała, jedną nogę cofnąć, drugą zgiąć, a ręce ku tyłowi... tak. Odstąpiła parę kroków, przekrzywiła głowę, znów coś poprawiła, przechylić kazała głowę ku prawej stronie, znów odstąpiła, i rzekła z przekonaniem:

— Tak!

— Rzeczywiście — szepnął Szczerbiński. A Joasia zadowolona dodała:

— Prawda? o popatrz: całe to zamieszanie w partii piersi i brzucha zniknęło — prawda? Oto jak spokojnie, w jednym kierunku układają się cienie, jak świetnie odgrózione od partyj oświetlonych.

— Jesteś mistrzem! — zawołał Szczerbiński i wziął do ręki kredę i na podium obrysował stopę Geni.

— Tak, dziękuję; na dzisiaj dosyć. Jutro damy jeszcze spokój; jutro przygotuję szkielec według rysunku, poproszę panią pojutrze, zgoda?

— Dobrze.

— A więc pojutrze na godzinę trzecią po południu.

Po chwili znalazła się Genia za parawanem i ubierała się pospiesznie. Podczas tego tamci oboje sprzeczekali się o jakieś właściwości posągu, który widocznie znali. Wymieniali jakieś nieznanne Geni nazwiska cudacznie brzmiące; domyśliła się tylko, że to nazwiska mistrzów, o których każdy wie, prócz niej.

Gdy Genia zjawiała się ubrana i z beretem na głowie, zbliżył się do niej Szczerbiński i pokazał fotografię rzeźby prześlicznej kobiety. Biel nagiego ciała w wdzięcznym przegięciu, z ruchem rąk, z których jakoby spływał cień ciszy i ukojenia...

— To starożytna rzeźba grecka — rzekł Szczerbiński — to Artemis, bogini nocy... to jest pani ciało.

— O nie! — zaśmiała się Genia. nie jestem taka tłusta.

— Tak, ale to pani budowa ciała.

Joasia dodała:

— Tak jest, pani Geniu! Trzeba tylko trochę nabrać ciała; niech-no kształty się zokrągłą, a Artemis z pani świetna. Pani jest zbudowana niemal klasycznie!

Nie wiedziała Genia, co te określenia znaczą, odczuła pochwałę swej urody i to jej się podobało.

Przy pożegnaniu wręczył Szczerbiński Geni dwadzieścia złotych do późniejszego rozliczenia się według godzin pozowania.

Genia bardzo pocieszona opuściła pracownię rzeźbiarza. Pomyślała także: dobrze, że w domu jego jest kobieta... miła, mała, ładna kobietka!



## XXII.

*Ku rozdrożu*

— Prędzej czy później — myślała sobie Genia — Felek się zjawi. I jak to będzie? Przecież małżeństwo ich jest rozbite. Genia nie wyobrażała sobie możliwego pożycia z mężem. On już do niej nie należy; wrócił do swoich, ma własne koleje życia, jakieś bujne, awanturnicze, zagadkowe; ona ma własne, małeńkie, smutne, dzisiaj spokojne, a niepokozone tylko myślą o możliwości powrotu Feliksa Dolińskiego, powrotu—ha, ha! do Genowefy Dolińskiej... tak! Dolińskiej, Dolińskiej... która mimo wszystko jest do niego przykuta, z nim związana — przepisem.

Genia z wolna dochodziła do równowagi. Już też i przestała się bać męża. Jeżeli ją raz jeszcze uderzy, sponiewiera, to zgłosi skargę do policji i zażąda separacji. Tak doradził jej Szczerbiński podczas jednego z seansów rzeźbiarskich; potem przytwierdziła Joasia, mądra, rozważna, dobra kobieta!

Genia czuła się już mniej osamotniona. Obcy ludzie, to prawda! ale obcy, którym nie brak serca, gdy swoim brak.

Szczerbiński nie przeprowadzał z Genią żadnych rachunków, nie liczył posiedzeń pozwania; godziny zliczała Genia i wkrótce przekonała się, że płaci jej więcej, niż kiedyś, przed rokiem był obiecał, wtedy, gdy po raz pierwszy uczynił jej propozycję pracy jako modelki.

Gdy raz zwróciła mu nieśmiało uwagę, że należy jej się około 5 złotych dziennie, a pobiera więcej za przepracowane godziny, odparł, że tę niewielką nadwyżkę płaci we własnym interesie, aby mogła lepiej się odżywiać i „nabrać kształtów“. Po upływie też kilku tygodni Genia rzeczywiście przytyła i nabrała kolorów; była wręcz urocza, bo i spojrzenie było znów pogodne i niekiedy nawet miły uśmiech na ustach osiadał.

Nie było posiedzenia w pracowni Szczerbińskiego bez obfitego podwieczorku, a kiedy nastawała już zima i wieczory były wczesne, przesunął rzeźbiarz pozwanie na ranne godziny; wtedy spożywano zazwyczaj obiad we troje w pracowni.

Przekonała się też Genia, że Szczerbiński podczas pracy patrzy na nią wyłącznie jako artysta, poza tym raczej jak brat; cieszyła się z tej jego bezinteresowności, jak cieszyła się z braku cienia zazdrości ze strony Joasi. Zwolna dom Szczerbińskiego stał się jakby jej domem rodzinnym; że już godziny spędzane w pracowni były najmiłsze, a dom własny czy męża — sama już nie wiedziała, czyj to dom — uważała za miejsce noclegu. Byłoby może inaczej, gdyby miała przy sobie Józka. Teraz mogłaby go wyży-

wić i opiekowałyaby się nim szczerze; ale co z dzieckiem robić na czas godzin pozowania? Zresztą lękała się upominać u ojca, by oddał jej Józka, lękała się jakiegokolwiek z nim styczności; tę ma z nim Felek — zda się. Niech ma! Ona wolała trzymać się zdala nawet za cenę nieobecności braciszka.

Te i podobne myśli zwolna formułowały w Geni świadomość jej poszczerbionego życia, to jest półżycia; balast tej drugiej połowy ciężącej straszliwie na jej pół-życiu, które znieść było można, przyczajonym tragizmem, wgrzył się w duszę młodej kobiety, że zdawało się, iż nowa jej natura z duszy się wyłania w to życie powszednie i nim zaczyna władać.

— — —

Pewnego dnia pozowała Genia zaledwie półtorej godziny. Był to okres szczęścia Szczerbińskiego; zdobył pierwszą nagrodę w konkursie na pomnik Wyspiańskiego w Krakowie. Musiał przygotować się do podróży. Trzeba było przeprowadzić wstępne rozmowy z komitetem budowy pomnika i z magistratem. Szczerbiński chodził podniecony po pracowni, w roztargnieniu utracił rękę któremuś posagowi, lecz nie dbał o to. Zawijając niewiedzieć który już raz krawat, co mu się dzisiaj zupełnie nie udawało, począł głośno rozpowiadać o polskiej pomnikologii.

— Nareszcie — prawil na pół do siebie, na pół do ubranej już Geni i pakującej jego walizkę Joasi — nareszcie zdecydowano się na monument Wyspiańskiego! O pomniku Norwida nikt jeszcze nie pomyślał, a Słowacki, o którym powiedział zjadliwie Mic-



kiewicz „on buduje świątynię, w której wszakże nie ma Boga“ ten Słowacki ma swój pomnik tylko w świątyni — w Krzemieńcu, no i w parku prywatnym — w Miłosłowiu...

Genia szła za myślami Szczerbińskiego i kłopotowała się w sobie, że nic nie wie o Wyspiańskim, o Norwidzie, o Słowackim, nawet nie była pewna, czy to wielcy ludzie od książek, czy wodzowie i bohaterzy, czy też?... Postanowiła przy sposobności zapytać o to Joasię, albo Szczerbińskiego, ale w cztery oczy; tak we troje — nie miała odwagi.

Wreszcie Szczerbiński był gotów do odjazdu; gorąco uścisnął rękę Geni na pożegnanie, ucałował policzek Joasi, zarzucił palto, wziął do ręki walizkę i znikł za drzwiami.

Joasia zatrzymała Genię na obiedzie.

W pewnej chwili zagadnęła:

— Jak to się stać mogło, że po tak krótkim czasie wasze małżeństwo się popsuło? bo właściwie od jak dawna jesteście po ślubie?

Genia namyśliła się chwilę:

— Dziesiąty miesiąc.

— Mój Boże! — westchnęła Joasia z współczuciem — to nie wiele szczęścia było.

— Szczęścia? — zdziwiła się Genia — ja nie przeżyłam nigdy chwili szczęścia.

— Jakto? a choćby w pierwszych tygodniach po ślubie?

— Nie.

— To czemu pani zdecydowała się wyjść za niego?

— Mój Boże! czemu? a czy ja wiem? — mówiła Genia zamyślona. — A może i wiem... Poprostu dlatego że...

Tu urwała. Coś jej przeszkodziło mówić dalej. Dopomogła Joasia:

— Pewnie inna, nieszczęśliwa miłość?

— Tak, może to była miłość!... Przekonałam się, że z tego nic nie będzie, a że Felek ciągle się naprzykrzał i wydawał mi się dobrym chłopcem, więc myślałam, że o tamtym łatwiej zapomnę.

Wielki smutek brzmiał w cichych słowach Geni. Joasia spojrzała na nią z współczuciem. Spytała wreszcie delikatnie:

— Czy pan Terlik?

Genia podniosła oczy szeroko rozwarte, poczym je spuściła i oblała się rumieńcem.

— Skąd pani?... rzekła cicho i urwała.

— To tylko domysły. Wiem, że mieszkał u was; wiem, że panią dobrze wspominał.

Genia znów oczy podniosła:

— Tak?... A co się dzieje z panem Antonim?

— Kilka miesięcy przebywał zagranicą, głównie w Paryżu, studiował tam; badał najnowszą sztukę francuską. Wrócił niedawno, ale u nas jeszcze nie był.

Zapanowało milczenie, które przerwała Joasia:

— Czy nie chciałaby pani z nim się spotkać?

Pytanie to jakoby przeraziło Genię; odpowiedziała dopiero po chwili zmieszana:

— Chyba lepiej nie.

— Dlaczego? niech się pani zastanowi.

— Nie, nie! lepiej nie! Po co, przecież mam — męża!

— Pani go ma?

— Czy mam? właściwie go nie mam, a jednak jestem związana...

Oczy Geni szklily się niespokojnie. Po krótkiej przerwie mówiła dalej:

— Zresztą po co mi to? Za wiele by mnie kosztowało takie spotkanie. Pan Antoni... on dobry, pomagał nam, miał zawsze dla mnie dobre słowo, dużo mnie nauczył, ale też nic więcej... To tylko głupia głowa dziewczyny mogła sobie coś podobnego uwidzieć. Taka byłam, ale dziś, dziś już nie, już widzę co jest i co być musi... POCO mam dawne rany otwierać?

— On bardzo mile panią wspominał, pani Genio.

— Wspominał... to wszystko... bo i co więcej mógł mi dać? Czym ja jestem? a czym on?

— A czym ja? — wtrąciła cicho Joasia — a jednak dobrze mi tak, z tym moim artystą.

— To zupełnie co innego — rzekła Genia z przekonaniem. — Nie mówmy lepiej o tym.

Dnia tego obie młode kobiety pożegnały się serdeczniej, niż zazwyczaj.



### XXIII.

*On ją poznał*

że na świecie wciąż dzieje się dużo niezwykłych rzeczy, i że dawniej działo się dużo, o tym była Genia zawsze przeświadczona; mimo to nie mogła uspokoić się z wrażenia, gdy czytała „Dwór w Ferrarze“. Najważniejsze zaś to, że jest widoczne, iż to wszystko działo się naprawdę, że to nie żadne wymysły.

Genia czytała tę książkę wolno i z wysiłkiem. Wielka ilość cudzoziemskich, trudnych do wymówienia nazwisk, i kto do kogo należy i te obce kraje i zwyczaje, i pełno książąt, księżniczek, biskupów i kardynałów!...

Jacy to ludzie byli! mój Boże! No, to Felek jeszcze nie najgorszy, chyba może ojciec...

Książka ta, kupiona kiedyś przez nieświadomość, męczyła Genię, a jednak przykuwała właśnie swą trudnością. Miała tę przede wszystkim zaletę, że pozwalała Geni zapominać chwilami o samej sobie. Wyсіłek mózgu skierowany w inną, niż w stronę włas-

nego życia, okazał się zbawienny i działał dobrze może dlatego właśnie, że męczył inaczej.

Sny miewała Genia ciężkie, niespokojne. Ludzie rodu d'Este i inni, i te przepychy i to całe życie niesamowite, pełne piękna i ohydy, to wszystko żyło w mózgu Geni, zwłaszcza podczas snu. Na jej dolę już nie stało miejsca. Tym właśnie dusza jej odpoczywała.

Dusza wszelako jest niecierpliwa; wysyła myślenia na zwiady; chce wiedzieć, co się wokół dzieje i co się stać może. To też Genia co pewien czas chowała książkę jaknajgłębiej w koszu, aby nie mieć jej ciągle na oczach. Są przecież sprawy, które ją dotyczą bezpośrednio, a nad którymi pomyśleć warto, bo — a nuż ją znów zaskoczą! Tak sobie Genia tłumaczyła swoją chęć myślenia o tym, co jej mówiła Joasia, o Antonim mianowicie!

Joasia ma swego „Fredzia“, kocha go, jest przywiązana, gospodaruje mu i zna się na jego sztuce. To tak jest jak dobra żona, a on jak dobry mąż. Ksiądz — bo by się gniewał, że to bez ślubu. A co lepsze, czy jej życie z Felkiem poświęcone w kościele, czy to niepoświęcone Joasi z Szczerbińskim? Och, jak zadróściła Joasi! Ale w tej chwili pomyślała sobie: czy też Joasia zastanowiła się, co będzie później? co będzie gdy ona się zestarzeje, gdy już nie będzie ani dobrą modelką, ani piękną kochanką? Bo to jak ślub, to ślub, to już aż na starość, do śmierci! A czy to prawda? A ona z Felkiem? Nie zdążyła postarzyć

się; ot! już po pół roku i co? to ślub? to, aż w starość? aż do śmierci?

Genia roześmiała się gorzko do swych myśli; Joasia mądra! Ona nie dopuszcza teraz ciężkiego życia z myślą o starości, ona nie chce kupić sobie spokojnej starości za cenę gorzkiej młodości. Bo też co tu wiedzieć można, jaką starość kobieta sobie kupuje za gorzką młodość, za spaskudzone młode lata? Joasia jest mądra, wie, że dobrze życzy Geni, gdy ją namawia, aby tak, jak ona Joasia z Fredem, tak też i Genia żyć powinna z Antonim!

I zdarzyło się wreszcie, że Genia po raz pierwszy zaczęła rozmyślać z lubością o połączeniu się z Antonim.

Zdawała sobie sprawę, że to się nie stanie, mimo to zaznawała ukojenia, gdy wyobraźnia jej przenosiła ją w pobliże tego, którego przecież w skrytości kochała. Marzyła o tym, aby nawiedził ją sen luby, by choć we śnie z nim rozmawiała, by mogła pytać o książki i o niego samego, by on o nią pytał troskliwie; by choć dotknąć mogła ręki jego na powitanie... Ale sen taki Geni nie nawiedził. Czyżby w tym dowód był, że Antoni o niej zapomniał? Nie! przecież Joasia powiedziała wyraźnie, że wspominał ją życzliwie! Może stanie się właśnie tak, że jej przebywanie w pracowni Szczerbińskiego ułatwi spotkanie z Antonim?

Spotkanie, lecz cóż z tego? Zapyta o zdrowie, o pracę, o matkę i Józka, może trochę pocieszy, może znów jaką książkę poleci — i to wszystko; bo co mo-



że być jeszcze? Choćby ją lubił nawet, choćby mu się podobała, to przecież... Nie! nic! już więcej nic się stać nie może, bo coby się jeszcze stać miało?

Genia nie lękała się tego, coby się jeszcze stać miało, ale lękała się, że takie spotkanie na niczym może się skończyć — jak wówczas!... I nowe znów rozczarowanie, tym razem ostateczne, już na zawsze! Tego właśnie lękała się, aby nie były odjęte jej marzenia o Antonim, aby mimo wszystko pozostała w niej świadomość jakiejś bliżej nieokreślonej możliwości.

Wobec męża nie czuła już Genia żadnych wewnętrznych powinności. Jeżeli zażąda od niej obowiązku oddania się — — — uczyni to! Ohydy tyle już przeżyła, że i tę jeszcze przeżyć będzie zdolna, ale poczuje się zgwałcona, nie odda mu się z własnej woli i chęci!

Genia nawet nie spostrzegła się, jak chętnie teraz spieszy do pracowni Szczerbińskiego i jak jest rada, gdy może tam przebywać jaknajdłużej. To przecież zwiększa możliwość spotkania się jej wreszcie z Antonim.

Pewnego dnia Genia zastała w pracowni samą Joasię, która powitała ją jak bliską przyjaciółkę.

— Mogłybyśmy mówić sobie po imieniu — rzekła Joasia, pocałowawszy Genię w policzek.

— Czy chcesz?

— Tak, dobrze — Joasiu! — odparła Genia potrosze zmięszana; a Joasia pociągnęła ją ku kanapce. Gdy siadły, rzekła z ożywieniem:

— Powiem ci coś, Geniu: był tu Terlik przed pół

godziną, zabrał Freda i poszli na miasto w jakimś interesie.

Genia poczuła, jak fala gorąca oblała jej twarz. Spuściła oczy, siląc się na ukrycie wrażeń. Joasia zmiarkowała ostatecznie jak rzeczy stoją; nie miała już wątpliwości.

Genia kocha Terlika.

Joasia przysunęła się do Geni i uścisnęła ją życzliwie.

Milczały długo; żadna nie chciała o tym mówić. Nic nie mówiąc zrozumiały się najlepiej.

Wreszcie Genia obejrzała się na posąg, do którego pozowała.

— Czemu nie owinięta ta rzeźba, jak zwykle? — spytała.

— Oglądali ją; nie zdążyłam jeszcze skropić wodą i owinąć.

— Oglądali?... spytała Genia przed siebie. — On mnie może poznał?

— Tak, poznał — zawtórzyła Joasia.

## XXIV.

### *Naga prawda.*

Od dłuższego już czasu przychodził Felek na myśl Geni częściej, niż doniedawna. Czowała, że niedługo zjawi się i lękała się. Stał się dla niej obcy, bardziej obcy, niż wówczas, gdy o nią zabiegał. Wydawało jej się ciągle, że wdawała się z Felkiem Doliniakiem w przelotną miłośćkę, że uwiódł ją i porzucił bez żalu ich obojga. Lecz niestety świadomość małżeństwa wciąż tej uludzie w poprzek stawiała. Genia była z Doliniakiem prawnie związana. To ją dręczyło; czowała się życiowo zniewolona bunt przeciw temu stanowi rzeczy wzrastał w jej duszy. Jeszcze nie szukała świadomie zetknięcia z Antonim, ale uczucie, że Feliks Doliniak odgradza jej myśl od Antoniego i męczy jej sny, dręczyła ją coraz wyraźniej. Doniedawna udreka ta prześladowała Genię najdotkliwiej, gdy była w domu, a ustępowała względnej pogodzie na ulicy, a zwłaszcza w pracowni Szczerbińskiego. Pewnego wszakże dnia, gdy szła ulicą ku domowi ogarnęło ją dawno nie zaznane przygnębienie. Przeczuwała, że



coś takiego zajdzie, co znowu ją złamie, znowu zdruzgotce. Nie spodziewała się jednak takiego zaskoczenia, jakie ją spotkało, nim zdążyła wejść do bramy swej kamienicy. Przed bramą stali Doliniakowie i rozmawiali z Kawczyńskim.

Genia zauważyła ich z oddali. Mrowie przeleciało po jej plecach; uczuła bezwład w kolanach. Całą ciłą woli zebrała się w sobie; nie można było nie iść dalej; spostrzegli ją; spostrzegli też oczywiście jej zachowanie; i to było okropne.

Zbliżyła się z uczuciem popełnionej winy. Dlaczego? co uczyniła?... nic! nic!... a jednak!

Że zdradzała w myśli? nawet nie to przecie! nie zdradzała! nawet w myśli nie oddała się Antoniemu.

Broniła się w sobie rozpaczliwie a przestrzeń między nią a tamtymi zmniejszała się za każdym jej krokiem, i każdy jej brok przybliżyć się zdawał jej zagładę.

Takiego wstrząsu nie zaznała Genia jeszcze nigdy, nawet wtedy, gdy uciekała przed własnym ojcem, ani wtedy, gdy ją kopnięciem w brzuch sponiewierał mąż, zabijając dziecko, które miała urodzić. A teraz czemu? przecie nic się nie stało, nic nie zaszło, co usprawiedliwiałoby tę okropną jej trwozę!

Och stało się, stało! a stało się w jej duszy! Genia czuła, że w miarę zbliżania się do Dolińskich i Kawczyńskiego, wszystkich wiadomych wrogów, wśród których jest jej mąż, bladeścią wielką powleka się jej twarz, czuła, że wargi jej drżeć zaczynają. I już też coraz to mniej wyraźniej widziała co przed

nią i co się przybliża. Wiedziała to tylko, że wielkie zło jest tuż, tuż, a ona doń idzie na wprost.

— A jesteś więc, Geńko! — usłyszała głos męża, i nie wiedziała co odpowiedzieć i jak się przywitać; a obecność tamtych była dla niej nie do zniesienia. Zdawało się jej, że mówi coś, jakby: — nareszcie, Felku, wróciłeś, nareszcie, jak się masz...

Wtedy poczuła, że ramię jego ją objęło w sposób władczy a rubaszny. Z boku posłyszała chrypliwy głos Kawczyńskiego, potem Jędrka; im odpowiedział coś Felek i pociągnął ją, jako swoją własność ku domowi.

Genia doznała uczucia, jakoby niebezpieczeństwo minęło; drżała jednak na całym ciele; wstrząs był nagły i zbyt niewytłomaczony, a jednak prawdziwy i nie mógł być inny. Miał swój sens, lecz o tym Genia teraz myśleć nie była zdolna.

Do sieni swego mieszkania wchodziła już nieco opanowana, jakkolwiek nie bardzo zdawała sobie sprawę, co mąż, trzymający ją mocno za ramię, do niej mówił. Gdy przekręcała klucz w zamku, zauważyła jakoweś toboły i skrzynki leżące w sieni pod ścianą, udała, że ich nie widzi. Weszli do mieszkania. Felek rozejrzał się, jął się zastanawiać, poczym otworzył drzwi do sieni szeroko i zaczął kolejno wnosić toboły, i skrzynki, a wszystkie wsuwać głęboko pod łóżko, możliwie najdalej, pod ścianę. Jedną małą skrzynkę zostawił na stole. Genia patrzała na te czynności męża z niespokojnym zdziwieniem. On milczał i ona milczała. Udała zgoła obojętną.

Felek wreszcie zdjął czapkę z głowy i zrzucił palto. Zabrał do ściągania zabłoconych butów. Tymczasem Genia zapaliła lampę, poczym zaczęła krzątać się po kuchni; trzeba było przecie coś robić, to ułatwiało sytuację.

— Przygotuj herbatę! — zawołał Felek z pokoju, a ona odpowiedziała:

— Już nastawiłam, będzie za chwilę... A toś Felku nie dawał długo znać o sobie!

— Tak, nie mogłem.

— Dobrze, że wreszcie przyjechałeś.

— Tak, dobrze, ale nie na długo.

Milczenie.

Odpowiedź męża, jakoby przyniosła Geni ulgę. Po chwili podała herbatę. Felek wyciągnął z kieszeni kielbasę zawiniętą w gazetę; dobył noża i rzekł:

— Chleb masz?

— Jest jeszcze kawałek.

Podawał. Jadł.

Obejrzał się w stronę stołu, chwycił skrzynkę, nożem podważył wieko. Zajrzał do środka.

— Jest! — mruknął. — Daj - no kieliszek.

— Nie mamy kieliszka — zauważyła — chcesz szklanke?

— Nie ma w domu kieliszka? ładne to twoje gospodarstwo! — no to daj szklanke.

Podawał, wypił tęgi haust wódki. Odkrząknął i zagryzł kielbasą.

— Są zmiany, Geńko, rozumiesz?



— Jakie zmiany? — spytała siadając pod oknem na krześle.

Papatrzył badawczo w oczy żony:

— Powiem ci wszystko. Trzeba, żebyś wiedziała, ale to ci powiadam, jeżeli puścisz parę z ust to popamiętasz do śmierci! A masz o wszystkim wiedzieć, masz być w to wciągnięta, żebyś nie mogła zdradzić...

Genia czuła, że drętwieje. Siłła się na spokój. Słuchała dalszych słów męża, ale ich nie słyszała. Czuła tylko zbliżające się zło, czuła przestępstwo, może zbrodnię nawet. Nie bardzo wiedziała, co Felek mówił w tej chwili, gdy nagle urwał, wstał i zbliżył się do niej. Wielkimi oczami patrzyła na niego w oczekiwaniu czegoś bardzo złego, czegoś gwałtownego, ale nic się jej nie stało.

Felek chwycił tylko mocno żonę za rękę i pociągnął na środek pokoju. Obejrzał się uważnie. Zbliżył się do okna; wyjrzał przez szyby. Na dworze było już ciemno. Zasuwał zasłonę tak, aby nigdzie się nie odchyliła. Nikt nie ma podglądać z podwórza. Następnie wyszedł do sieni, poświecił elektryczną lampką, obejrzał się uważnie, zamknął drzwi od podwórza i wrócił. Przez ten czas Genia pracowała w myśli; wysiłek był wielki, myśli błyskawiczne. W razie potrzeby zwiedzie męża. Jest w jego mocy jeszcze. Nie wiadomo, co jej powie, nie wiadomo w co ją wciąga. Postąpi tak, jak będzie trzeba, by go zmylić, a może inna próba będzie lepsza? Spróbuje! Spróbuje tego i tego co będzie właśnie wskazane.

Myśli te dały Geni świadomość odporu, poczuła się

pewna siebie. Czowała jak ma postępować w tej chwili, cokolwiek by jej wyjawiał, do czegokolwiek by ją namawiał.

Felek upewniwszy się, że nikt ich nie podsłucha, odezwał się wreszcie:

— Słuchaj, Geńko! Powiem ci wszystko, ale wiedz, co powiedziałem: zakatrupię na śmierć, jeżeli zdradzisz!...

— Nie mów! — krzyknęła Genia z taką rozpaczą, jakby jej los zależał od tego czy mąż zamilknie, lub nie. — Nic mi nie mów! nie chcę o niczym wiedzieć! Słyszysz?

Felek spojrział na żonę nienawistnie:

— Cholero zatracona! więc ty tak? więc mo grozisz?

— Nie grożę... a może tak! może grożę... Nie chcę o niczym wiedzieć, bo nie chcę cię zdradzić, nie chcę cię wydać, rozumiesz?

Okropne spojrzenie męża czuła utkwiona w siebie, aż lękała się podnieść nań oczy. Milczał; milczał i patrzył; może ważył w duszy coś bardzo złego, co z nią miał uczynić? Genia opanowała się. Spróbuje jeszcze inaczej przemówić:

— Słuchaj, Felku! Nie wiem i nie chcę wiedzieć, co mi chcesz powiedzieć, ani nie chcę wiedzieć, co tam schowałeś pod łóżkiem. Zabierz to! zabierz to wszystko czym prędzej. Nic nie mów i zabierz, rozumiesz?

— Psiakrew! nie mów tyle, babo! — huknął Felek wściekły. — Będzie tak, jak chcę!

— Rób sobie co chcesz! — walczyła Genia ostat-

kiem sił — rób co chesz, ale nie zmuszaj i mnie do tego!

— Właśnie, że zmuszę!

— Jak mnie zmusisz? Możesz mnie bić, możesz za-  
bić, a jak nie zechcę, to nie zmusisz! Felku! czuję,  
że jesteś na złej drodze i mnie na nią chcesz wcią-  
gnąć. To twoje niieszczęście i moje, Felku!

On milczał. Stał ze skrzywioną twarzą, a mrugał  
oczami. Ważył coś w sobie. Genią owładnął lęk. Po-  
czuła zbliżające się niieszczęście. Spojrzała na męża  
raz jeszcze i nagle odezwała się głosem zupełnie  
zmienionym:

— Posłuchaj, Felku! Nie złość się na mnie, ja  
cię nie zdradzę. Ale pomyśl tylko ,czyby nie było le-  
piej, robić to inaczej. Ja się nie nadaję, ja tego nie  
umiem, ja się boję, ja nie chcę!... Słuchaj, słu-  
chaj Felku, — jęła błagać. — Ty pewnie sam wiesz,  
że ja ci niepotrzebna. POCO ty masz się złościć na  
mnie, ja ci się usunę z drogi, my do siebie nie „pa-  
sujemy“, Felku. Słuchaj! puść mnie, będziesz wolny!

Genia pilnie patrzyła na męża, aby wywniosko-  
wać, jak to przyjął. Wydało jej się, że zaskoczyła  
go, wszystkiego się spodziewał, ale nie tego właśnie.  
Może i tak było, bo milczał przez chwilę. Jednak  
omyliła się.

— Tak byś chciała, gołąbeczko? — odezwał się  
szyderczo. — Nie! tak nie będzie. Jesteś mi potrzeb-  
na. Nauczysz się wszystkiego. Ja tu muszę mieć mój  
dom, a być gdzieindziej. A jak mam swój dom, to



ktoś musi tu być, a może być tylko żona, tak już jest postanowione i tak będzie.

Czuła Genia, że już tylko chyba podstępem coś zdziałać zdoła. Byle ta noc minęła! byle ta noc! a potem coś postanowi. Co? — tego nie wiedziała, lecz wiedziała, że teraz podstęp jest konieczny. Gdy więc zapytał ostro, czy będzie go słuchać, czy nie wyda? — odrzekła zmienionym głosem:

— Mów, nie wydam cię.

On ją się wpatrywać w żonę, aby wypatrzeć, czy mówi prawdę. Ta prawda wydała mu się w tej chwili bardzo potrzebna, może dlatego żonie uwierzył. Przybliżył się, chwycił ją za obie ręce:

— Nie wydasz mnie? — pytał natarczywym szeptem — nie zdradzisz?

— Nie — odrzekła sucho.

Wtedy przyciągnął ją ku sobie i przygarnął, jakoby na znak sojuszu:

— Więc ci wierzę; jesteś moją żoną, przysięgałaś! Gdybyś mnie zgubiła, to siebie też. Masz wiedzieć o wszystkim!

Wypuścił ją z objęcia i usiadł ciężko na łóżku. Genia usiadła na krześle za stołem. Felek podjął na nowo, obejrzawszy się wprzód ostrożnie.

— Słuchaj! wszystko co tam jest pod łóżkiem ma leżeć nietknięte. Nic nie masz otwierać, ani tam zaglądać! Nikt tego widzieć nie ma, nikt o tym nie ma wiedzieć.

Rozumiesz? Ty będziesz pilnować tych pak; tam

cały mój majątek, pamiętaj! duży pieniądz, mój i twój! Rozumiesz?

W odpowiedzi tylko wargi Geni drgnęły, a Felek zwierzał się dalej:

— Słuchaj! ty mi źle mówiłaś o ojcu! Zięba to setny chłop. On wie jak się robi pieniądze, a my u niego pracujemy, a płaci dobrze.

To co wszystko tam pod łóżkiem, to nie od niego, o tym nawet nie wie: On tylko gotówką płaci, grubą gotówką, ale to co tam jest, to jeszcze grubsze.

— A skąd to wszystko pochodzi?— spytała Genia jeszcze niepewnym, lecz już opanowanym głosem.

— Z naszej roboty, ty głupia!

— Jakiej?

Spojrzał na żonę i skinął:

— Choć-no tu bliżej... tak... O, to tam pod łóżkiem kradzione, a to ca mam w gotówce, to rzetelnie zarobione. Zięba płacił!

Masz wiedzieć, co kradzione, a co nie. Chcę przed tobą być bezpieczny. A żebyś się nie pokusiła zdradzić. to ci powiem: jest tam coś, co by ciebie zdradziło i gdzieindziej też jest, co ciebie, by zdradziło, nie tu a gdzie indziej, żebyś nie mogła ubiedz, zamienić, zatrzeć, rozumiesz? O tym pamiętaj. Zdradzisz?

— Nie zdradzę, Felku!... Więc to tu, to znaczy kradzione, a ojciec za co wam płaci?

— Tam, to ciężka i ryzykowna robota, dlatego rentowna.

Felek wypił pełną szklanekę wódki, odchrząknął, zapalił papierosa i ciągnął dalej!

— Robimy wyprawy po konie.

— Wyprawy po konie? — zdziwiła się Genia. — Jakie wyprawy?

— Nocne. To cała organizacja. Ale tobie nie do tego, tyle tylko, żebyś też coś miała, to masz.

Rzucił ruchem niedbałym na stół banknot stułotowy.

— Nie wezmę, Felku! — rzekła pół prosząc, pół grożąc.

— Masz wziąć, psiakrew! Ani mi się sprzeciwisz! rozumiesz?

Wypił pół szklanki wódki i prawił dalej:

— Już my tam wszystko mamy dobrze obmyślane. Tak ma być! niczego nie zmieniać!

Ty masz swój plan, a ja swój. Ja chcę, że ma być mój plan, bo z tego forsa! gruba forsa! ty nic nie wymyślisz swym babskim rozumem.

— Dobrze Felku! Będzie jak chcesz, ale ja powiadam tak: ja ci powiem, co ja, a ty powiesz, co ty. Może uradzimy co najlepszego! Ty powiadasz, że mam z wami robić, co chcecie, a ja powiadam, że ja się nie nadaję. A jak wam przeszkadzam, to chcę sobie iść, nie chcę przeszkadzać. Namyśl się, czy ci nie będzie wygodniej bezemnie. A jak się namyślisz, to powiedz, i będzie jak chcesz.

Felek nie bardzo pojmował, co Genia do niego mówi. W głowie mu huczało. Wódka i wyznanie.

Nie był nieprzytomny, jednak nad myślami własnymi nie panował. Patrzył wybałuszonymi oczami na żonę i nie wiedział, co jej odpowiedzieć. Siedział



zgarbiony na łóżku, ocierał stopę o stopę, a był w skarpetkach.

Geni zdawało się, że jeżeli kiedy, to w tej chwili uzyska jego zgodę na rozłączenie. Przystąpiła więc i pogładziła mężowi czuprynę:

— Zgódź się, Felku, nie rób trudności, będzie ci lepiej — i mnie też!

— A co ty głupia chcesz odemnie? — jął bełkotać. Czy robię ci trudności? Tyle czasu sama byłaś a czym ci jakie trudności robił? Wyglądasz okrągło, jak bułeczka. Kto to cię tak karmił, co? A niech tam! co mi do tego!

— Co ty wygadujesz, Felku?! — zawołała Genia, cofając się gwałtownie.

— Co ty mi będziesz gadać! Ja ci za złe nie mam. Tyle czasu, to czy by która baba wytrzymała bez chłopca? A jak nie, to, no to z czego żyłaś tyle czasu, co? Musiałaś żyć, to ja ci też nic nie mówię, rób sobie co chcesz, ino lepiej nie tu, w domu, bo jak ja przyjadę, to chcę cię mieć dla siebie, choć tę jedną noc, albo dwie, hi, hi!...

— Upiłeś się, Felku, połóż się spać i tyle. Już wcale nie wiem, co mówiłeś naprawdę, a co po pijanemu!

— Wszystko mówiłem naprawdę. Żebyś wiedziała, to zobacz pod łóżko. Znajdziesz tam, powiadam ci, złote kawałki, co warte tyle forsy, że wcale byś się nie doliczyła! Są kielichy i jest mon... monstrancja we trzech kawałach, i są dwa pierścienie i jakiś złoty łańcuch. Jędrak będzie tu przychodził i zabierał po kawałku; jemu dasz, a nikomu więcej! A ty

sobie rób co chcesz, ino nie tutaj. Tu nie ma żaden z nich przychodzić, bo by co podpatrzył; możesz do nich łązić, jak mnie nie ma, a tu nikt, pamiętaj. Tutaj, to ja ciebie chcę mieć!

W tej chwili Felek podniósł się ociężale, poczym gwałtownie chwycił Genię:

— Zdejm te kiecki!—krzyknął—słyszysz? Rozbieraj się... No! czy nie słyszysz? I trzasnął ciężką dłońią w plecy Geni, aż jęknęła, odskoczywszy. Chwycił ją ponownie i jął zdzierać z niej suknię. Wyrwała się z jego rąk, a strzępy sukni i bielizny zwiślały z jej półobnażonego ciała.

— Bydlę! — krzyknęła Genia.

Wtedy przyskoczył do niej Felek ponownie, zdarł resztę koszuli i zaśmiał się szeroko, brutalnie na widok nagiej żony o zwisających tylko na nogach pończochach. Jął się szamotać z Genią, cisnął ją na łóżko, poczym bił pięściami, czując rozkosz znęcania się nad obezwładnioną ofiarą. Bić przestał, gdy zemdląła. Wtedy uczynił użytek z swych praw małżeńskich i legł obok ciała żony nieprzytomny.

— — —

Późna była już noc, gdy Genia otworzyła oczy. Poczula ostry zapach śwędzającej się nafty. Lampa dogasała, w pokoju był półmrok. Genia zerwała się, odtrąciwszy z siebie kolano Felka. Potrząsnęła nim przytym mocno; on jednak nie zbudził się. Stanąwszy na zimnej podłodze była już przytomna. Przypomniała sobie całe zajście. Spiesznie dobyła z komody koszulę, zarzuciła na siebie, poczym suknię na

pó! rozdartą. Włosy w największym nieładzie, lecz nie dbała o to. Zgasiła lampę, wyniosła do sionki, aby tam się wykopciła do reszty. Wróciwszy, otworzyła szeroko okno. W ciemności odszukała wełnianą chustę, otuliła się i siadła w kuchni na stołku, próbując zebrać myśli.

— To już ostatnia z nim noc! — pomyślała. — Ostatnia, cokolwiek się stanie!

Genia drżała na całym ciele, nie wiadomo, czy z chłodu, panującego w mieszkaniu, czy z dreszczu od wewnątrz idącego. Długo tak siedziała nie mogąc myśleć nawet, aż wreszcie dobył się z jej piersi cichy, stłumiony szloch serdecznego płaczu.

Lzy otarła i patrzyła długo w błądy, ledwie rysujący się w ciemności nocy, kwadrat okna, pośrodku znaczony cieniem w kształcie krzyża. Cisza była wielka, z przyległego pokoju dochodził oddech porażonego w pijanym śnie Feliksa Doliniaka. Gdzieś za oknem wy! przeciągle pies.

Geni przyszła myśl, aby prędko ubrać się i uciec. Gdzie ucieknie? — Do Joasi!

Tak! tak!...

Potem uprzytomniła sobie jak to uczynić? Iść o tej porze przez długie, bezludne, ciemne ulice, aż na Marszałkowską? a potem: dzwonić na stróża, budzić Szczerbińskiego, Joasię, wszcząć alarm, opowiadać co zaszło... i co dalej? i co dalej?... Nie, nie!...

A zresztą rano on się zbudzi, otrzeźwieje. Nie zostanie jej, nie wiadomo co zrobi! Cokolwiek by zro-



bił, nie trzeba budzić jego czujności. Nie! tymczasem musi wytrwać do końca!

Mówił przecie, że zaraz odjedzie. Genia wytrwa do końca, a potem potem dopiero zastanowi się, co czynić.

Straszliwe zmęczenie opadło młodą, znękaną kobietę, zmęczenie, lecz nie sen.

Tam on śpi, włamywacz, złodziej, koniokrad! Pod łóżkiem zrabowane gdzieś w którymś kościele złote monstrancje, kielichy.

Ona, Genia Ziębianka stróżką ma być tych zrabowanych rzeczy! Obiecała nie zdradzić, a on zapłacił jej za to sto złotych, co tam leżą na stole!

W tej chwili uczuła Genia ból od pobicia. Plecy, uda, ramiona i piersi! Boże! Boże! Nie ból jej w tej chwili wszakże dokuczał, nie sponiewieranie i zbeszczeszczenie, ale to złoto pod łóżkiem, to złoto! i ta obecność pijanego Doliniaka, co tam śpi w jej łóżku. Złoto i jego obecność!...

Rama okienna ją rysować się nieco wyraźniej i cień krzyża, za którym błysnęło światelko w oknie Kawczyńskich.

Zło czaiło się w tej ciszy, w tej bladej ciemności znaczonej cieniem krzyża okiennego, ciemności ukłutej światelkiem w oknie przeciwnym. Czaiło się zło i uparcie wdzierało się pod powieki zbolałych z płaczu oczu młodej kobiety. Gdzieś za oknem był pies.

## XXV.

### *Ponura rzeczywistość*

Jeszcze jedna godzina męki, a potem opuścił mieszkanie. Genia patrzyła przez okno za odchodzącym mężem i była przeświadczona, że widzi go ostatni raz. Poszedł. Westchnęła głęboko i próbowała opanować krtań, która wciąż jeszcze kurczyła się, gotowa do szlochu. Genia otrząsnęła się w sobie i uczyniła gwałtowny ruch jakowejś decyzji. Mimo to nie powzięła żadnej. Zdała sobie tylko z tego sprawę, że copędzej musi pospieszyć do Joasi, zasięgnąć rady u niej i u Szczerbińskiego. Powie całą prawdę, wstydzić się nie będzie, bo jakże poradzić mają, nie znając całej, nagiej prawdy?

Przez chwilę nie mogła Genia zdecydować się na przejście z kuchni do pokoju. Tam leżały pod łóżkiem zrabowane kielichy i monstrancja. Ona teraz sama!

Przestąpiła próg z szacunkiem jakby do kościoła wchodziła, albo do kaplicy.

Spod łóżka zdała się wyzierać świętość, świętość sponiewierania. Genia chciała uklęknąć.

Czego nie mógł dokonać w duszy proboszcz, ani żaden inny ksiądz, tego dokonały na chwilę te połamane tam pod łóżkiem złote przedmioty kościelne. Nie, że są złote, nie że kościelne, ale że sponiewierane!

Lecz nie było czasu na pobożne rozpamiętywania. Genia ubierała się pospiesznie i sposobila się do wyjścia. Lecz, gdy już gotowa była i kapelusz nakładała na głowę, zastukano silnie do drzwi. Otworzyła. Wszedł, nie zdejmując czapki z głowy, Jędrrek.

Znowu coś złego! — pomyślała Genia, ale już się nie bała, na lęk już nie było miejsca w jej wnętrzu.

Rzekł Jędrrek bez ogródki, zamykając starannie drzwi za sobą:

— Chciałaś wyjść, bratowo! Dobrze, że zdążyłem. Musisz wstrzymać się na chwilę... Tak...

— Czego chcesz? — spytała Genia obojętnie.

— Słuchaj — rzekł przyciszonym zrazu głosem. — Wiesz o wszystkim. Wiedzieć masz i musisz. Teraz nareszcie do nas należysz. Wszystko co robimy, to ty też. Jak granda, to granda na całego! Jakbyś zdradziła, to siebie też, nie tylko nas! Nie będziesz taka głupia; a gdyby cię co podkuśiło, to wiedz, że jest nas dwudziestu dwóch. Wszystkich nie wyłapią nigdy, zawsze któryś zostanie, coby się z tobą porachował. Strzeż się, bo przyplącałabyś gardłem!



Genia bez lęku patrzyła na szwagra; rzekła wreszcie spokojnie:

— Wy, wszyscy głupi jesteście i tyle! Czegóż tu przyszedł? Co chcesz ode mnie? Ja muszę wyjść na miasto.

— Gdzie idziesz?

— A tobie co do tego?

— Chcę wiedzieć, czy nie pójdziesz na policję?

— Och Jędrku, nie myślałem, że jesteś, aż tak głupi!

Swobodny głos Geni przekonał Jędrka. Uwierzył, że bratowa nie jest tak głupia, by wplątać się sama w kryminał. Spojrzał na nią, jako na wtajemniczoną i rzekł:

— Przyszedłem upewnić się, że wszystko jest w porządku, i ty, i to tam pod łóżkiem.

— W porządku! w porządku! — powtarzała Genia, tylko patrz: tu zostawił dla ciebie Felek sto złotych, weź je!

— Dla mnie? Nic mi nie mówił, a co dopiero z nim się pożegnałem...

— Zapomniał, weź je!

Jędrak sięgnął do stołu i schował banknot do kieszeni.

— Geńko, bądź w domu o piątej, pod wieczór. Przyjdę tu i coś stamtąd zabiorę. Trzeba potrosze usuwać; tu te rzeczy długo być nie mogą; kupca mam. Pamiętaj bądź o piątej.

Spiesznie wyszedł. Odczekała, aż się oddali; poczym starannie zamknęła na klucz mieszkanie

i szybkim krokiem wyszła na ulicę. Spieszyła się do tego stopnia, że postanowiła pojechać autobusem.

Wysiadła na placu Zbawiciela i szła pospiesznie do pracowni Szczerbińskiego. O tak wczesnej godzinie nie zjawiała się tam, to też Joasia zobaczywszy ją, domyśliła się czegoś złego, czegoś niezwykłego.

Genia chciała wytłomaczyć tak wczesne swoje przyjście, nie znajdowała zrazu słów i ledwie mówić zaczęła, chwycił ją płacz przejmujący, rzuciła się w objęcia Joasi. Przyjaciółka zrozumiała, choć szczegółów nie знаła jeszcze.

Szczerbiński, który w chwili zjawienia się Geni, ubierał się w łazience, wszedł do pracowni, gdy Genia mówiła już spokojnie. Zauważył od pierwszego spojrzenia zaczerwienione, roziskrzzone od łez oczy Geni i usłyszał słowa proste, pełne skargi:

— Joasiu! ja już tam nie wrócę, ja tam być nie mogę.

— Posłuchaj, Fred, — zwróciła się Joasia do wchodzącego rzeźbiarza, który ją się witać troskliwie z Genią. — Posłuchaj, okropne rzeczy przeżyła ta kobieta ostatniej nocy.

— Co takiego, pani Geniu?

Joasia widząc, że Genia ledwie opanowuje skurcz krtani i mówić nie może, przygarnęła ją do siebie i w krótkich słowach opowiedziała przeżycia Geni tej nocy, zwracając się co chwile, do niej z zapytaniem: tak było, prawda? — A Genia utkwivszy

wzrok w jeden punkt podłogi, przytakiwała tylko głową.

Szczerbiński słuchał uważnie ze ściągniętymi brwiami.

Gdy Joasia opowiadanie skończyła, odezwał się rzeźbiarz:

— Okropne! Mąż pani okazuje się poprostu bandytą.

— Tak!... — przytwardziła Genia głucho i dodała po chwili:

— To jeszcze nie wszystko. Gdy już chciałam wyjść z domu, przyszedł nagle brat męża. Wiedział o wszystkim, co zaszło tej nocy; groził mi, że gardłem przypłacę, jeżeli ich wydam i zapowiedział, bym była dzisiaj wieczorem o piątej w domu, bo on przyjdzie i część tego złota zabierze i tak będzie co dzień wynosił, bo kupca ma.

— Hm — mruknął Szczerbiński, — to cała banda.

— Tak, mój ojciec, trzech Dolińscy, to jest mój mąż i dwaj jego bracia. Ich matka wie o wszystkim... Mają innych jeszcze współników, jest ich dwudziestu dwóch.

— Co? dwudziestu dwóch?! — zawołała Joasia, a Szczerbiński zapytał żywo:

— Skąd to pani wie?

— Jędrak powiedział.

— Kto jest Jędrak?

— Brat męża, ten właśnie, co dziś był u mnie.

— Aha!...



Zapanowała chwila milczenia. Szczerbiński coś ważył w głowie, wreszcie wstał i rzekł stanowczo:

— Sytuacja jest jasna. Teraz, o to głównie chodzi, aby pani natychmiast, bez stracenia chwili, wniosła doniesienie na policji.

Genia zerwała się:

— Co? ja? — —

— Tak, pani! właśnie pani!

— To niemożliwe!

— To konieczne.

— Ja? ja?... Ja mam oskarżyć męża? ojca?... Boże! to takie wstrętne! takie okropne!

— Niechże się pani uspokoi, — mówił łagodnie Szczerbiński. — Takich zbrodniarzy nie ma co żałować. Jeżeli pani ich nie oskarży, będzie pani zaaresztowana razem z nimi.

— Ja? za co?

— Za nic! ale władze śledcze nie wiedzą, że pani nic nie ma z tym wspólnego, że pani jest żoną tego włamywacza, że w pani mieszkaniu przechowano zrabowane przedmioty kościelne. Zanim wyjaśni się, że pani jest niewinna, mogą panią trzymać szereg miesięcy w więzieniu, może też pani znaleźć się na ławie oskarżonych, bo nikt nie uwierzy, że pani nie wiedziała o schowanym łupie. Świadców pani nie ma na dowód całego szeregu faktów, a posądzenie rozciągnięte będzie także na panią. A niech oni bronią się zrzęcznie i niechby choć ze złości obciążyli panią, to nawet mogłaby pani być zasądzona, jeżeli nie będzie się pani umiała bronić.

Genia w tej chwili dopiero zrozumiała okropną sytuację, w której się znalazła bez żadnej swej winy. Słowa Szczerbińskiego przekonały ją, bo przecie przypominała jej się sprawa mniej potworna Antoniego Terlika... Tak... zanim prawda się wykaże, mogłaby tak, jak Terlik siedzieć w śledztwie tygodniami lub miesiącami!

— Nie można dopuścić, Geniu — rzekła z rozwagą Joasia, — abyś była posądzona nie tylko o współudział, ale nawet o to, że o czymśkolwiek wiedziałaś.

— Bo też właściwie dopiero tej nocy dowiedziałam się o wszystkim — jęła przekonywać Genia.

— My to wiemy — odparł Szczerbiński, — ale władze śledcze tego nie wiedzą. Sprawa jest prosta: jeżeli pani sama oskarży ich, odsunie pani wszelkie podejrzenia od siebie.

— Ależ panie! ależ Joasiu! pomyślcie! To okropne! Ja nie wniosę doniesienia! ja się na to nie zdobędę!

— Ja to zrobię, — rzekł sucho, a stanowczo Szczerbiński. — Ja pani ułatwię, a pani rzeczą będzie tylko potem nie zaprzeczyć, a potwierdzić moje doniesienie. Idę zaraz na posterunek policji. Jaki to rewir? Czerniakowska, aha! dobrze. — Jął się spობić do wyjścia. Genia zawołała:

— Boże kochany! czy to konieczne? Niech pan jeszcze poczeka, namyślimy się!...

— Tu nie ma się co namyślać. Nie można stracić ani pięciu minut! Chodzi o to, aby pani pierwsza doniosła, a nie dopiero była włączona do śledztwa.

Ani słowa! idę i przyjdę z wiadomością co robić dalej.

Znikł za drzwiami.

Zostały same.

Genia zdała się nasłuchiwać, jakby z każdego z oddalających się w korytarzu kroków rzeźbiarza rozpoznać chciała to co się wokół niej dzieje a co niedługo ześrodkuje się w jednym, decydującym fakcie, który rozstrzygnie o jej losie.

Gdy Joasia po pewnej chwili spostrzegła wyraźne wstrząsy ciała Geni, spojrzała na nią z współczuciem i rzekła:

— Czy nie chciałabyś się położyć na chwilę?

— Och tak! tu na kanapie; na chwilę; ale ty zostaniesz przy mnie, tak?

— Dobrze. Dam ci bromu; to uspokoi twe nerwy. Zrzuc sukienkę, przykryję cię pledem.

Joasia poszła do przyległego pokoju po brom; tymczasem Genia rozebrała się na pół. Po chwili zażyła brom i położyła się. Gdy ją Joasia przykrywała pledem, zauważyła sińce na plecach i ramionach:

— Cóż to, na miłość boską?

— To on mnie tak bił — odpowiedziała Genia prawie obojętnym głosem.

— Jezus, Maria!

— To nic! — westchnęła Genia. — To nie jest najgorsze.

Joasi przyszło coś nowego na myśl; ożywiła się;

— Wiesz co? te sińce będą świadectwem. Pamiętaj, pokaż je!



— Czy tak?

— No pewnie!

— Jakie to wszystko okropne! — westchnęła Genia.

Umilkły. Joasia wzięła się do przerysowywania w powiększeniu na pokratkowanym papierze jako-wejś ryciny. Milczała w nadziei, że, że Genia zaśnie pod wpływem bromu. Genia jednak leżała na wznak z półotwartymi oczami.

Po dłuższej chwili brom począł widocznie działać. Myśli Geni jeły się jakoby porządkować. Zdawało jej się, że leżą poukładane na stole, a ona do nich podchodzi obojętna lecz uważna, każdej się przypatruje, każdą kolejno dotyka, przekłada niektóre, zmieniając ich kolejność. Wszystkie one miękkie, wiotkie a dziwnie posłuszne. żadnej sprzeczności, żadnej zawilości. Gdyby tak teraz miała odpowiadać na pytania, to niczego by nie zmyliła; wszystko takie jasne! A jednak nie to jest najważniejsze, o co by ją pytano, lecz to, co ona ma począć z sobą, jak ułożyć swe życie, aby odciąć się od dotychczasowego? To jest ważne, a na to nie umiała sobie odpowiedzieć.

Co teraz? — dźwięczało w jej uszach — co teraz? I zdawało jej się, że odpowiedź znajdzie potem, a teraz spać, spać!...

Joasia posłyszała głęboki oddech śpiącej. Spojrzała na nią z zadowoleniem i współczuciem. Gdy oczy jej spoczęły na bladej, uśpionej twarzy Geni, nie mogła ich oderwać od tych tak pięknie wyrzeźbio-

nych rysów. Fred powinien wymodelować tę twarz! Akt to co innego; przy akcie twarz znika, dominuje budowa ciała, ruch.

Portret! biust!... namówi go!

I taka kobieta rzucona od urodzenia na śmietniko życia! taką kobietę posiada brutal, prostak, cham! Nie wie nawet co posiada. Trzeba z tym skończyć!...

Po upływie godziny Genia otworzyła oczy. Dość długo patrzyła w sufit, jakby nie zdając sobie sprawy, gdzie jest, co było i co ją jeszcze czeka. Nagle odwróciła głowę, i spojrzała w przestrzeń pracowni, po czym zerwała się i usiadła na tapczanie, rozglądając się dokoła; a cień cichego przerażenia i smutku przesuwał się po jej bladej twarzy.

— Spałaś? — zagadnęła łagodnie Joasia.

— Och! czemu się znów obudziłam? — westchnęła Genia; opadła na poduszkę. Joasia siadła na krawędzi tapczana i jęła głaskać obnażone ramię Geni:

— Nie myśl teraz o policji ani o tej szajce złodziei; już sądy z nimi się załatwią.

— Och! — jęknęła Genia; a Joasia mówiła dalej:

— Zastanówmy się, jak powinnaś się urządzić. Rozważyłam to sobie. Do domu wrócić nie możesz. Nie wiadomo na co mogłabyś tam być narażona. Musisz u nas zamieszkać zanim postanowisz coś na stałe.

Genia uśmiechnęła się smutnie a dziękczynnie; ścisnęła palce Joasi w swej dłoni:

— Tacyście dobrzy dla mnie oboje, że nie wiem

jak dziękować. Jakie to szczęście, że nie jestem tak zupełnie sama, że mogę się was radzić!

— O tym teraz nie myśl — rzekła Joasia, zabierając się do przyrządzania herbaty. — Wróci Fred z policji i powie, jak postępować dalej. Tymczasem zastanówmy się, co będzie dla ciebie najlepsze. Musisz zabrać stamtąd swoje rzeczy; ja uprzątnę dla ciebie nasz mały pokoik, który jest poprostu rupieciarnią Freda. Te graty dam na strych lub do piwnicy.

— Tyle kłopotu! — westchnęła Genia. — Jeszcze nie wiadomo, czy pan Szczerbiński się zgodzi.

— Już on się zgodzi.

— No i trzeba ułożyć się — ciągnęła Genia — jak to się liczyć, cały rachunek za pozowanie się zmieni... No i stołować się mam u was? jak to ma być? To niemożliwe, Joasiu!

— Wszystko uradzimy z Fredem. Tymczasem tak będzie, a potem według tego, jak sobie życie ułożysz. Uważam, że prócz sprawy przeciw tej bandzie złodzieji, gdzie będziesz świadczyć — musisz zaraz wnieść o separację z winy męża.

Genia otworzyła szeroko oczy i pytająco patrzyła na Joasię. O tym nigdy nie pomyślała jeszcze. Możliwość uwolnienia się od Felka wydała jej się w tej chwili zbawieniem... uwolnienia się od Felka, od wszystkich Doliniaków!...

Joasia wywodziła dalej:

— Gdy się uwolnisz, będziesz rozporządzać sobą



jak zechcesz. Aby wyjść ponownie za mąż, separacja nie wystarcza, lecz po co ci to?

— O nie! — zawołała Genia — już mam dość tego!

— Sama żyć nie będziesz, wiadomo — tłumaczyła Joasia — ale poco zaraz ślub?...

Genia zamyśliła się głęboko; Joasia też. Każda jednak dumiała inaczej. Genia troskała się w myśli o to, jak to będzie zaważać w domu Szczerbińskiego, i jak się urządzać, żeby mieć ich oboje w pobliżu, a jednak nie mieszkać u nich. Joasi myśli były zgoła inne. Poczwała, że w troskliwości o nieszczęśliwą Genię posunęła się może zbyt daleko, co może mieć w przyszłości złe następstwa. Fred do dzisiaj patrzy na Genię, jako na piękny model swej pracy, ale jak patrzeć będzie, gdy ją będzie miał w domu na stałe? Fred jest wrażliwy na dziewczęta, wiadomo. Ona, Joasia jest pięknie zbudowana, uroda twarzy jest też nie do pogardzenia, ale Geni piękność jest wyjątkowa. Zdawałoby się, że za dobre serce Genia nie odpłaci się zabraniami jej Freda. Tak być powinno; a jednak wiadomo, że gdy raz zagra nerw wzajemnego pociągu, chociażby nie miłości nawet, to wszystko inne bywa zdeptane i na to rady nie ma.

Inaczej więc trzeba sprawą pokierować; inaczej, póki czas! W tej chwili narzuciła się Joasi koncepcja:

Genia — Terlik. Tak! to jedyne wyjście. W tym kierunku działać będzie; tylko w tym kierunku!

Joasia uspokoiła się; przystąpiła wreszcie do dumającej Geni i ucałowała ją serdecznie.

## XXVI.

### *Nieuchwytność możliwości*

Dwie godziny upłynęły zanim Szczerbiński wrócił z posterunku policji. Wyjaśnił, że oskarżenie wniósł w imieniu chorej Genowefy z Ziębów Dolińskiej. Zaraz też wysłano tajnego na Czerniakowską z poleceniem obserwowania mieszkania Feliksa Dolińskiego. Na godzinę piątą po południu zarządzono obławę. Skoro oskarżycielka z powodu choroby na posterunku zjawić się nie może, będzie wysłany przodownik do mieszkania Szczerbińskiego przy ul. Marszałkowskiej celem sporządzenia dodatkowego protokołu.

Taka jest osnowa relacji Szczerbińskiego po jego powrocie z policji. Zapewnił Genię, że dla niej to jedyne wyjście, aby nie znalazła się wśród oskarżonych, lecz by była głównym świadkiem.

Takie przygwożdżenie sprawy wywarło na Genię wstrząsające wrażenie. A więc jest w pośrodku wielkiego skandalu. Nie wiedziała, czy dla niej tak jest lepiej, czy gorzej, ale wiedziała to jedno, że sama nie zdobyłaby się na odsłonięcie tajemnicy męża, ojca

i szwagrów; nie zdobyłaby się na to może z lęku przed mężem, może z odrazy przed wszczynaniem czegoś ważnego, czegoś publicznego i głośnego. Nie zdobyłaby się na ujawnienie przestępstwa, o które się otarła, które przez zamieszkało w jej domu.

Jedyną ulgą dla niej była odległa nadzieja uwolnienia się od męża i od jego rodziny.

Myśli Geni, które wybiegać zaczęły zbyt daleko, zawrócił Szczerbiński do momentu aktualnego, t. j. do jej zeznań, które złoży niebawem przodownikowi:

— Niech pani mówi wszystko co było, bez dobierania słów, szczerze i otwarcie. W ten sposób jasne będzie, że pani była od początku poza całym przestępstwem, a podkreślić trzeba, że o samym fakcie dowiedziała się pani dzisiaj dopiero, t. j. ostatniej nocy, że więc nie ukrywała pani tego ani chwili.

Następnie radzono, co z sobą ma począć Genia obecnie. Szczerbiński z zapalem wysunął to, co uprzednio mówiła Joasia, a o czym on nie wiedział, t. j. by Genia tymczasem zamieszkała z nimi.

Zapał Freda trochę zabolął Joasię, nie dała jednak tego poznać po sobie.

Wśród skupionego i serdecznego nastroju spożyto obiad. Krótco potem zjawił się przodownik. Do protokołu musiała Genia podać całe swe *curriculum vitae*. Wyjawiała wszystko poza zakusami ojca w stosunku do niej. Tego się wstydziła, tego nie wyjawiała; uważała zresztą to za nieistotne dla sprawy. Protokół był długi. Pod sam koniec przypomniała Joasia o siń-



cach na ciele Geni, a przodownik zdecydował, że będzie tu potrzebne świadectwo lekarskie.

Protokół był skończony; przodownik kazał go Geni podpisać po głośnym odczytaniu.

— Czy państwo wiedzą — rzekł wreszcie przodownik — że Jędrzej Doliński wraz z dozorcą domu Kawczyńskim już są pod kluczem?

— Aa! — wyrwało się z piersi Geni, a Szczerbiński rzekł:

— No to poszło szybko; a jak się to stało?

— Przyprawdzono ich na posterunek krótko przed moim wyjściem. Stało się tak, że Jędrzej Doliński nie czekał piątej godziny, widocznie pani nie dowierzał. Przyszedł w godzinę po rozciągnięciu nad tym domem obserwacji. Był zaś w zмовie z Kawczyńskim. Dobranymi kluczami dorwali się do pani mieszkania i poczęli kolejno wynosić tobołki i skrzynki do stróżówki; gdy tego dokonali, zostali zaaresztowani w stróżówce. Mieszkanie Dolińskich też jest strzeżone.

Genia z wrażenia trzęsła się na całym ciele.

Uspokoić się nie mogła długo po odejściu przodownika. Dopiero szklanka wina, którą ją poczęstował pod wieczór Szczerbiński, dodała jej otuchy i uspokoiła. Cały wieczór radzono.

— — —

Nazajutrz po śniadaniu wyszła Joasia po zakupy. Genia została sama z Szczerbińskim.

— Ani dzisiaj, ani jutro pracować nie będziemy —

rzekł dobrodusznie. — Po tym wszystkim musi pani nieco wypocząć.

Genia uśmiechnęła się:

— Nawet bym panu nie pokazała moich sińców!

— A prawda! Gdy Joasia wróci, pójdę po lekarza; przecież wystawić ma poświadczenie; każda rzecz musi u nas mieć stempel.

— Przecież ja mogłabym iść do lekarza; po co powiększać koszty.

— Nie, będzie pani przyjemniej załatwić to tutaj, tam musiałyby pani czekać w kolejce.

— Jaki pan dobry! Co ja bym zrobiła bez pana i bez Joasi!

— To są drobnostki — rzekł niedbale Szczerbiński — a teraz musimy się zastanowić jeszcze nad uwolnieniem pani od męża... Rozwód?... hm... to dłuższa procedura i kosztowna.

— Rozwodów nie ma w katolickim kościele — tłumaczyła Genia.

— To nazywa się unieważnieniem małżeństwa. Ale tu poleciłbym raczej separację, o ile pani nie wybiera się za mąż w przyszłości.

— Nie, nie! — zaśmiała się gorzko Genia — już mam dość tego na całe życie!

— Wierzę! to też separacja wystarczy; separacja na podstawie tych przestępstw, które będą udowodnione i na podstawie traktowania pani i zniszczenia płodu... tak!... Pomówię z adwokatem, który wskaże całą procedurę i określi jakie papiery będą

potrzebne... A tymczasem jak zrobimy z zlikwidowaniem pani mieszkania?

— A czy ja wiem?

— Pani chyba nie chciałyby tam wrócić?

— Och nie!

— Trzeba więc będzie zlikwidować mieszkanie i przenieść rzeczy z wiedzą policji — sędzę — a może i za zezwoleniem sędziego śledczego. Dowiem się. Po tym pójdę tam z panią i załatwimy co trzeba i przewieziemy pani chudobę.

Tak oto radzili długo; bo długo nie wracała Joasia, która nie głównie po zakupy poszła na miasto, lecz zgoła gdzie indziej... Uplanowała sobie bowiem przez noc, że pójdzie do pana Antoniego Terlika... Tak też uczyniła. I oto teraz siedzieli oboje na przeciw siebie przy stole w mieszkaniu Terlika i radzili nad losem Genowefy Ziębianki (Terlik uznawał tylko jej panięńskie nazwisko, które mile dźwięczało w jego uszach. Znał ją tylko Ziębianką i innej znać nie chciał).

Gdy Joasia obszernie i szczegółowo opisała przeżycia Geni i jej sytuację obecną, zauważyła na twarzy Terlika prawdziwe wzruszenie. Wtedy nie omieszkała słać urody Geni, jej taktu i szlachetności w obejściu. Terlik co chwilę przerywał i opowiadał ze swej strony niektóre szczegóły i wrażenia z czasu swego mieszkania w domu Ziębin.

Gdy Joasia nabrała przekonania, że w Terliku już jest grunt przygotowany do rozmowy szczegółowej i otwartej, odezwała się po namyśle:



— Jestem przekonana, że gdyby ją pan do siebie przygarnął, nie pożałowałby pan tego.

Terlik jakoby trochę się zmieszał; taką miał naturę. Spojrzał na Joasię pytająco:

— A czy ona mogłaby i chciałaby mieszkać ze mną?

— Jestem przekonana!

— Tak? A czy nie naraziłbym jej na komplikacje?

— Jakie?

— Przecież mąż... on nawet jeszcze nie schwytyany i nie zasądzony... zresztą całe życie siedzieć nie będzie w więzieniu, raz go wypuszczą, co potem?

— Dawno będzie wolna! Od czego separacja?

— Hm — tak — — — medytował Terlik. — Pomyślę o tym. Rzecz sama mi się uśmiecha, ale, czy ona zechce?...

— W tym moja głowa — zapewniała Joasia.

— Tylko proszę, niech pani nie forsuje i nie przynagla! Ja sam z nią to załatwię stopniowo, ostrożnie.

— Och jaki pan tchórzliwy, czy delikatny!

— Raczej to drugie, sędzę.

Dalsza rozmowa obracała się dokoła technicznego przeprowadzenia planu. Uradzono, że Genia jakiś czas mieszkać będzie u Joasi w pracowni Szczerbińskiego i w tym czasie Terlik nakłoni ją do wspólnego życia.

## XXVII.

*Zanim Pan Bóg wmiessa się w te sprawy*

Po upływie tygodnia Genia jechała autobusem „w swoje strony“ — tak sobie myślała...

Gdy niedawno zabierała skromne meble i rzeczy, likwidując z pomocą Szczerbińskiego mieszkanie przy Czerniakowskiej, myślała, że to już ostatni raz jest w tej okolicy. Stało się inaczej. Skończywszy przeprowadzkę i umieściwszy swe graty za dobrą opłatą w schowku podwórza przy Marszałkowskiej i spełniwszy wszystkie formalności „meldunkowe“, została teraz skierowana przez Szczerbińskiego do dawnego swego proboszcza po potrzebne do przeprowadzenia separacji dokumenty i świadectwa. Po nie właśnie jechała. Im bliżej była Czerniakowskiej, tym posępniejsze ogarniały ją myśli. Cała brutalność minionych przeżyć, cała ponurość obecnej sytuacji owładnęła świadomością młodej kobiety.

Gdy z autobusu wysiadła, zdecydowała pójść do księdza nie od strony dawnego swego mieszkania; nie chciała widzieć tej kamienicy, nie chciała spojrzeć

nawet na domek Doliniaków i lękała się spotkać kogokolwiek z dawnych znajomych.

Weszła wreszcie do domu proboszcza. Była to godzina parafialnych przyjęć. Trzy osoby czekały w przedsionku, Genia czwarta. Podczas wychodzenia z kancelarii interesantów i wchodzenia tych, którzy czekali, próbowała skupić się, aby krótko, urzędowo i stanowczo wyjawić księdzu cel swego przybycia.

W tej chwili przypomniała sobie bardzo wysoką, chudą postać proboszcza, twarz o zakrzywionym, szpiczastym nosie, oczy czarne, pełne ostrego, podejrzliwego spojrzenia. Przypomniała sobie, że wtedy, gdy ostatni raz tu była, gdy potem uciekała przez ulicę niewiadomo czemu, wtedy bała go się tym bardziej, że miał napomadowane czarne, trochę szpakowate włosy, a czołowe kosmyki tak dziwnie sterczały, jak rogi, co dodawało całej twarzy wyrazu niesamowitego. Ta sama twarz wychyliła się nagle z poza drzwi i Genia usłyszała głos ostry a donośny:

— Jest tam kto jeszcze?

Genia podniosła się z ławki i zbliżyła się spieszenie ku proboszczowi.

— A! Genowefa Dolińska! — rzekł zdziwiony ksiądz i zawrócił ku biurkowi w kancelarii.

Genia weszła za nim. Do siedzącego już za biurkiem odezwała się zwyczajnie:

— Dzień dobry. Proszę księdza proboszcza o moją metrykę i świadectwo ślubu.

— Hm? a po co to?



— Potrzebuję, więc proszę mi wystawić. Świadcstwo ślubu gdzieś mi się podziało, a metryki nigdy nie miałam.

Spojrzał na Genię surowo:

— Coś, widzę, nie dobrze wasze sprawy stoją — rzekł.

— Tak, nie dobrze — odparła Genia sucho, patrząc przez okno. — Proszę o te papiery.

Stanowczość głosu Geni wywarła pewne wrażenie na księdzu. Tępym wzrokiem patrzył na nią, sięgnąwszy po księgę dusz i blok formularzowy.

Przewracał karty, poczym zaczął pisać w bloku, lecz przerwał te czynności i, nie odrywając oczu od papieru, rzekł znowu głosem nie obiecującym nic zyczliwego:

— Tak to bywa, moja Genowefo — pani Genowefo Dolińska!

Przypomnienie, że nazywa się Dolińska, a więc Doliniakowa, ukłuło Genię boleśnie. Zmarszczyła brwi, lecz nic nie powiedziała; ksiądz mówił dalej:

— Tak to bywa, gdy ludzie żyją bez Boga.

Genia wyprostowała się, spojrzała księdzu śmiało w oczy:

— A tak, tak właśnie bywa — rzekła i ucięła nagle.

Proboszcz odłożył pióro i zgoła nie wiedział jak sobie tłumaczyć słowa i ton Geni; zrazu też nie znajdował dalszych słów mających upokorzyć tę tak zmienioną młodą kobietę.

Genia czuła się już pewna siebie i rzekła spokojnie, lecz stanowczo:

— Proszę o wszystkie papiery, które potrzebne są do przeprowadzenia separacji.

Ksiądz szeroko otworzył usta; rzekł po chwili:

— Ach więc tak? więc już po paru miesiącach separacja?

— Tak.

— A to czemu?

Genia pomyślała chwilę, poczym rzekła niczym nie zmieszana:

— Nie myślę być żoną złodzieja.

Teraz ksiądz się zmieszał.

— Hm, zapewne, zapewne... ale ja słyszałem, że to jego brat Jędrzej, pani szwagier — rzekł.

— To wszystko wykaże się w sądzie... proszę mi dać te papiery. — Głos Geni był suchy, twardy.

— Tylko wolno i spokojnie, moja pani Genowefo Dolińska — odezwał się proboszcz, skandując każde słowo. — Papiery będą, ale jako wasz duszpasterz...

— Tu nie spowiedź — warknęła Genia niecierpliwie.

Ksiądz wstał i spojrzał złym wzrokiem na Genię; po chwili nabrał tchu w piersi i uczynił ruch jakby sposobiał się do kazania:

— Posłuchaj więc — rzekł głucho — parę słów prawdy. że z waszego małżeństwa nic nie będzie dobrego, to przeczuwałem, dając wam ślub, że wasza sprawiedliwość boska dosięgnie tak prędko, tego nie sądziłem. Myślałem, że po ślubie ustatkujesz się

a mężowi nie pozwolisz wejść na złe drogi. Tymczasem...

— Co ksiądz proboszcz chce ode mnie? — zawołała Genia wzburzona. — Zawsze byłam ustatkowana, nie potrzebowałam się ustatkować. że za moimi plecami mąż za namową braci zaczął kraść i ograbiać kościoły, że to zgłosiłam do policji, gdy tylko wymiarkowałam, to czego ksiądz chce ode mnie? Kto z Bogiem, a kto bez Boga, to możeby się wykazało, gdyby tak dobrze zbadać. Proszę mi wypisać papiery i już!... a jak będę chciała słuchać kazania, to nie tu w kancelarii, a w kościele!

Ksiądz siadł znowu w fotelu za biurkiem; skonfundowany gwałtownością Genowefy, załamał ręce i rzekł tonem zgoła już zmienionym:

— No, no! Nic takiego nie powiedziałem. Taka pani nerwowa!

Genia wzdrygnęła ramionami:

— Po tym, co przeżyłam, sama dziwię się, że jestem tylko nerwowa.

— Ależ ja nie wiele wiem — jął tłumaczyć się ksiądz — chciałem się czegoś od pani dowiedzieć, aby mieć sąd bezstronny. Wzburzyła mnie wiadomość, że w waszym mieszkaniu policja znalazła kradzioną monstrancję i kielichy z kościoła. To są okropne rzeczy! najgorsze, gdy człowiek już nie człowieka okrada, a samego Pana Boga!

— Nie policja znalazła w naszym mieszkaniu, lecz ja to odkryłam i policji doniosłam a teraz to tak, jakbym ja do tego złodziejstwa należała może, co?



W tej chwili Genia rozplakała się i dalej mówiła przez łzy, ocierając oczy chusteczką:

— To tak jest, że ludzie coś posłyszą i potem niewinnych też pomawiają o najgorsze. Dostyc mam tego życia w błocie; nie mam sobie z tego nic do zarzucenia, ani bym była złą żoną, ani bym nawet wiedziała o tych kradzieżach, chyba to że mam gniew za moje krzywdy, a już jak matka umarła, jak sama zostałam, to też już rady nie było!

— A stara Dolińska, stateczna kobieta... — rzekł ksiądz — ona była drugą matką...

— Taka złodziejka, jak cała ta rodzina — buchnęła Genia gniewem. — Ona o wszystkim wiedziała!

— Czy być może?... No, w takim razie trzeba było mieć trochę zaufania do mnie, do swego proboszcza.

— Też nie! — rzekła Genia bez namysłu.

— Jak to?

— A przecież ksiądz proboszcz zawsze był przeciw mnie, tak jak dzisiaj!

— To grzech tak mówić bez szacunku o kapłanie! — rzekł poirytowany proboszcz.

— Tak! mój grzech! — przytwardziła Genia. — A czy to ja mogłam mieć szacunek dla księdza proboszcza, czy ja to niejednego nie pamiętam? Czy to nie posądzał mnie proboszcz o złe rzeczy z tym panem Terlikiem, co to był u nas sublokator? czy to nie zapisywał ksiądz tego, co ja wcale nie powiedziałam o tych komunistach, że przez księdza proboszcza miał ten pan niewinnie siedzieć w więzieniu, i też w śledztwie siedział? To było sprawiedliwe? i ja

miałam z zaufaniem tu przychodzić i radzić się i spowiadać? To ja niech mam ten grzech! niech jeszcze to mnie trapi! A z czego wszystko się zaczęło? z tego, że mój mąż nie chciał czytać książek, więc stracił posadę w „Strzelcu“, bo był za głupi, a ksiądz proboszcz to mi ciągle wymawiał, że czytam książki, a ja jeszcze dzisiaj powiadam: żeby nie książki, to może bym razem z nimi kradła, to może by była zgoda i z tej kradzionej monstrancji może bym księdzu proboszczowi nawet pięć złotych położyła na tackę podczas mszy świętej, a tak to nie! nie mam pieniędzy, bo kościołów nie okradam i tylko czytam dla nauki moje książki, co je tak wyśmiewał mąż, a ksiądz proboszcz przeklinał! Tak to jest, proszę księdza proboszcza, to jest szczerą prawdą.

Ksiądz słuchał żalów Geni utkwivszy oczy w papier na biurku. Gdy umilkła, oczu zrazu nie podniósł; począł tylko kościstymi palcami stukać po biurku, wreszcie westchnął i rzekł:

— A czy ja wiem? — w ostateczności Bóg wszystko osądzi.

— No tak! — podchwyciła Genia — ale tak trzeba było mówić od początku! A właściwie to ja jeszcze tak powiem: jak kto już sobie rady nie wie, to zwala na Pana Boga, a tu trzeba nam sprawiedliwości na ziemi, żeby nie było krzywdy — zanim Pan Bóg wmiesza się w te sprawy.

— No już dobrze, moja Genowefo! Niech mnie pani nie poucza o Panu Bogu... No dobrze, dam pani te papiery i niech się pani namyśli, czy nie zostać

przy mężu; może dobry wpływ nawróci go ze złej drogi... Aha! a co się z nim dzieje, czy też jest aresztowany?

— Tego ja nie wiem; nie ma go w Warszawie, ale jak już o nim wiedzą na policji, to pewnie go złapią.

— A wiedzą też o nim?

— Pewnie że wiedzą.

— Od kogo?

— Podałam wszystko do protokołu.

— Pani oskarżyła własnego męża?

— Tak, czy źle?...

Ksiądz chciał coś odpowiedzieć, ale powstrzymał się.

Nastąpiło długie milczenie. W tej ciszy słychać było tylko skrobanie pióra po papierze. Genia spoglądała na rękę księdza piszącą dla niej dokumenty. Zdawało jej się, że ta twarda, żylasta, ogromna ręka pisze w tej chwili słowa jej wyzwolenia; ta ręka pisać nie chce — a pisze.



## XXVIII.

*Och! jak bym chciała!*

Zwolna wracała Genia do równowagi. Ciepła atmosfera w domu Szczerbińskiego działała jak odżywcze i leczące zioła, których właściwości znane są tylko wtajemniczonym. Z wyjątkowości atmosfery panującej w pracowni nie zdawali sobie sprawy sami jej sprawcy: Joasia i Szczerbiński. Oceniał ją zawsze Terlik, choć zachodził tam nie częściej jak raz na tydzień, albo rzadziej. Teraz nie zaglądał tam ze względu na wstrząsający stan Zarębianki. Jego sprawa — mniemał — musi poczekać, aż utrą się koleje nowego życia znękanej kobiety. Spodziewał się jednak, że wkrótce będzie mógł Genię zobaczyć.

Jej życie płynęło z dnia na dzień bez osobliwych wzruszeń. Nie ciążył jej już skrajny niedostatek, codzienna praca pozowania dawała świadomość zarobkowania, żadne doraźne wstrząsy nie przerywały spokoju, uczucie oczekiwania ważnych zmian, zmian na lepsze, dodawało tylko bodźca i chęci do życia. Wyjątkowa dobroć Szczerbińskiego zastanawiała cza-

sem Genię, trochę niepokoiła Joasię; żadna jednak nie mogła mu nic zarzucić; zachowanie rzeźbiarza było beznaganne. On sam zastanawiał się nad tym, czy zapał, z którym jej pomaga i radzi, i ta daleko idąca sympatia nie mają założeń miłosnych skłonności ku tej niezwykle miłej i pięknej kobiecie. Zastanawiał się, czy patos jej nieszczęścia był tą zaporą, która nie zezwalała na żadne zbliżenie, ani nawet na żadne słowo dwuznaczne? Być może; a kto wie, czy nie prosta uczciwość względem Joasi, albo lęk rozbicia tego miłego trójgłosu, który dźwięczał teraz w nienaruszonej harmonii w jego domu?

Szczerbiński dziwił się sam sobie i może po raz pierwszy zaczął siebie za to szanować.

Genia lubiła przebywać w towarzystwie ich obojga; najchętniej jednak dążyła do rozmów w cztery oczy to z Joasią, to z Szczerbińskim na przemian. Nie mniej odczuwała potrzebę samotności. W tych bowiem chwilach, najczęściej przed zaśnięciem, albo z rana po obudzeniu się, zanim zawołano na śniadanie, mogła rozmyślać swobodnie o swym życiu i o przyszłości. Myśl jej teraz częściej niż dotąd, wracała do Antoniego Terlika. Dawno już nie odważała się zwać go nawet w myślach Antonim. Obecnie brzmienie tego imienia znów ją zbliżało do Terlika, tak iż wreszcie w myślach obcowała z nim coraz swobodniej. Poczęła się też niecierpliwić, dlaczego tak długo Antoni nie odwiedza swego przyjaciela. Zabolala ją myśl, że może jej obecność jest tego przyczyną. Przypomniała sobie dawne swe nadzieje, roz-

wiane przypadkowym spotkaniem go w autobusie na zbiegu ulic Marszałkowskiej i Litewskiej. Poczła nawet w piersi owe zadyszanie, kiedy to biegła bez opamiętania za znikającym autobusem po to, by więcej Antoniego już nie ujrzeć, by zrozumieć, że on o niej nie myśli nawet, co przytwardził owym grzecznym uchyleniem kapelusza po przez szybę autobusu. To wszystko przypomniała sobie z nowym lękiem, ale mimo to co wieczór zasypiała z uczuciem, iż śni w objęciach Antoniego.

Pewnego ranka pod nieobecność Szczerbińskiego, który musiał wyjechać do Krakowa w sprawie pomnika Wyspiańskiego, siedziały Joasia z Genią cerującą bieliznę.

— Powiedz mi szczerze, Geniu — zagadnęła Joasia — choć staramy się oboje, aby ci u nas było jak najlepiej, czy nie odczuwasz braku kochającego mężczyzny?

Genia pochyliła tylko głowę nad swoją robotą i szepnęła:

— Tak, odczuwam.

— Bo też byłoby dziwne, gdyby było inaczej — rzekła Joasia. — Czy zdecydowałybyś się mieszkać z Terlikiem?

W tej chwili Genia rzuciła swą robotę na stół, siadła obok Joasi i uścisnęła ją serdecznie, mówiąc gorąco i z prostotą:

— Och, Joasiu! Żebyś ty wiedziała, jakbym tego chciała! Przecież ta myśl mnie prześladowuje we dnie i w nocy. Mówię szczerze jak jest.



— Obiecał tu przyjść — mówiła Joasia, przyciskając Genię do siebie. — Nie wiem czemu się nie zjawia?

— Może dla tego, że ja tu jestem?

— Nie, nie dlatego. Wiem, że chce cię zobaczyć.

— Tak? naprawdę?

— Tak.

— Och, gdybym go znów zobaczyła! — zachwyciła się Genia, lecz zaraz też zastanowiła się: — a jednak boję się tego spotkania. Prostu nie wiedziałabym jak się zachować.

— Tego się nie obawiaj. To się samo zrobi. Bądź prosta, zwyczajna...

— Tak, ale on po mnie pozna, że...

— To niech pozna, tym lepiej.

— A ja się jednak niepokoję na samą myśl tego spotkania.

Wejście sztukatora przerwało tę rozmowę, a Genia chciała jeszcze dużo, dużo rozmawiać o Antonim i jak najwięcej o nim się dowiedzieć. Sama krępowiła się wszczynać rozmowy o Terliku, lecz oczekiwała, czy tego nie uczyni Joasia. To też tego wieczoru, gdy Joasia mówiła o wszystkim innym tylko nie o Antonim, albo milczała, Genia, która właśnie siedziała znów pogrążona w myślach, podniosła z wolna głowę, przymrużyła oczy i jęła recytować wolno, a z przejęciem:

„Na rzece mej w wieczność płynącej

Wspaniałe nie stoją mosty.

Kładka li z chwiejną poręczą;

Stawiał ją człowiek prosty.

Nie przejdą ci po niej tłumy,  
Najmniejszy wiew ją porusza,  
Lecz może na tamtą stronę  
Spojrzy z niej jedna choć dusza.“

Genia umilkła i przymrużonymi oczami patrzyła przed siebie.

— Co ty mówisz? — zawołała z przejęciem Joasia — jakież to ładne! co to jest?

— To Kasprowicz.

— Ach! znasz go? czytałaś? umiesz na pamięć?...

— Bardzo to lubię, to z „Księgi ubogich“; mam ją od pana Antoniego.

— Aa!

— „Lecz może na tamtą stronę

Spojrzy z niej jedna choć dusza“.

Czy wiesz, Joasiu, że niejednen wierszyk można rozmaicie rozumieć. Ja dawniej inaczej go czułam, może tak jak go Kasprowicz napisał. Teraz zapominam, że tamta strona rzeki to już po śmierci. Tak on myślał, Kasprowicz. A mnie dzisiaj wydaje się, że stoję na tej kładce i patrzę na tamtą stronę mojego życia, to pewnie nie śmierć, a nowe moje życie?... Co myślisz?

— Tak, — odparła w zadumie Joasia — to nowe twoje życie. — Siadła przy Geni i ujęła jej dłoń. Tak trwały w milczeniu.

## XXIX.

*Na rozstaju dróg*

Na rozstaju dróg stał Feliks Doliński na czatach. Stał pod krzakiem, nad którym wznosił się krzyż przydrożny.

Czarna noc.

Lekki poszum wiatru szedł od strony lasu. Cisza wydała się Felkowi, aż straszna. Co chwilę ścisnął w kieszeni rękojeść rewolweru, jakby utwierdzić się chciał, że każdej chwili gotów jest strzelić w tę czarną ciszę, co to w tej chwili najbardziej wroga mu się wydaje.

Bo też nie wiadomo co się w niej czai i co się za chwilę z niej wyłonić może.

Ta jedna noc jeszcze, a potem dość tego! — tak już sobie postanowił, bo nerwy jego nie wytrzymały tego ustawicznego napięcia. „To trudno — wmawiał w siebie — ja to nie Jędreka, ja się nie nadaję...”

Ta myśl, w te właśnie słowa przybrana wywołała w Felku jakieś przykre wspomnienie.



Bo też równocześnie Genia stanęła mu przed oczami, jego żona zapłakana; to ona mówiła: „Felku, ja się do tego nie nadaję, puść mnie“.

Tak mówiła! Nagle ją zaczął rozumieć. Czemu tego nie rozumiał, gdy ona to mówiła, a czemu teraz rozumie?

Och! jakby chętnie zawołał teraz do Zięby, do Jędrka, Wicka i wszystkich kompanów: puście mnie! ja się nie nadaję! Ale tak powiedzieć nie mógł, tego by mu nie darowali i nie wiadomo coby go mogło spotkać. Nie! on tak im nie powie; ale mu to wystarczy, że sam sobie mówi: ja się nie nadaję.

I oto teraz, gdy tak stoi pod krzakiem, a nad nim szeroko rozpostarte ramiona krucyfiksu, co tam w górze ledwie majaczą w ciemności, słyszy wciąż w sobie słowa: ja się nie nadaję. A od lasu idzie jakiś poszum smętny.

I taki smutek ogarnął Felka i taka tęsknota do tej Geninej izdebki, że gdyby tak teraz Genia stanęła przed nim, padłby jej do nóg i zawyłby jak pies: Geniu, Geniu! weź mnie z sobą, ja się do tego nie nadaję!...

Szarpnął się w sobie i odepchnął te myśli, jak złą pokusę. Tej nocy musi dotrzymać, zgubiłby ich i siebie. Zawierzeli mu zresztą, zawieść ich nie może... A czy ona nie zawierzyła mu? Genia? Tak! A czy jej nie zawiódł? Tak jej się może teraz zdaje, ale tak przecie nie jest. Wróci do niej, on to wszystko przecie także dla niej... aby wydobyć i ją z tej nędzy...

W tej chwili coś zaśmiało się przeraźliwie tuż nad jego głową. Aż się przykurczył z przerażenia... Spojrzawszy w górę, ujrzał jakowyś cień na niebie, cień skrzydlaty, który odleciał...

Sowa! — pomyślał i chwycił się w okolicę serca, taki tam w piersi poczuł niepokój...

— Ja się naprawdę nie nadaję!... Geniu, Geniu!...

Znów otrząsnął się w sobie. Ścisnął rękojeść rewolweru w prawej kieszeni, a w lewej pomacał latarkę elektryczną. W tej chwili z wysiłkiem jął sobie uświadamiać swoje zadanie, rozkaz Zięby. Dotąd wykonał wszystko, a teraz czekać ma, aż na moście posłyszysz tentent. Baczyć ma, czy błysnie z mostu trzy razy światełko. Potrójnym błyskiem odpowiedzieć ma, jeśli droga — wolna...

Geniu! ja się do tego nie nadaję!... Już ta noc ostatnia. Wracam do ciebie Geniu, wolę tę nędzę od tego niepokoju, choć forsa jest!

Wolę!

Jął nasłuchiwać. Nie! to nie tentent na moście; cisza, tylko szum od lasu idzie!...

Pogrążył się znów w myślach, które znów go nawiedzały te same, co wczoraj i poza wczoraj, jeno wyraźniejsze.

Jął się głównie nad tym zastanawiać, czy to, że Jędrak nie wrócił z Warszawy, znaczy, że i on powiedział sobie, że się nie nadaje, czy też ma już forsy dość od Zięby i wystarcza mu to co tam zabrał spod łóżka, tę monstrancję i kielichy, czy może wszystko sobie wziął i na własną rękę rozpoczął roz-

bój po tamtej stronie Warszawy, albo zgoła w mieście samym? żydek, przez Ziębę posłany na zwiady, jeszcze nie wrócił, i może nie wróci? może też się nie nadaje? A może...

Wtym głucho dudnienie od strony mostu idące przerwało myśli Felka. Tak! to oni! oni jadą! wiele koni! tentent na moście okrutny. Serce zabiło Felkowi żywiej. Wytężył wzrok, podawszy się ku przodowi. Trzy błyski! — wyraźnie były to trzy błyski! Do był latarkę, wymierzył w stronę mostu i błysnął w odpowiedzi trzy razy. Po chwili tentent umilkł. Zjechali widocznie z mostu. Już też parskanie koni sły chać, już dudnienie wielu kopyt po leśnej drodze. Ruszyli. Oddechy galopujących koni sły chać wyraźnie; zbliża się nawała jeźdźców; niesamowity szum i szelest dźbywa się z tej czarnej ciszy; nie widać, jeno sły chać, sły chać coraz wyraźniej zbliżającą się nawałę. Ogarnął Felka niepokój, aż przysiadł na ziemi. Choć to swoi, wolał by nie był dostrzeżony, gdy go będą mijali.

Serce waliło mu młotem.

Są już blisko; szum i tentent, nic nie widać. Już są tuż, mijają jak stado upiorów, już przelecieli! Tentent słabnie, szum rozplywa się w tej czarnej ciszy i — milknie.

Feliks Doliński odetchnął głęboko. Poczul, że na tę noc spełnił swe zadanie, lecz równocześnie uświadomił sobie, że się nie nadaje.

Powziął nagłą decyzję: do Żyrardowa nie wróci!

— — —



O świcie szedł Feliks Doliński gościńcem w stronę przeciwną, niż stacja kolejowa, gdzie spotkać miał jednego z towarzyszy wyprawy, by we dwóch dojechać rannym pociągiem do Żyrardowa. Szedł do stacji następnej. Tam doczekawszy się najbliższego pociągu, wsiadł i pojechał do Warszawy.

Wielki był natłok ludzi.

Gdzieś tu musi być jarmark w okolicy; jadą baby obładowane koszykami, jadą i chłopci, i handlarze, a wśród tych ludzi interesu kręci się mnóstwo dzieci; do szkoły jadą widocznie tak rano, bo i książki mają przy sobie w płóciennych, albo ceratowych torbach. Gwaro i rojno...

Feliks Doliński stał na korytarzu ze zmrużonymi, sennymi oczami. Klął w duszy, że nie znalazł już miejsca w przedziale. Drzemał stojąc, wciąż któryś z przechodniów, co to — cholera — przeciskał się nie wiedzieć po co w ciasnym korytarzu, potraçał Felka, nie dając nawet oczom wypocząć.

Nareszcie na którejś stacji większej sporo ludzi wysiadło. Zanim nowi zdążyli się wtłoczyć, Felek już znalazł sobie miejsce i rozparł się wygodnie.

Pragnął spać po tej męczącej nocy na czatach spędzonej. Lecz działo się z nim coś dziwnego, coś co sen spędzało z oczu. Dziwne myśli! nie zaznane jeszcze nigdy uczucie. Coś w nim walczyło. Ten lepszy w nim człowiek wziął się za bary z tym gorszym. O tym jednak Felek w swej bezmyśli nie wiedział; odczuwał jeno jakąś dziwną tęsknicę do czegoś, co było poza nim, czego mu brakło. Co to było, tego nie wiedział.

Poczuł się tylko w próżni między dwu podstawami. Obie usunęły mu się z pod nóg. Tę jedną sam kiedyś odtrącił, rzuciwszy się ku tej drugiej. Teraz ucieka przed tą drugą i radby tej pierwszej się uczepił, a zgoła niewiadomo, czy to mu się uda.

Poprawił się gwałtownie na ławie i starał się pocieszyć myślą, że forse ma na jakiś czas, a może z tego tam złota ukrytego pod łóżkiem Jędrrek wszystkiego mu nie zabrał jeszcze. A jakże tu pogodzić to złoto z pojednaniem się z żoną? ona nie czuła na to złoto, może dlatego, że kradzione? A jeszcze i coś innego wisi nad jego zmęczoną głową: ciągła groźba, że się wszystko wyda, groźba sądu, więzienia.

Strach go obleciał.

Próbował usprawiedliwić się wobec siebie samego: bo te konie, to prawda! cudze konie, konie gospodarskie, strata człowieka jest; ale czy tam w kościele kielich jest albo nie, i czy złoty albo „srybny“ — co to komu szkodzi. Niczyja strata; Pana Boga okradają — mówią ludzie. To nie prawda, wioletam się Pan Bóg tym martwi, co! Pan Bóg o złoto nie stoi, bo nie kapitalista. To ino tak poprzekręcali wszystko biednym ludziom na udrękę!... Ale co ci z tego, bratku, żeś taki filozof? Jak złapią to i do paki zamkną, a wtedy przez długie lata pogwizduj sobie i o Panu Bogu i o żonie, którąś sponiewierał a do której teraz tęsknisz tak okrutnie i radbyś, by cię oderwała od tego życia, do którego się jednak nie nadajesz! Tak już zapóźno! już się stało i każdego dnia mogą cię zaaresztować!...

W półśnie szarpnął się tak gwałtownie, że aż sąsiadka zakląła głośno a zatrzepotały się kaczki w jej koszyku, wrzask podniósłszy nie wiedzieć czego.

Felek poczuł, że zbytnią na niego zwrócono uwagę, przetarł oczy, wstał i wyszedł na korytarz rezygnując z wygodnego, z trudem zdobytego miejsca.

Spoglądając przez szybę wagonu myślał w duszy: co też tam mówią teraz o nim u Zięby, że nie wrócił? Pewni są, że został przychwycony przez policję. A jak też go Genia przyjmie? co powie, gdy jej oświadczy, że i on się nie nadaje do tego, jak i ona. Czy uwierzy? czy się z nim pogodzi? Bo też czego on ją bił i lżył? że tak radziła matka i Jędrak?

Źle radzili, bo ona i tak się do tego nie nadaje, jak i on. Coś jednak mają ze sobą wspólnego... Co też powie na to, że i on się nie nadaje?

— — — Pociąg zbliżał się do Warszawy — — —



### XXX.

*Nie ma odwrotu.*

Wielki tłok ludzi na dworcu warszawskim. W tłoku tym Felek rad się zagubiał; w tłumie zawsze zginąć łatwiej.

Gorzej było na ulicy, a już najgorzej, gdy minął Belweder zbliżając się do Czerniakowskiej. Im mniejsza ciżba ludzka, tym wyraźniej czuł Felek, że różne podejrzliwe oczy nań patrzą. Gdy na ulicy było niemal pusto, że tylko tu i tam przechodzień któryś—to też w tej próżni przed nim i za nim, i obok, aż wiało strachem.

Przez ten strach przejść musi, aby dostać się do Geni!

Na rogu ulicy Chełmskiej stał policjant. Jakże tu przejść obok niego, aby niczego nie zmiarkował? Podobno policjanci mają psi węch; to osobny gatunek ludzi, jak psy, co są od wywąchiwania tego, czego żaden człowiek nie wywącha.

Zwolnił Felek kroku i nie wiedział, co czynić: iść dalej, czy zawrócić?

Nagle długi rząd ludzi przysłonił policjanta. Szare szeregi wyrównane, maszerujące równo i składnie.

Aż uradowało się serce Felka; i tak się zapatrzył na przemarsz kompanii strzeleckiej, bo to w tym i jego przecie jest robota! — że nie zauważył nawet, jak minął policjanta, który porówni z innymi gapił się na strzelców.

Zbliżał się już do Czerniakowskiej, gdy uprzytomnił sobie niebezpieczeństwo, które wszakże odmaszerowało wraz z strzelcami w stronę przeciwną.

Odetchnął i ruszył rażnym krokiem ku domowi — Geni.

Czemu wszystko tu takie obce tym razem? puste podwórze, ani gromady dzieci, ani Kawczyńskiego? Lecz Geńka napewno w domu? ta kurka domowa!

Zastukał do drzwi. Aż dziwno! czemu do własnego mieszkania zastukał? Nie otwarto. Chwycił za klamkę i szarpnął. Drzwi zamknięte. W tejże chwili w półmroku spostrzegł na drzwiach dwie pieczęcie połączone sznurkiem. Zastanowił się. Nic nie rozumiał. Może matka wiedzieć będzie?... może tam jest Genia?...

Poszedł. Nawet na myśl mu nie przyszło zasięgnąć języka u Kawczyńskich — tak spieszył do matki.

Na progu przywitała go przerażona:

— Jezus, Marja! Czego tu chcesz! uciekaj pókiś żyw!

— Co to wszystko znaczy? — wyszeptał wściekły — Mamo, czyście poszalały? Gdzie Genia?

— Uciekaj powiadam! — krzyczała dzikim szep-

tem Dolińska. Tu policja przyjdzie po ciebie, już była! uciekaj!

— Gdzie Geńka? — pytał z uporem.

— Nie ma... To pewnie ona was wydała! Nie ma jej, uciekla.

— A mieszkanie?

— Policja opieczętowała. Jędrak pod kluczem, Kawczyński też...

— Kawczyński też?

— Tak, a teraz ciebie zabiorą! pocóżes tu przylazł?

Nic nie odpowiedział, spojrział na matkę złym wzrokiem, rozejrzał się po izbie, czapkę rzucił na łóżko i rozsiadł się przy stole.

— Nigdzie nie pójdę — rzekł z uporem. — Bo gdzie? Niech się dzieje co chce!

— O! skaranie boskie! — jęknęła Dolińska.

— Jeść chcę! — warknął Felek. Stara jęła się krzątać i jakieś tam sposobić jadło. Felek patrzył przed się ponuro. Coś ważył w swej głowie. Rzekł wreszcie:

— Jak to być może, mamó, byś nie wiedziała, gdzie Genia?

— Lepiejbyś o to ścierwo nie pytał. Uciekla tego dnia, jak wyjechałaś. I tego dnia zaaresztowali Jędraka i Kawczyńskiego. Nic innego, tylko jej to sprawa. A ty teraz czego tu? żeby i ciebie?...

— Tak! jak ma być, to niech i mnie też...

— Co się z tobą stało, Felku? — spojrzała Dolińska na syna z rozpaczą i pewną czułością w głosie.

— Co się stało? pytasz matko? He, he... to się po-



każe... Jak będzie czas, to o tym pogadamy... byle mnie jeszcze dzisiaj nie zabrali... Ja chcę się widzieć z Genią! Gdzie ją mam szukać do cholery!?

— Żebym to ja wiedziała! — westchnęła dość niezycliwie stara, stawiając przed synem talerz z kawałem mięsa.

— A wódka jest? — spytał głucho.

Milcząc postawiła na stole butelkę czystej i kieliszek.

Wypił. Jadł milcząc, a ona patrzyła nań z przerażeniem. Wreszcie spytał niespodzianie:

— A co tam te paki pod łóżkiem? Czy Jędrek zdążył je wynieść?

— Nie, wszystko policja zabrała.

Zachmurzył się. Jadł dalej w milczeniu, wciąż popijając wódkę. Wreszcie dobył z kieszeni paczkę banknotów w papier zawiniętą i rzucił przed matkę na stół.

— Schowaj to, matko; niech tego nie zabiorą, gdy przyjdą po mnie.

Dolińska chwyciła pieniądze i zniknęła z nimi w kuchni. Wróciła po dłuższej chwili.

— Co umyśliłeś teraz począc — spytała z obawą w głosie.

— A czy ja wiem?

— Czemuś przyjechał?

— Uciekłem. Ja się do tej roboty nie nadaję, tak jak Genia, rozumiesz, mamó?

— Pokłóciłeś się z Ziębą, czy co?

— Nie, nie pokłóciłem się, ale już nie chcę.

— A czego ty chcesz Felku?

— Chcę być przy Geni, chcę, żeby te Ziębowe sprawy odczepiły się ode mnie, chcę być porządnym człowiekiem, rozumiesz?

— Tyś już do cna zgłupiał chyba!

— Wyście mnie źle namówili! ty też, mamó! Nie trzeba mi było bić żony, ani iść za nimi do Zięby... co mi tam te rozboje! co mi te pieniądze kupione za tyle mordęgi i ciągłego strachu!...

Źle mi doradzaliście, niech was wszystkich za to choroba połamie, psiakrew!

I teraz co? teraz co ja jestem? już ani Geni!... a innym ludziom to nawet w oczy nie spojrzeć!... Co ja teraz jestem?

I załamał się w sobie i jął płakać na głos, jak ten chłopiec bezradny, który nawet u matki nijakiego nie ma zrozumienia.

Próbowała go pocieszyć:

— Nie płacz: może tak źle nie będzie. Teraz, Bogu dzięki, pieniądze są, schowałam tak, że i diabeł nie znajdzie; byleś ino miał się gdzie schować; niech to szukanie przeminie; może nie zmiarkują, że ty też... Ja ci coś powiem: tu zostać nie możesz, mój dom mają na oku; jużem to zmiarkowała. Idź na noc do Lili, ona ci poradzi, co dalej i gdzie masz się ukryć.

— Ja chcę do Geni! — huknął wściekły. — Gdzie Genia? gdzie ją mam szukać?

— A czy ja wiem, gdzie ta choroba się podziała? Może znalazła sobie jakiego frajera? może tego sub-

lokatora, co to mieszkał u Marcelowej, pamiętasz? Bo ona przecie nikogo innego w Warszawie nie знаła.

— A gdzie on może mieszkać — spytał z zacięciem Felek. — Może coś się o niej dowiem?

— A diabeł go tam wie! — machnęła Dolińska ręką.

W tej chwili jęknęła. Felek spojrział na matkę: stała nieruchoma blada i zdołała wykrztusić z trudem przez gardło:

— Idzie! idzie tajny!... znam go! Schowaj się, Felku!

Cofnął się Felek w ciemny kąt izby. Spiesznie wyciągnął z kieszeni rewolwer i wsunął głęboko w łóżko, pod pościel, poczym wybiegł cichaczem do komory.

Już też i słyszeć się dało kołatanie do drzwi. Dolińska jęczała, nie wiedząc co począć. Gdy kołatanie stawało się coraz gwałtowniejsze, wybiegł Felek z komory i pospieszył otworzyć.

W tej chwili ujrzała Dolińska przez okno zbliżających się jeszcze dwóch policjantów w mundurach, z sionki dochodziły do jej uszu ostre słowa; pociemniało jej w oczach. Zemdląła.



### XXXI.

*Poprzez bariere*

Zdarzyło się, że między Szczerbińskim a Joasią zaszły jakoby jakieś nieporozumienia. Czujnej wrażliwości Geni nie uszły zewnętrzne oznaki zadrażeń maskowanych starannie przez tamtych obojga.

Jaka była przyczyna ukrytych nieporozumień, trudno było dociec. Genia nie byłaby się też czuła uprawniona do zastanawiania się nawet nad tym, uważając, że myślą próbuje wtargnąć w sprawy cudze, dyskretne, gdyby nie podejrzenie, iż ona jest przyczyną zamącenia pogody domu Szczerbińskiego. Zaniepokoila się poważnie.

Postanowiła wyteńczyć całą swą uwagę w tym kierunku i lada ruch Joasi lub Szczerbińskiego, lada spojrzenie już Genię obciążało w jej wyobraźni, obciążało ją to, że istnieje, że jest, że jest tutaj, bo przecież gdzieindziej być nie mogła; nie wyobrażała sobie! Obciążała ją jej uroda i może to, że pozwalała, bo musiała pozować rzeźbiarzowi, wyławiać wszystkie kolejno z siebie piękne kształty i przenosić je na

tę drugą postać, tę z gliny, która wyrosła obok i zdała się żyć odrębnym ruchem, nerwem i uśmiechem, choć wziętym z niej, Geni pozującej.

Zdawało się Geni, że już jest na tropie; starała się więc być ciągle na uboczu zwłaszcza w obecności Szczerbińskiego. Lecz niespodziewana propozycja rzeźbiarza, aby obie pozowały do grupy, którą ma zamiar modelować, zmyliły wszystkie rachuby i wątpliwości Geni.

Czy dyssonanse między tamtymi trwają, czy wogóle były, tego już Genia nie była pewna. A jednak same te podejrzenia, sama myśl o możliwości nieporozumień w tak zgodnym i pogodnym domu, zaczęły chmurzyć jasny lazur myśli Geni o pożyciu z Antonim.

Nie miał on przecież tego wesołego usposobienia co pan Fred. Mógł nawet w codziennym pożyciu drażnić brakiem uzewnętrznienia swych myśli i odczuć, zamiarów i decyzji. Trzeba więc być przygotowaną także na chmury, jeżeliby ziścić się miało to, do czego ją pchała tęsknota, jeżeliby miała zamieszkać w domu Antoniego. I wreszcie rada była Genia, że i szarość przyszłych dni nawiedziła jej myśli; tym trudniejsze były bowiem przykre niespodzianki przyszłości.

Tymczasem obserwowała Genia bacznie wszystkie codzienne szczegóły współżycia Joasi i pana Freda. Ustaliła wreszcie, że złe i dobre objawy były tylko objawami usposobień, które miały swe źródła zgoła gdzie indziej.

Czasem pozowanie Joasi irytowało rzeźbiarza podczas pracy, czasem sprawiało mu przyjemność, choć Genia nie spostrzegła żadnych różnic między pozowaniem w jednym dniu a pozowaniem w dniu innym. Podobnie wyglądały sprawy poza pracą artysty. Czasem było wszystko dobrze, czasem wszystko źle. Czy to sprawa wyprania rękawiczek, czy smaku zupy przy obiedzie, czy przypomnienie lub przeoczenie czegoś, co miało być dnia tego załatwione. Lecz i Joasia nie pozostawała dłużna; jednego dnia, cokolwiek wymodelował artysta, było udane, było świetne; innego znów wszystko chybione. Gdzie jest źródło tych rozmaitych odruchów? — pytała się w myśli Genia; i choć nie znajdowała odpowiedzi, dużo się uczyła z tych codziennych obserwacyj.

Genia, która czuła się już poza obrębem dawnego swego życia na Czerniakowskiej i pochłonięta zgoła nowymi zagadnieniami, badaniami i marzeniami, raz znowu przywołana została do tamtego życia, jakkolwiek już tylko po przez niewidoczną, lecz pewną barjerę.

Oto pewnego dnia, po pozowaniu, gdy Szczerbiński obok w pracowni wykonywał jakąś pracę z pałami, podała Joasia Geni gazetę i wskazała palcem na rubrykę: „Wiadomości kryminalne“. Z krótkiej wzmianki dowiedziała się Genia o zlikwidowaniu wielkiej szajki złodziejskiej włamywaczy i koniokradów. Dotychczas ujęto szesnastu. Szajka miała swe siedlisko w Żyrardowie, hersztem był niejaki Marcelli Zięba, trudniący się handlem koni. Znaleźli się



pod kluczem Zięba, trzej bracia Dolińscy i Kawczyński z Warszawy, Winkler, Szmar i kilkunastu pomniejszych opryszków. Stoją oni pod zarzutem dokonania licznych kradzieży koni i włamań. Jak się zdaje sprawa cała ma łączność z wykrytym świętokradztwem, z włamaniem do kościoła w Wólce Kołodziejskiej.

Rumieńce wystąpiły na twarzy Geni.

— Jaki wstyd! jaki wstyd! szeptała, zwracając Joasi gazetę.

— Przez to jeszcze przejść musisz — rzekła pocieszając Joasia. — Nie twój to wstyd, lecz ich.

Jeszcze będziesz miała trud świadczenia, zeznawania; ale nie martw się i nie denerwuj; pamiętaj, że wszystko składa się na to, abyś była wolna.

— Boże! Boże! — westchnęła Genia.

## XXXII.

### *Zreżane posunięcie Joasi*

Mimo wyostrzonej uwagi nie mogła Joasia spostrzec jakiegokolwiek zmiany na gorsze stosunku Freda do niej.

Dla Geni był on zawsze równy, nie poufalił się nigdy, ani starał się zbliżyć lub stosunki wzajemne zacieśnić. A jednak kobiecy instynkt kazał Joasi zabezpieczyć się przeciw wszelkim niespodziankom — póki jeszcze czas.

Uczynić to mogła tylko przez Antoniego Terlika; on jeden może zabrać z ich domu Genię, a gdy już ją raz będzie miał u siebie, nie będzie żadnego niebezpieczeństwa. Genia Antoniego kocha i nigdy nie poświęci go dla Freda; taki to jest typ kobiecy. Gdy będzie miała Antoniego, żaden mężczyzna nie będzie dla niej istniał.

Zniecierpliwiła się wreszcie Joasia tym, że Terlik tak długo u nich się nie zjawia. Pewnej nocy postanowiła sobie, że dnia następnego pójdzie do Terlika. Tak też uczyniła. Zanim weszła do jego mieszkania

namyślała się, jaka niespodzianka może ją zaskoczyć, któraby zmyliła lub opóźniła jej plany. Chyba wyjechał! nie! dałby znać Fredowi; przecież obiecał wkrótce Freda odwiedzić!

Jak to zwykle w takich razach bywa, tak i obecnie Joasia wpadała kolejno na wszystkie możliwości niespodzianek, lecz nie wpadła na tę, która ją istotnie zaskoczyła.

Zastała pana Antoniego obłożnie chorego. Grypa; grypa w ostrej formie. Leżał w gorączce; czuł się nieszczęśliwszy, niż był w istocie; chwilami zdawało mu się, że już przyjdzie mu pożegnać się z tym światem. Czy braknie mu opieki, pielęgnacji? — Oczywiście braknie; opieka stróżki, to nie żadna opieka! Lekarz był, coś tam zapisał, ale też na tym się skończyło.

— Tak nie można! — tłumaczyła Joasia. Dlaczego pan nam nie dał znać o chorobie? to przypadek, że zajrzałam do pana przechodząc.

— Cóż byście zaradzili! — rzekł z rezygnacją chory. — Nie lubię czynić zamieszania własną osobą; macie swoje sprawy. Na pielęgniarkę nie mam pieniędzy.

— Nie trzeba! — protestowała Joasia. — Tak nie należy odnosić się do przyjaciół! Trzeba było tylko nam dać znać, a reszta już do nas należy. O opiekę w tej chwili nie trudno. Jest u nas przecie Genia Ziębianka; niech ona pana pielęgnuje.

Terlik otworzył szeroko oczy i uniósł się a oparł na łokciu.



— To jest myśl! — szepnął — ale czy ona zechce?

— Zechce. Wspomina pana nieraz; spodziewała się też zobaczyć pana wkrótce.

— A jak stoją jej sprawy? Przecież mąż może ją zabrać i wogóle może na to wyjść, że od niego uciekła do mnie?

— Dzisiaj już nie. Sprawy tak stoją, że jej mąż wraz z całą bandą jest pod kluczem; wie pan, to banda włamywaczy. Nakryli ich. Teraz Genia wniosła już o separację; czeka decyzji i rozprawy sądowej; będzie jako świadek zeznawała.

— A tak! — mruknął Terlik i rzucił się na wznak na poduszkę. — Taki obrót wzięły te sprawy. Biedna kobieta! A trzyma się dzielnie?

— Tak; już zupełnie spokojna; już też połapała się, że to jej wyzwolenie.

— Tak też jest — przytwardził Terlik i zamyślił się. Po chwili spytał:

— A czy ona zgodziła by się mnie pielęgnować?

— Myślę, że tak, o ile ją pan o to poprosi; sama się nie narzuci; to pewne.

— No to może pani ją poprosi w moim imieniu?

— Dobrze. A jeszcze lepiej, jeżeli pan napisze trzy słowa; ja jej kartkę doręcę.

— No dobrze — rzekł jakoś raźniej Terlik. Tam na stole musi być blok i ołówek; proszę podać.

Drżącą ręką skreślił kilka słów, podpisując się, i wręczył kartkę Joasi.

— Tak — rzekła, — tak będzie najlepiej; a czy teraz mogę panu czym usłużyć?

— Owszem, proszę nalać mi z kranu świeżej wody do szklanki; o tam obok jest łazienka... A teraz proszę z szafki dobyć czystą koszulę nocną; tam, o tak... Dziękuję, bo to do takiej samarytanki, to muszę się ubrać. Tak!... Ale ona już dzisiaj przyjdzie do mnie, prawda?

— Oczywiście, za godzinę powinna tu być.

— Dziękuję pani, bardzo pani uprzejma. Proszę też pozdrowić Freda.

— Dobrze, gdy się dowie, że pan choruje, to pana odwiedzi.

— Dobrze, powiem mu. Dzisiaj niech będzie przychodzi, jutro, dobrze?

— Dobrze powiem mu. Dzisiaj niech będzie powitanie z samą Genią, prawda? to ogromnie miłe stworzenie!

— Tak, miłe i bardzo dobre.

— Do widzenia panu, życzę zdrowia!

— Dziękuję, do widzenia.

— — — Gdy Terlik został sam, siadł na łóżku i spojrzał na zegarek. Minęła dwunasta. Około pierwszej może być Ziębianka już tutaj! Otrząsał się silnie „z choroby“ Chciał być jaknajbardziej rzeźki na jej powitanie. Z trudem wyszedł z łóżka; wsunął nogi w pantofle, zarzucił coś na siebie i poszedł do łazienki. Mył się z trudem. Ręcznikiem zwilżonym w zimnej wodzie (cieplej nie było) wycierał długo i mocznie całe zgorączkowane ciało; dreszcze febry przenikały go co chwilę. Wdziawszy znów na siebie

coś ciepłego, zabrał się do golenia. Była to dlań ciężka praca tego dnia.

Gdy wreszcie skończył, chciał trochę uporządkować w mieszkaniu, ale sił mu zbrakło. Poniechał tej pracy i położył się do łóżka.

Snać ta przechadzka i ten wysiłek nie sprzyjały mu; trząśił się w febrze; zażył aspirynę i leżał na wznak, oczekując przyjścia Geni.

Jął rozważać: tak, to będzie miłe. Nie będzie już sam; będzie go pielęgnowała Genia Ziębianka! On będzie patrzył w jej piękną, łagodną twarz, a jej miękka dłoń będzie go leczyć! To będzie dobrze!

Czy to możliwe, że za chwilę ona tu będzie, że będą podobne dni jak tam przy Czerniakowskiej? podobne, a jednak inne! lepsze! Już ona nie jest dzieckiem, jest kobietą... Czy też się zmieniła bardzo? Dużo złego przeżyła! dużo, ale to zło właśnie teraz srowadza ją do niego. Ciekawe, jak się będzie do niego odnosić. Czy ciepło, czy zimno? czy będzie mu bliska, czy trzymać się będzie na dystans?

Wiele tłoczyło się pytań i odpowiedzi do mózgu chorego, wiele domysłów i niepewności.

W cieplej pościeli dreszcze uspokajały się zwolna, marzył w pół śnie.

Spał, gdy zastukała Genia. Nie spostrzegł, że weszła.



### XXXIII.

#### *Wyzwolenie.*

Nie usłyszawszy na swe delikatne, dwukrotne stukanie do drzwi żadnego głosu zaproszenia, przycisnęła Genia ostrożnie klamkę i weszła cicho do pokoju Antoniego Terlika. Znów cofnęła się, sięgnęła przez drzwi po walizkę zostawioną w sionce i przeniosła do pokoju, po czym drzwi zamknęła. Na palcach zbliżyła się do łóżka; zatrzymała się o parę kroków i patrzyła znieruchomiała w tę dobrze znaną twarz chorego, o której tak często myślała, a która teraz spoczywała w śnie głębokim. Genia słyszała przyśpieszony oddech Antoniego. Stała tak długo, nie śmiała się ruszyć czy to, by go nie zbudzić, czy też, by nie zmylić pierwszych wrażeń, które w tej chwili tłoczyły się do piersi, błędziły gdzieś w wnętrzu i od środka znów na wierzch wydobyć się chciały z popod powiek w postaci cichych, kojących łez.

Genia opanowała się, zdając sobie sprawę z celu swego tu przybycia: dla niego tu przyszła, dla chorego, nie dla siebie. Zdobyła się na pierwszy bezsze-

lestny ruch. Rozejrzała się, zdjęła kapelusz i palto. Ostrożnie i cicho położyła je na leżaku po przeciwnej stronie pokoju, poczym siadła na krześle oparłszy się o stół. Jęła rozglądać się. Oczy jej zatrzymywały się głównie na sprzętach dobrze jej znanych, a przede wszystkim na bibliotece. Długo przyglądała się książkom, a co chwilę spoglądała, bacząc kiedy on otworzy oczy.

Zaczęła zastanawiać się, jak to będzie? czy Antoni ma kuchenkę obok? czy jest drugi pokój gdzie ona będzie sypiać? Sprawa ta na tyle ją zaintrygowała, że po cichu wstała zauważywszy drzwi, zbliżyła się do nich i ostrożnie otworzyła; zajrzała — do łazienki. — Aha — pomyślała — to łazienka; kuchni nie ma. Więc co? tutaj? na otomanie chyba? tak w jednym z nim pokoju?... Nie mój kłopot — powiedziała sobie w duchu; trzeba zdać się na niego, na — Antoniego. Niech będzie, jak on zechce!

Na palcach znów przesunęła się do krzesła i siadła. Od tej chwili nie odrywała oczu od śpiącego.

Gdy tak patrzała w jego twarz zadźwięczały w jej uszach te odległe już, niemal zapomniane słowa, które tam, przy Czerniakowskiej słyszała niemal co dzień: „panno Geniu, panno Geniu!... tak nie można; tego nie czytać... to polecam... czemu panna Genia smutna?...“ Odżyły w niej te słowa, tak mało — zda się — znaczące, a jednak takie dla niej ważne, bo bliskie! Ileż im ona zawdzięcza! ile zaznała wzruszeń, ile w nich życiowego czuła oparcia! Czemu na nich poprzestał? Czemu nic nad to wówczas nie powie-

dział? A teraz czy powie więcej? O nie! teraz już Genia nie dopuści, by wszystko skończyło się wraz z jego wyzdrowieniem, grzecznym uchYLENIEM kapelusza po przez szybę uchodzącego autobusu!

Spojrzała znów uważnie w twarz chorego. Ta sama! tylko brak okularów i brak tego spojrzenia z poza połyskujących szkielek, gdy mówił o tych ciekawych sprawach, których część tylko Genia zdołała myśłą pochwycić. W pewnej chwili rzucił się chory gwałtownie, a głowa jego zsunęła się z poduszki w bok przekrecona, że o twardą krawędź łóżka oparte było czoło. Genia drgnęła; myślała, że chory się obudzi; myślała, że na nią spojrzę.

Nie obudził się, nie spojrzął! Jakże ona ma patrzeć spokojnie na tę jego pozycję głowy! już kant łóżka wycisnął mu na czole czerwoną pręgę! Ona po to przecie tu jest, aby mu pomóc, aby usuwać wszelkie niewygody w czasie jego choroby!

Świadomość, że za chwilę dotknie dłonią jego czoła, jego twarzy, wywarła na niej wrażenie tak silne, że nie mogła zdobyć się na ten ruch konieczny. Przecie jeszcze nigdy dłoń jej nie spoczęła na jego czole, nigdy nie dotknęła jego twarzy!

Coraz silniejszy, coraz czerwieńszy odcisk krawędzi łóżka na czole chorego; zdecydowała się poprawić pozycję jego głowy. Podniosła się z krzesła, podsunęła się na palcach do łóżka i ostrożnie ujęła głowę śpiącego w obie dłonie, lekko uniosła, jakby przemieścić chciała na środek poduszki. W tej chwili zbudził się, otworzył z wolna oczy i spojrzął na nią, a ona



tak się zmieszała, że nie wiedziała, co począć z trzymaną w dłoniach jego głową. Puścić jej nie mogła; uderzyłby o krawędź czołem.

On uśmiechnął się do niej życzliwie, dziękczynnie. Sam szarpnął się ku środkowi łóżka i głowę złożył na poduszce jak należy.

— Więc pani tu? — szepnął. — To dobrze, dziękuję, pani Geniu!

— Jak się pan czuje? Czy bardzo pan chory? — pytała troskliwie, głaszcząc jego dłoń, a on rzekł słabym głosem:

— Już będzie lepiej, gdy pani przy mnie.

— Czy doktor był?

— Tak, zwykła grypa, powiada; śmierć też jest najczęściej zwykła.

— Ktoby mówił zaraz o śmierci, panie Antoni! — rzekła odruchowo Genia i w tejże chwili zlekła się tego poufałego „panie Antoni“. Tak jeszcze nigdy do niego nie przemawiała. On rzekł:

— Mam leżeć i dwa razy dziennie zażywać po dwie pastylki aspiryny, to wszystko.

— No i będzie dobrze — pocieszała łagodnym głosem. — Już ja pana wyleczę. Niech tylko pan dzisiaj jeszcze za wiele nie rozmawia, to podnosi gorączkę, a czy termometr jest?

— Tak, na stoliku.

Wzięła termometr do ręki i pilnie jęła się weń wpatrywać.

— Nawet nie otrząśnięty! — rzekła — hm, trzydzieści dziewięć! kiedy pan mierzył?

— Wczoraj wieczorem.

— Nie będziemy czekali wieczoru — rzekła, otrząsając termometr. — Tak, teraz proszę sobie założyć i leżeć cichutko przez dziesięć minut, bez ruchu. Ja tymczasem tu się zagospodaruję. Proszę cicho leżeć, ja sama wszystko znajdę, za chwilę będę jak w domu. Pan pozwala mi tu gospodarować, jak zechcę, prawda?

— Naturalnie, pani Geniu, jest pani u siebie.

Genia zaczęła się krzątać, zaglądając we wszystkie kąty i w pokoju i w łazience i w przedsionku. „Jest pani u siebie“, powtarzała sobie jego słowa i zastanawiała się, czy one mają jakieś znaczenie, czy też powiedziane tak tylko, bez namysłu? „Jest pani u siebie“!

Przede wszystkim pozbierała filiżanki, talerzyki, łyżeczki itp. i zabrała się do ich zmywania w łazience. Potem krzątała się długo, spojrzała znów na chorego, wreszcie na zegarek:

— O, już kwadrans minął, proszę, zobaczę na termometr... Tak, gorączka trochę mniejsza, niżej 38 stopni, ale pod wieczór będzie więcej. Kiedy zażył pan ostatni raz aspirynę?

— Przed dwiema godzinami, zdaje się. Bardzo chce mi się pić, proszę trochę wody.

— A ma pan sok w domu?

— Nie.

— Potem kupię, i tak coś trzeba kupić; czy herbata jest? widziałam w łazience, na gazie pan sobie wodę gotuje, kuchenki pan nie ma?

— Nie, poco kawalerowi kuchenka, jadam obiady na mieście. A jak to będzie z pani jedzeniem?

— To nie kłopot. Czy herbata jest w domu? i cukier?

— Wszystko jest tam, w szafce, proszę, niech pani otworzy.

Już też i w szafce zaczęła Genia porządkować, a potem w komodzie. Rzekł Terlik:

— Tam musi być czysta pościelowa bielizna na zmianę. Wieczorem pani pościele sobie na leżaku, tylko nie ma koca, bo poduszkę to weźmie pani z pod mojej głowy; mnie jedna wystarczy.

— Nie potrzeba — odparła — przyniosłam sobie jaśka i koc.

— Nie będzie pani wygodnie.

— Będzie dobrze, niech tylko pan się nie martwi takimi rzeczami.

Genia gospodarowała dalej, a Terlik, któremu spod koldry ledwie widać było nos i czoło, przyglądał się Geni i czuł się dobrze.

Po upływie godziny Genia wyszła do pobliskiego sklepu. Gdy wróciła z kilku pakunkami, zastała pana Antoniego drzemiącego — — —

Genia czuwając przy łóżku chorego, utkwione miała oczy w jego czoło.

— Czy to być może? czy to dzieje się naprawdę



dę? — myślała. — Antoni! czy to naprawdę Antoni, a ona w jego domu?

Niedawna przeszłość, gdy ją bito, lżono, ponieważ rano, to chyba koszmar, co się był przywidział, przyśnił?

Tamto rzeczywistością, czy to?

To, cud! cud prawdziwy; takich cudów nie ma; więc cud! Bądź pochwalony Boże, że mi pozwalasz w cud uwierzyć!

Genia splotła dłonie jak do modlitwy i starała się naprawdę uwierzyć w odmienny los. Nie pytała, co będzie jutro, co za tydzień, co za rok, wierzyła w chwilę tę, w której czuje się szczęśliwa.

Wśród ciszy posłyszała urywane słowa chorego mówione jakby przez sen.

Usiadła na krawędzi łóżka, pochyliła się; położyła ostrożnie chłodną dłoń na rozpalonym czole Antoniego. Poruszył zwolna głowę, jakby poddawał czoło chłodzącemu dotykowi jej dłoni. Tak trwali oboje bez ruchu, wzajemnie siebie czując, lecz jakby o sobie nie wiedząc.

Ocknęła się Genia. żar gorączki idący od jego skroni uprzytomnił jej, że czas zmierzyć temperaturę. Założyła choremu termometr i trzymała go pilnie, a drugą rękę wsunęła w odchylenie koszuli i miękka jej dłoń wyczuła spieszne bicie serca. W tej chwili lęk ją ogarnął na myśl, że choroba może sprowadzić nieszczęście, nieszczęście ostateczne, co przekreśli tę rzeczywistość, w której ona śni w tej chwili.

Cicha boleść osiadła na czole młodej kobiety.

Otrząsnęła się z okropnego wrażenia i zdecydowanie spojrzała na zegarek. Ledwie mogła dojrzeć godzinę; był już zmrok.

Ostrożnie wysunęła dłoń spod koszuli chorego i zwolna poczęła wyciągać spod jego pachy termometr. Wstała i poszła na palcach do okna. Termometr wskazywał 40 stopni. Genia stała bezradna pod oknem. Sama nie wiedziała, dlaczego lęka się ruszyć!

Wśród ciszy w pokoju, a dolatującego gdzieś z od dali zgiełku, pośpiechu pełnego sygnałów trąbek i dzwonek, posłyszała cichy głos Antoniego:

— Geniu!

Przyklękła u wezłowania łóżka.

— — —

— Czy to ty? naprawdę ty Geniu?

— Ja jestem, naprawdę ja.

— Połóż mi rękę na sercu! chcę wiedzieć, że jesteś — — —

— Tak, teraz wiem... Tak drżą twoje ręce...

Nagle chory otworzył oczy szeroko; poprzez mrok rozpalone spojrzenie szło ku niej. Ujął obie jej dłonie, oderwał od skroni, od piersi i obie kolejno ucałował.

— A czy ja wiem — jął szeptać — czy czynię to tylko w gorączce? Czy tak pozostanie, kiedy będę zdrow?

— A co jest zdrowie: to, czy tamto? — spytała Genia szeptem.

— Nie wiem, Geniu! Wiem tylko, że odtąd żyć chcę w gorączce. Już nie odejdiesz odemnie, prawda?

- Nie, nie odejdę.
- Cokolwiek będzie...
- Cokolwiek by się stało...

I stało się, że Genia poczuła się w ramionach Antoniego. Uczucie wielkiego, niespodziewanego szczęścia zamroczyło ją, a w tym zamroczeniu poczuła na wargach jego pocałunek.

— — —  
Minęła noc.

Nad ranem dopiero Genia oprzytomniała.

Dzień następny był pierwszym dniem jej szczęścia. Bo też i choroba Antoniego przesiliła się minionej nocy.

I oto znów wieczór. Wszystko oporządzone, odprawieni mili goście. Choć Genia tak wiele im zawdzięcza, Fredowi i Joasi, odetchnęła z ulgą na myśl, że sama może czuwać u łóżka Antoniego.

On śpi, a oddech jego dzisiaj spokojny.

Z za okien dolatujący szmer uliczny brzmi dzisiaj inaczej, śpiewa! Mile dźwięczą odgłosy tramwajów i jakże wesołe trąbki samochodów! Przyjaźnie mru-gają światła latarni, tak jak te gwiazdy rozsiane na niebie. Wszystko to składa się na tę błogość, którą w tej chwili odczuwa Genia w piersi, w łonie i w głowie, że aż zawrót szczęścia ją kołysze i takie dziwne rodzi myśli, jakich nawet książka żadna stworzyć nie zdołała.

Bo też przez jakąż to mękę doszła do swego szczęs-



cia? toż wszystko, co szczęściu jej przeczyło, ku niemu ją właśnie pchało! Och tak!

Teraz oto błogosławi w duszy wszystko zło, co udręczało jej młode lata; w nim dojrzała do szczęścia, po które wyciągnęła rękę.

#### XXXIV.

Zdarzyło się którejs z następnych nocy, że Antoni Terlik poczuł po raz pierwszy wśród choroby możliwość rozumowania.

Doznał wrażenia, że znów układają się myśli w jego głowie jak układać się powinny. Tam, na leżaku śpi Genia Ziębianka, piękna choć prosta, a jakże mu oddana... Śni. Śni o nim, śni może o swym szczęściu, jeżeli to szczęściem dla niej jest istotnie.

Myśl o tym, co dla Ziębianki jest szczęściem, nagle zaciążyła na nim, jak jakiś obowiązek, z którego wywiązać się powinien.

Świadomość ta poczęła przeplatać wizję jego własnych, ostatnich przeżyć z wizją jej przeżyć tak widocznych, że nie mogących budzić żadnych wątpliwości. A znów w te przeżycia ich obojga, przeżycia tak różne, a jednak wspólne, z tak różną siłą napięcia przeżywane, a jednak od siebie uzależnione — wciskały się natrętnie brutalne realia jej życia, które odtąd i jego realiami być miały.

Gdzieś opodal z poza jakiejś niewiadomej zasłony wychylały się widziadła przestępstw, widziadła podobne przyczajonym, czarnym kotom z zielono świecącymi oczami wśród mroku, co to nie pozwala rozpoznać właściwej rzeczywistości.

I oto widziadła te ocierają się wciąż jeszcze o życie Ziębianki, życie od niedawna z jego życiem zespolone. Ocieranie się widziadeł już też i jego życia dotyka wyraźnie, jego Antoniego Terlika, który zaznaje przedsmaku takiej potworności po raz pierwszy.

A więc stało się to właśnie, że Genia Ziębianka pełnię swego życia w życie jego przeniosła, niczego mu nie skąpiąc i niczego mu nie oszczędzając.

Oddała mu się cała.

W tej chwili poznał Terlik, że od niedawna stał się innym człowiekiem, innym, niż był dotąd.

Cóż go tak odmieniło?

Czyżby wewnątrz już tak się zespolił z tą kobietą, że myśl jego się podwoiła, że on sam nagle rozrósł się jak to doniedawna prostolinijne, nieskomplikowane w swych kształtach drzewo, z którego nagle wystrzeliły w wszystkich kierunkach jakieś fantastyczne konary, gałęzie i zwoje listowia? Konary powykręcane tak osobliwie i kłębiące się kiście zieleni, które gałęzi mają być lotnymi, pełnymi ruchliwości odpowiednikami?

Już też i bogatszą czuje Terlik myśl swoją i pełną niespokojnych zapłodnień.

To go przeraziło. Sam nie wiedział w tej chwili,



czy nawrót choroby uderza weń znów z całą mocą, że nieodpowiedzialny majak wywleka jego myśli na niekontrolowane manowce, czy też objawia mu się myśl nowa, tak nowa, że jeszcze w świadomości nieuchwytna?

— Co się ze mną dzieje? — westchnął niespokojnie i gwałtownie usiadł na łóżku. Rozejrzał się po pokoju tonącym w mroku, przeciętym na pół ostrym światłem latarni wdzierającym się z ulicy poprzez szparę między sztorami.

Wąskie światło oświetlało twarz śpiącej Ziębianki.

Terlik oparł zmęczoną głowę o wysokie wezgórze łóżka, nie odrywając oczu od twarzy Geni. Zdawało mu się, że z nią rozmawia. Nawet w pewnej chwili czuł swe pytanie, które jej stawia natarczywie: „Kim jesteś, że zdołałaś w myśli moje wtargnąć i tak je odmienić?“

Czekał odpowiedzi — tak mu się zdawało, a potem mu się zdawało, że w odpowiedzi uśmiechnęła się do niego.

Zrozumiał. Sądził, że zrozumiał i w tej chwili myśl jego skojarzyła się z rzeczą czytaną.

Jakież więc potęgi przywiodły ją tu, że ostatecznie w jego życie weszła, jak władna pani, by życiem tym rozporządzać?

Potęgi złe. Potęgi złe obok jej życia szły krok w krok, nie mogąc wtargnąć, by życiem tym zawładnąć.

*„Ein Teil von jener Macht, die stets das Böse will, und stets das Gute schafft“.*

Zło więc przywiodło ją tutaj, aby się dobro doko-  
nało!

Czy tak? Czyżby szatańska prawda i w niej się  
miała ziścić? raz jeszcze potwierdzić?

Czyżby więc i ona była prawdy tej wyrazem? ona  
Genia Ziębianka, dziewczyna przedmieścia?...

A ja — co?

O! może to jednak prawda, może to nie jest tylko  
akcent poetycki?... O! już wiem:

„*Das Ewig = Weibliche!*“...

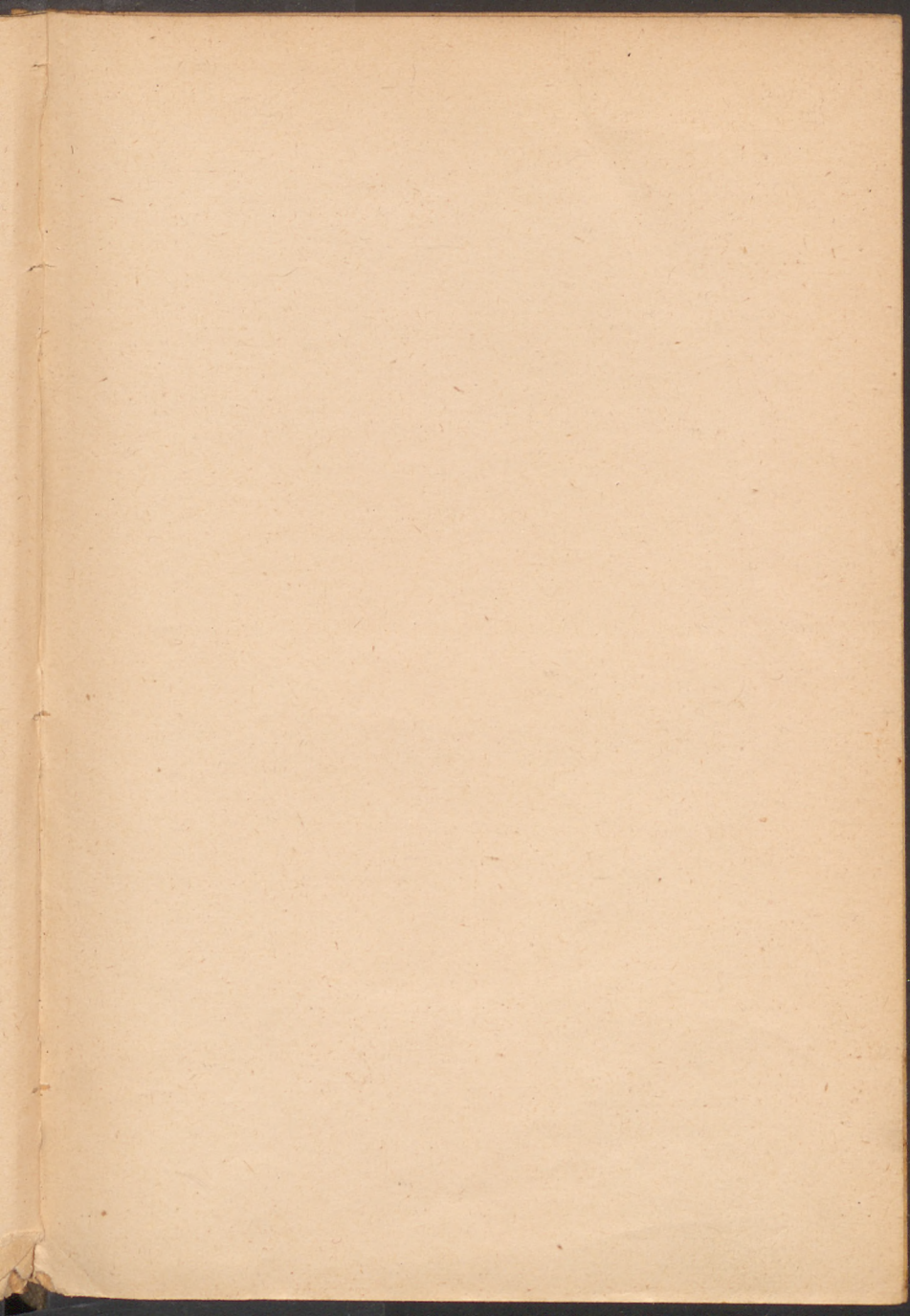
Koniec drugiej części „Szarugi“.

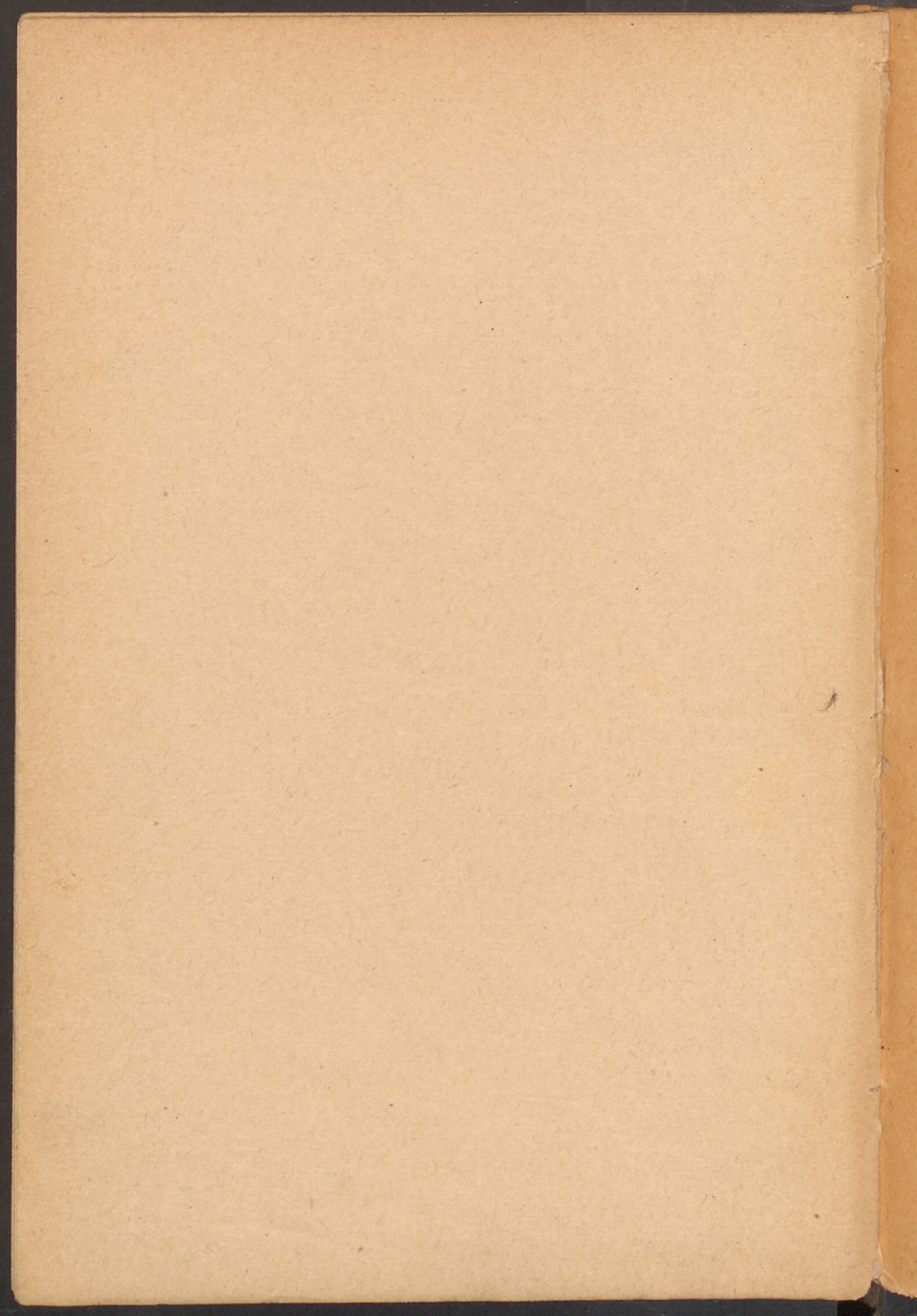


SPROSTOWANIE GŁÓWNYCH BŁĘDÓW  
DRUKARSKICH

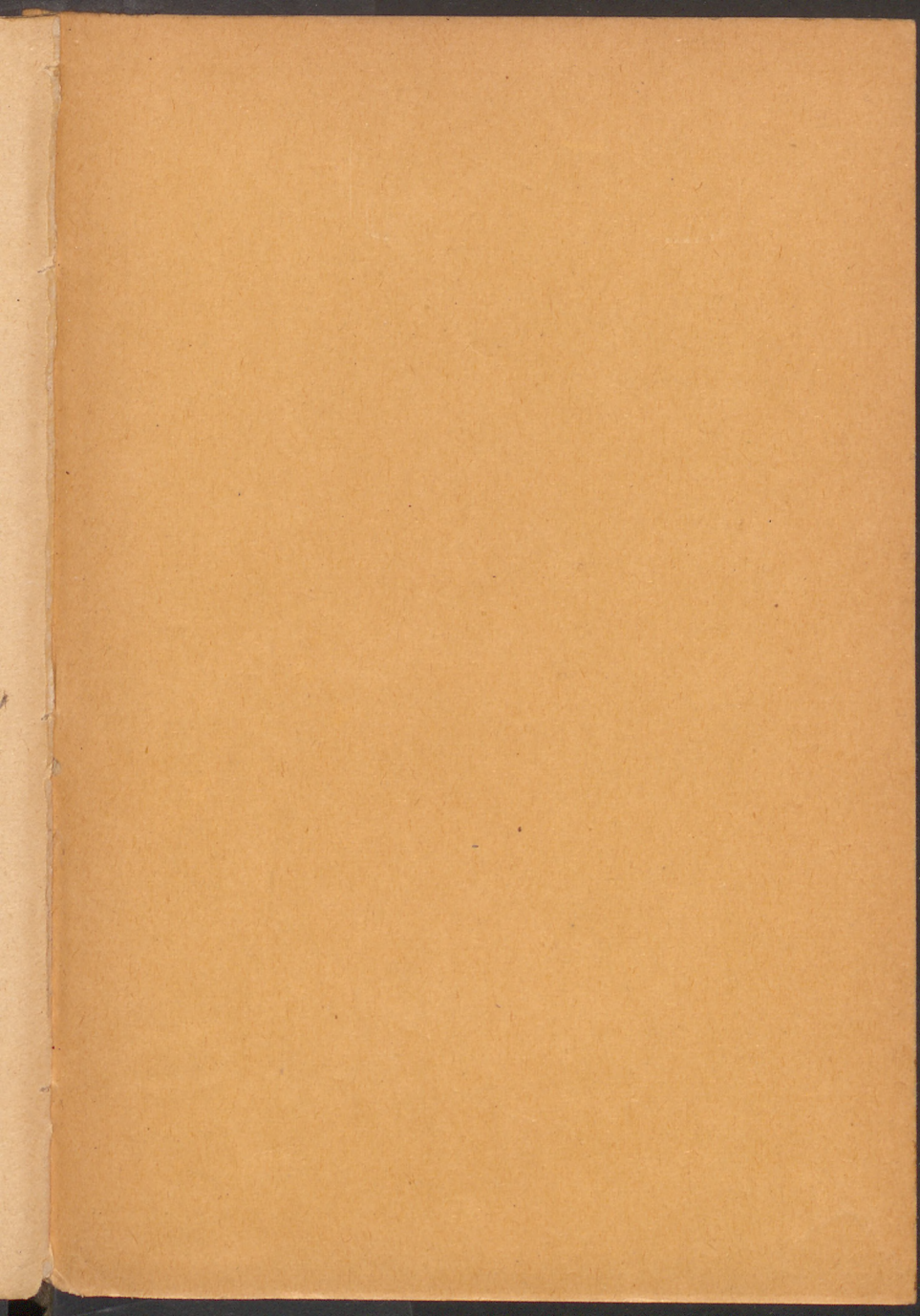
Str.	37	w wierszu	21	od góry	ma być:	do swej stróżówki
"	41	"	"	4 od dołu	" "	już umrze
"	79	"	"	14 od dołu	" "	wypożyczalni
"	83	"	"	15 od dołu	" "	że złością
"	140	"	"	2 od góry	" "	podczas godzin
"	149	"	"	5 od góry	" "	że wdała się
"	157	"	"	6 od dołu	" "	Więc to kradzione
"	161	"	"	7 od dołu	" "	Potem zastanawia- ła się
"	165	"	"	8 od dołu	" "	sięgnął po banknot i schował do kieszeni
"	168	"	"	12 od dołu	" "	wspólnego, lecz wiedzą, że
"	176	"	"	5 od dołu	" "	curriculum
"	214	"	"	12 od góry	" "	Będę mu rad, ale dzisiaj niech lepiej nie



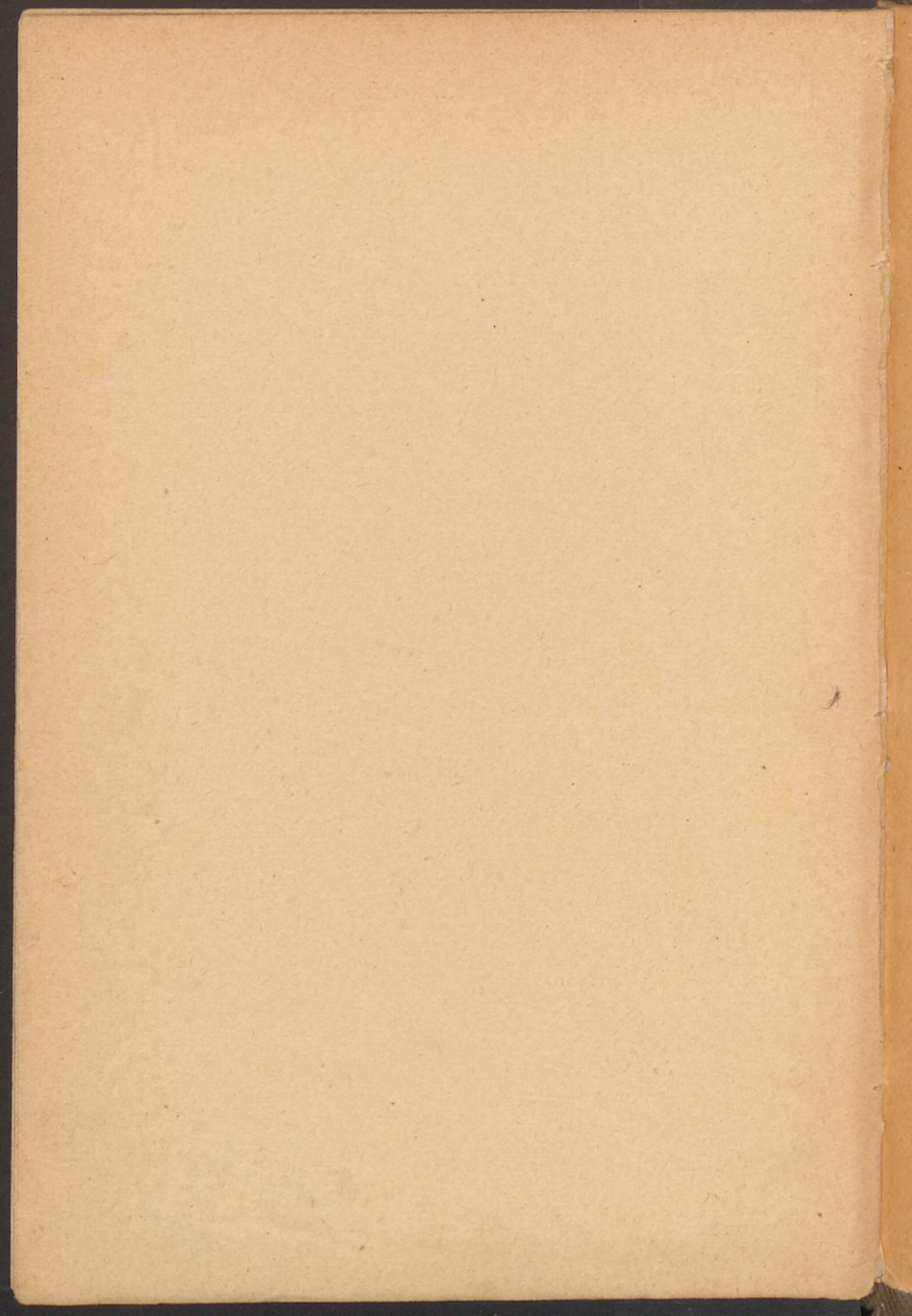


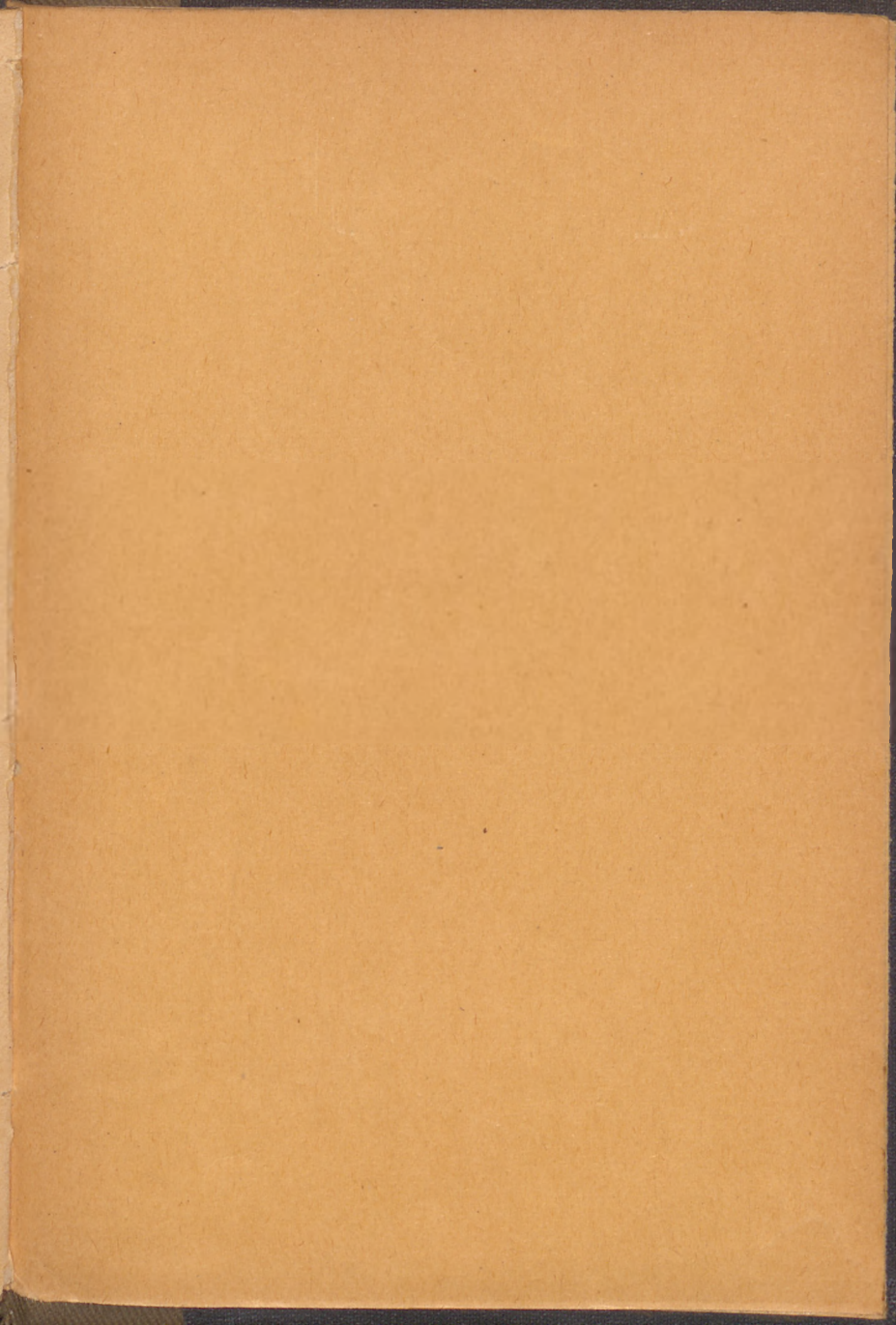












20, -

Biblioteka Główna UMK



**300050100150**